





164.  
JACK LONDON

# W Y G A

(KURZAWA BELLEW)



WARSZAWA, E. WENDE i S-KA  
Poznań, Fiszler i Majewski. Łódź, Katowice,  
Ludwik Fiszler. Toruń i Siedlce, Tow. Wyd. „Ignis”

*Prawa przekładu na jęz. pol. w Tow. Wyd. „Ignis”. Tłuma-  
czył z angielskiego Jerzy Bandrowski. Okładkę  
wykonał Kamil Mackiewicz. Odbito  
w Zakł. Graficzn., Drukarnia  
Bankowa” Warszawa,  
Moniuszki 11  
1925*





## PRZEDSMAK MIĘSA

### I

Na początku był Krzysztofem Bellew. Zczasem, kiedy był w gimnazjum, stał się Krzychem Bellew; następnie w kołach cyganerji artystycznej w San Francisco nadano mu przezwisko Kit Bellew. Wkońcu znany był tylko pod imieniem Kurzawy. Historia rozwoju jego imienia jest zarazem historją jego rozwoju osobistego. A nie byłoby jej nigdy, gdyby nie miał słabej matki, żelaznego wuja i gdyby nie był otrzymał pewnego listu od Gilleta Belamyego.

— Właśnie przejrzałem numer „Fali” — pisał z Paryża Gillet. — Prawdę mówiąc, O’Harze może się to udać. Ale są błędy i niedopatrzenia. (Tu następowało szczegółowe wyliczenie braków puszczającego pierwsze pędy nowego tygodnika). Idź do niego, odwiedź go i powiedz mu, że to twoje własne zdanie, nie wspominając ani słowem o mnie. Gdyby się dowiedział, że to ja pisałem, zrobiłby mnie zaraz swoim korespondentem paryskim, na co nie mógłbym się zgodzić, ponieważ wielkie miesięczniki i tygodniki płacą mi za moje rzeczy na-

prawdę. A przedewszystkiem nie zapomnij powiedzieć mu, żeby koniecznie spławił cymbała, który pisze sprawozdania z muzyki i sztuki. Pamiętajcie też, że San Francisco miało zawsze swą własną literaturę. A dziś jej nie ma. Poradź mu, niech się rozejrzy, niech wyszuka jakiego warjata, któryby mu pisał przegląd tygodniowy, tylko żeby w to wsadził prawdziwą poezję, blask i koloryt San Francisco.

Stosownie do tej instrukcji Kit Bellew udał się do redakcji „Fali” z radami i wskazówkami. O'Hara wysłuchał. O'Hara spierał się, O'Hara ustąpił, O'Hara spławił cymbała piszącego krytyki. Ale O'Hara miał swe kruczki i zrobił właśnie to, czego się obawiał Gillet w dalekim Paryżu. Jeśli O'Hara czego chciał, żaden przyjaciel nie mógł mu odmówić. Był słodki i niezłomnie uparty. To też zanim Kit Bellew zdołał się wymknąć z redakcji, stał się współwłaścicielem i współpracownikiem pisma, przyrzekł pisać tygodniowo całe kolumny recenzji, dopóki się ktoś przyzwoitszy nie znalazł, i zobowiązał się dostarczać co tydzień feljeton na dzieśnię tysięcy słów z życia San Francisco — a wszystko bez żadnego wynagrodzenia. O'Hara tłumaczył, że „Fala” była narazie pismem deficytowem; twierdził też z równem przekonaniem, iż w San Francisco jeden tylko człowiek był zdolny do pisania feljetonów tygodniowych — a tym człowiekiem był Kit Bellew.

— O, Boże, więc to ja jestem tym warjatem! — jęknął Kit, schodząc wąskimi schodami,



W ten sposób stał się niewolnikiem O'Hary i nienasyconych kolumn „Fali”. Tydzień po tygodniu spędzał w krześle redakcyjnym, walcząc z wierzycielami, zmagając się z zecerami i wypisując dwadzieścia pięć tysięcy słów tygodniowo. A pracy nie ubywało. „Fala” była ambitna. Zachciało się jej ilustracji. Koszty były wielkie. „Fala” nigdy nie mogła zapłacić honorarium Kitowi ani też innym współpracownikom.

— Oto do czego się dochodzi, gdy się jest dobrym kolegą! — mruknął Kit pewnego razu.

— A więc Bóg zapłać dobrym kolegom! — wykrzyknął O'Hara, potrząsając ze łzami w oczach prawicą Kita Bellew. — Uratowałeś mnie, Kit, to też w ogień skoczyłbym za ciebie! Jeszcze trochę, stary — a będzie lepiej!

— Nigdy! — jęknął Kit. — Jasno widzę swój los. Nigdy się stąd nie wydostanę!

Wkrótce potem miał złudzenie, że przecież znalazł wyjście z sytuacji. Upatrzywszy odpowiednią chwilę, w obecności O'Hary omal się nie przewrócił, potknąwszy się o krzesło. W kilka minut później uderzył się znów o róg biurka i, macając niepewnymi palcami, zaczął szukać gumy.

— Lampartowałeś się? — mruknął O'Hara.

Kit przetarł oczy dłonią i przez chwilę patrzył na niego zaniepokojony.

— Nie, to nie to — odpowiedział po jakimś czasie — To moje oczy. Poprostu — zaczynam niedowidzieć.

Przez kilka dni przewracał się i potykał o wszyst-

kie sprzęty w redakcji. Ale serca O'Hary to nie wzruszyło.

— A wiesz co, Kit? — odezwał się pewnego dnia. — Ja ci coś powiem. Idź do okulisty. Mam znajomego — niejakiego doktora Hassdapple'a. To „morus"! Nic cię to nie będzie kosztowało. Zapłacimy mu ogłoszeniami. Ja sam z nim pomówię.

Wkońcu postawił na swoim i wyprawił Kita do okulisty.

— Nic pańskim oczom nie brakuje — zawyro-  
kował lekarz po starannem zbadaniu. — Doprawdy,  
oczy ma pan świetne — para takich na milion!

— Nie wspominaj pan o tem O'Harze — bro-  
nił się Kit. — I niech mi pan da parę czarnych oku-  
larów.

A w wyniku tego wszystkiego O'Hara okaza-  
wał Kitowi dużo współczucia i z żarem mówił  
o tym czasie, kiedy „Fala" stanie wreszcie na  
własnych nogach. Na szczęście Kit Bellew miał  
własne dochody. W porównaniu z dochodami in-  
nych ludzi były one małe, wystarczały jednakże,  
aby z nich móc opłacić wpisowe w kilku klubach  
i kawalerski pokój w dzielnicy studenckiej. Prawdą  
też jest, że od czasu jak Kit Bellew stał się współ-  
nikiem O'Hary, osobiste jego wydatki zostały znacz-  
nie zredukowane. Nie miał kiedy wydawać pie-  
niędzy. W domu wogóle już nie bywał i nie  
urządzał dla członków miejscowej cyganerii slyn-  
nych kolacyjek z przepyszными potrawami, poda-  
wanymi na gorących rusztach. Mimo to chodził  
wciąż bez grosza, ponieważ „Fala" w swych gro-



żnych a, niestety, częstych chwilach kryzysów finansowych pochłaniała zarówno jego „flotę”, jak jego pracę umysłową.

Stale co jakiś czas pojawiali się rysownicy pism ilustrowanych, którzy nie chcieli już dłużej dostarczać ilustracji, drukarze, którzy periodycznie odmawiali dalszego druku, wreszcie chłopak redakcyjny, który co rusz to wypowiadał służbę. W takich chwilach O'Hara patrzył na Kita, a Kit robił swoje.

Kiedy parowiec „Excelsior” przybył z Alaski, przynosząc wieści o nowej febrze złotej w Klondike, od której cały kraj zwarjował, Kit zrobił O'Harze krótkochwilną propozycję:

— Słuchaj, O'Hara! — rzekł. — Ta gorączka złota zapowiada się na większą skalę. Wracają czasy czterdziestego dziewiątego roku. A gdybym tak pojechał i „zrobił” ją dla „Fali”?... Pojadę na własny koszt.

Ale O'Hara potrząsnął głową przecząco.

— Nie mogę się w żaden sposób obejść bez ciebie w redakcji, Kit. A oprócz tego — niema jeszcze godziny, jak rozmawiałem o tem z Jacksonem. Wyjeżdża jutro do Klondike i zobowiązał się przysyłać tygodniowe korespondencje i zdjęcia. Piłowałem go tak długo, aż mi to przyrzekł. A co najlepsze — nic nas to nie będzie kosztowało.

Drugi raz zgadalo się o Klondike tegoż popołudnia w klubie, do którego Kit „wdepnął” przypadkiem; w jednej z nisz czytelni natknął się na swego wuja.

— Hallo, bracie mej matki! — powitał go Kit,

osuwając się na obity skórą fotel i wyciągając nogi. — Może się przysiadziecie do mnie?

Zamówił „coctail”, ale wuj poprzestał na lekkim krajowym winku czerwonym, stanowiącym jego jedyny napój. Pełne potępienia spojrzenie rzucał na „coctail” a potem na twarz siostrzeńca. Kit spostrzegł, że zbiera się na dłuższe kazanie.

— Wpadłem tu tylko na chwilę! — uprzedził pośpiesznie atak. — Muszę zebrać trochę dat co do ekspedycji Keith'a i Ellery i zrobić z tego jakie pół kolumny.

— Co się z tobą dzieje? — pytał wuj. — Wyglądasz mizernie. Jesteś fizycznie poprostu zniszczony!

Całą odpowiedzią Kita był głuchy jęk.

— Już widzę, że będę miał przyjemność po-  
grzebania cię.

Kit smutno potrząsnął głową.

— Tylko bez niszczącego robactwa, dziękuję bardzo. Wolę krematorium.

John Bellew należał do starego, krzepkiego i twardego pokolenia, które w pięćdziesiątych latach wozami przemierzyło stepy; była w nim siła, siła młodości, spędzonej na zdobywaniu nowej ziemi.

— Źle żyjesz, Krzysztofie. Wstyd mi za ciebie.

— Droga do ołtarza, he? — zaśmiał się Kit.

Starszy pan wzruszył ramionami.

— Szkoda tych piorunujących spojrzeń, bracie mej matki. Bardzobym chciał, żeby to była droga do ołtarza. Ale — odcięto mi ją. Nie mam czasu.

— Więc cóż do — — —

— Przemęczenie.

John Bellew zaśmiał się szeroko i niedowierzająco.

— Uczciwą pracą?

I znowu dał dał się słyszeć śmiech.

— Ludzie są tworamii swego otoczenia — rzekł Kit, wskazując szklankę wuja. — Wasz humor jest cienki i gorzki, jak wasz napój.

— Przeciążenie pracą! — śmiał się wuj. — Wszakże ty przez całe swoje życie ani centa nie zarobiłeś.

— Założmy się, że tak! Zarobiłem — a tylko nigdy nic mi nie wypłacono. Zarabiam pięćset dolarów tygodniowo a robię za czterech.

— Pewnie obrazy, których nikt nie chce kupić, albo inne jakieś bzdurstwa w tym rodzaju. Umiesz pływać?

— Pływałem czasem.

— Siedzisz na koniu jako tako?

— Próbowalem i tej emocji.

John Bellew wylał na niego całe swe oburzenie.

— Szczęśliwy jestem, że ojciec twój nie dożył całej chwały twojego niedołęstwa — rzekł. — Twój ojciec był mężczyzną, mężczyzną w każdym calu. Rozumiesz to? Mężczyzną całą gębą. Pewny jestem, że wybiłby ci z głowy ten muzykalno-artystyczny obłęd!

— Niestety, te zwyrodniałe czasy! — westchnął Kit.

— Jabym to mógł zrozumieć i ostatecznie tolerować nawet — mówił wuj ugodowo, — gdyby ci to coś przynosiło. Ale nigdy, przez całe życie ani grosika nie zarobiłeś i wogóle nie zrobiłeś nigdy nic porządnego.

— Akwaforty, obrazy, wachlarze — wtracił z uporem Kit.

— Jesteś bazgracz i knociarz! Cóżes ty za obrazy namalował? Brudne akwarele i kicze jak zmory. Nie nigdy nie wystawiłeś nawet tu, w San Francisco.

— Oho, zapomina wuj, że w przedpokoju klubu wisi jeden mój obraz.

— Bohomaz!!! A muzyka? Ta twoja kochana zwarzowana matka wydawała setki na twoje lekcje. A ty przepartoliłeś wszystko i do niczego nie doprowadziłeś. Żebyś kiedy choć pięć dolarów zarobił akompanjowaniem byle komu na koncercie! A twoje piosenki — warjactwa, których nikt nie chce drukować, a które śpiewa tylko banda ogłupiałych „nadludzi”.

— Wydałem przecie książkę — te sonety, pamięta wuj? — bronił się Kit miękko.

— Ile cię to kosztowało?

— Jakieś paręset dolarów.

— Czego jeszcze dokazałeś?

— Wystawiłem sztukę plain - airową na werandzie klubowej.

— I cożes zyskał?

— Sławę!

— I to ty, który umiesz pływać i próbowałeś jeździć konno!

John Bellew postawił szklanke z niepotrzebną gwałtownością.

— No i cożes ty wart? Ładnie was wychowują. Na uniwersytecie nawet w piłkę nożną nie grałeś. Nie wiosłowałeś. Nie — —

— Trochę się boksowałem, biłem się na szable...  
— Kiedy boksowałeś się ostatni raz?  
— Dość dawno już. Ale uchodziłem za doskonałego eksperta w obliczaniu czasu i odległości, tylko tego niby...

— Gadaj szczerze.  
— Uważano, że jestem... nierówny...  
— Próżniak — poprostu.  
— To też mnie samemu zawsze się zdawało, że „nierówny“ to określenie zbyt łagodne.

— Mój ojciec, szanowny panie dobrodziej, a twój dziadek, uważasz, — stary Izaak Bellew, zabił jednym uderzeniem pięści człowieka w sześćdziesiątym dziewiątym roku życia.

— To jest — ten człowiek miał sześćdziesiąt dziewięć lat?

— Nie, twój dziadek, — ohydny bandyto! Jak ty będziesz miał sześćdziesiąt dziewięć lat — komara nie zabijesz!

— Czasy się zmieniły, o, bracie mojej matki! Za zabójstwo idzie się dziś do więzienia.

— Twój ojciec zrobił nie śpiąc sto osiemdziesiąt pięć mil konno i trzy konie padły pod nim.

— Gdyby doczekał naszych dni, robiłby tę drogę, chrapiąc w Pullmanie.

Starszy pan o mało nie udławił się złością. Ale przecie przełknął ją jakoś i raczył spytać.

— Ile masz lat?

— Zdawałoby mi się...

— Ja sam wiem dokładnie. Dwadzieścia siedem. Skończyłeś szkoły w dwudziestym drugim roku



życia — pięć lat wałęsasz się, bawisz i próżnujesz. I czemu ty jesteś przed Bogiem i przed ludźmi? Kiedy byłem w twoim wieku, miałem tylko jeden komplet bielizny. Konwojowałem bydło w Coluzie. Byłem twardy jak krzemień, a spać mogłem z kamieniem pod głową. Żyłem bifszykami i niedźwiedziem mięsem. A fizycznie dziś jestem z pewnością zdrowszy i mocniejszy od ciebie. Wążyysz najwyżej jakieś sto sześćdziesiąt pięć funtów. Dziś jeszcze mógłbym cię bez trudu rozciągnąć na ziemi lub wymłócić pięściami.

— Nie potrzeba przecie dokazywać cudów siły, aby wypić „coctail” lub filiżankę herbaty — mruknął Kit lekceważąco. — O, bracie mojej matki, czyż nie widzicie, że czasy się zmieniły? A oprócz tego źle mnie wychowano. Moja kochana, zwarzowana matka...

John Bellew zrobił gniewny gest.

— Jak wuj sam ją scharakteryzował, była dobrą dla mnie. Ubierała mnie zawsze w ciepłe trykociki i tak dalej. Jako młody chłopak parę razy spędziłem wakacje w opisanym powyżej przez wuja, tak zwany specyficznie męski sposób — ale dziwno mi, że też wuj nigdy mnie nie zaprosił. Brał wuj przecie ze sobą Robbie i Hal'a i woził ich przez Sierras i Meksyk...

— Byłeś zbyt wydelikacowanym panickykiem.

— A, to już wasza wina, o, bracie mej matki, wasza i tej mojej — jakby tu powiedzieć — kochanej matki. Byłem przecie tylko wątłym dziecięciem! Cóż mi pozostawało prócz akwafort, obrazów i wach-



larzy? Czyż więc moja wina, że nie zaznałem, co to trud w pocie czoła?

Starszy pan spojrzał na swego siostrzeńca z nietajonym wstrętem. Cierpieć nie mógł tych łagodnych wymówek wiecznie pobłażającej sobie lekkomyślności.

— Dobrze. Mam właśnie zamiar urządzić sobie tak zwane przez ciebie „męskie” wakacje. Gdybym cię tak zaprosił i chciał wziąć ze sobą?

— Muszę stwierdzić, że zaproszenie jest poniekąd spóźnione. A dokądże to wuj się wybiera?

— Hal i Robert jadą do Klondike. Mam zamiar odprowadzić ich przez Przełęcz do Jeziora a potem wrócić.

Nie mógł mówić dalej, bo młody człowiek skończył i chwycił go za rękę.

— Mój zbawco!

W Johnie Bellew zbudziło się natychmiast podejrzenie. Nie śniło mu się nawet, aby jego zaproszenie mogło być przyjęte.

— Nie myślisz chyba na serjo? — rzekł.

— Kiedy wyruszamy?

— Będzie to ciężka przeprawa. Będziesz zawadzał.

— Nie, nie będę. Będę pracował. Nauczyłem się pracować, odkąd jestem w „Fali”.

— Każdy musi wziąć ze sobą żywność na cały rok. Tobołów zwali się tam tyle, że tragarze indyjscy nie będą w stanie ich przenieść. Hal i Robert będą musieli sami transportować całe swoje wyekwipowanie. Jadę z nimi — aby im w tem pomóc. Jeśli chcesz jechać z nami, musisz też pomagać.

— Zobaczymy!

— Ale co ty tam udźwigniesz! — zachnął się wuj.

— Kiedy wyjeżdżamy?

— Jutro.

— Niechże wuj sobie nie pochlebia przypadkiem, że to wszystko sprawiło kazanie wuja — mówił Kit, żegnając się z nim. — Właśnie chciałem wyrwać się stąd, wszystko jedno dokąd, byle jak najdalej od O'Hary.

— O'Hara? Któż to taki? Japończyk?

— Nie. To Irlandczyk, handlarz niewolnikami i mój najserdeczniejszy przyjaciel. Jest on wydawcą, właścicielem, redaktorem i wogóle najgrubszą rybą w „Fali”. Co chce to robi. Duchom może kazać sobie służyć.

Tej samej nocy Kit Bellew pisał do O'Hary.

„Jadę na kilkutygodniowe wakacje. Będziesz musiał obejrzeć się za jakimś warjatem, któryby pisał ci przegląd tygodniowy. Bardzo mi przykro, stary, ale moje zdrowie tego wymaga. Zato, gdy wrócę, wezmę się do roboty ze zdwojoną energią”.

## II

Kit Bellew wylądował wśród opętanego ruchu w zatoce Dyea, zapchanej tysiącami funtów bagażu, zawierającego narzędzia i zapasy żywności, i tysiącami ludzi.

Te niezmierne masy bagażu, całemi górami wyrzucane z parowców na brzeg, zaczęły powoli trzczyć się w górę doliną Dyea w kierunku grzbietu Chilcoat. Był on odległy o dwadzieścia osiem mil zaledwie, ale transport mógł się odbywać tylko na

plecach ludzkich. To też, mimo że tragarze indyjscy podnieśli cenę z ośmiu centów od funta na czterdzieści, byli zawałeni pracą i nie ulegało wątpliwości, że zima zaskończy większą część bagażu po niewłaściwej stronie działu wód.

Najdelikatniejszym ze wszystkich „mamusinych synków” był oczywiście Kit. Jak setki innych jego towarzyszków podróży dźwigał wielki rewolwer, przyczepiony do pasa z nabojami. Co do tego to winę ponosił i jego wuj, pełen wspomnień dni bezprawia. Ale sam Kit Bellew miał usposobienie romantyczne. Był zachwycony wrzeniem i bujną wrzawą złotej gorączki, na której życie i ruch patrzył okiem artysty, entuzjazmując się nią. Na serjo jej nie brał. Jak to mówił na pokładzie statku — ostatnia jego godzina jeszcze nie wybiła. Był sobie na wakacjach, ot, popatrzyć przez płot, jak ludzie żyją na świecie — i wrócić.

Zostawiwszy na piasku swych towarzyszków, cz. kających, rychło parowiec wyrzuci na brzeg ich bagaż, wałęsał się po zatoce, zdążając ku staremu etapowi handlowemu. Nie dał się, choć zauważył, że inni „rewolwerowi” fanfaronują niesłychanie. Minął go ośörzymi, na sześć stóp wysoki Indianin z nieprawdopodobnie wielkim ciężarem. Kit siedł za nim chwilę, podziwiając bajeczne łydy tego człowieka i pełną wdzięku swobodę, z jaką się poruszał pod ciężkiem brzemiem. Indianin złożył ciężar na schodach przed głównem wejściem do etapu i Kit przyłączył się do grupy poszukiwaczy złota, którzy z podziwem otoczyli tragarza. Ładu-

nek jego ważył sto dwadzieścia funtów, co wywo-  
łało uwagi, wygłaszane z szacunkiem i podziwem.  
Była to bądź co bądź sztuka nielada i Kit bardzo  
wątpił, aby mógł kiedykolwiek dźwignąć taki cię-  
żar, a cóż dopiero iść z nim.

— Pójdziecie z taką furą aż do jeziora Linder-  
mana, stary? — zapytał Indianina.

Olbrzym, prosiąc się z dumą, mruknął, że tak.

— Co wam przyniesie taki jeden ładunek?

— Pięćdziesiąt dolarów.

Tu Kit przerwał rozmowę. Wzrok jego padł na  
młodą kobietę, stojącą w drzwiach etapu. Różniła  
się tem od innych kobiet, przybyłych na pokładzie  
statku, że nie miała kusej spódnicy ani bloomerow-  
skiej bielizny. Ubrała się poprostu do podróży, jak by-  
łaby się ubrała każda inna kobieta. Co go uderzyło, to  
wrażenie, że tu właśnie jest na swoim miejscu, że  
do tego świata należy. Prócz tego była młoda i ładna.  
Piękność i płeć jej jasnej, owalnej twarzy przykuły go  
do siebie i Kit patrzył na nią tak długo, aż to odczuła  
i spotkała jego wzrok chłodnem, baczmem spojrze-  
niem ciemnych oczu, okolonych długimi rzęsami.  
Oczy te z widoczną uciechą zsunęły się z jego twarzy  
na wielki rewolwer u pasa, a potem znów przenio-  
sły się na twarz, pełne rozbawionego uśmiechu  
lekceważenia. Uderzyło go to, jak kijem. Zwróciwszy  
się ku stojącemu obok mężczyźnie, wskazała mu Kita.  
Towarzysz jej zmierzył go wzrokiem od stóp do  
głowy tym samym uśmiechem lekceważenia.

\*) Na Alasce z powodu wielkich mrozów, kobiety noszą wełnianą bie-  
lizną pomysłu Amerykanina Bloomera. Stąd bielizna bloomerowska (jak  
w Niemczech Jaegerowska. (Przyp. tłum).

— *Chechaquo* — rzekła dziewczyna.

Mężczyzna, który w swem tanim ubraniu i rozlatującej się kurtce wełnianej miał wygląd włóczęgi, uśmiechnął się sucho, a Kitowi zrobiło się dziwnie nieswojo, choć nie wiedział czemu. Mimo wszystko, kiedy ta para odeszła, uchwalił jedno-głośnie, że dziewczyna jest nadzwyczajnie ładna. Zapamiętał sobie jej chód, przysięgając, że pozna go choćby po tysiącu lat.

-- Zauważyliście tego człowieka z dziewczyną? — trącił go w podnieceniu sąsiad. — Wiecie, kto to?

Kit zatrzęsł przecząco głową.

— Cariboo Charley. Przed chwilą mi go pokazano. Wielkich on rzeczy dokonał w Klondike. Jeden z dawnych traperów. Dwanaście lat spędził nad Yukonem. Właśnie stamtąd przyjechał,

— A co znaczy „*chechaquo*”?

— Wy jesteście „*chechaquo*”, ja jestem „*chechaquo*” — brzmiała odpowiedź.

— Może być, że jestem, ale powinniście się naprzód przekonać. Co znaczy to słowo?

— „Mamin synek”.

Idąc z powrotem ku zatoce, Kit bezustannie przeżuwał to słowo. Nie należy do przyjemności być nazwanym „maminym synkiem” przez taką kożę z wyraźnie oszczerczymi skłonnościami.

Kiedy tak szedł między workami, mając oczy przepelnione wizją Indianina z olbrzymiem brzemieniem, przyszło mu na myśl spróbować swych sił. Wybrał sobie worek mąki, ważący, — jak wiedział — równo sto funtów. Stanąwszy koło niego, pochylił



się i z wysiłkiem zarzucił go sobie na plecy. W pierwszej chwili pomyślał, że to jest ciężar w sam raz dla niego. W następnej przyszedł do przekonania, że jednak w krzyżach jest słaby. Potem zaklął, a po pięciu nędznych minutach runął na brzemię, z którem się przed chwilą zmagał. Ocierając pot z czoła, ujrzał wśród gór rozmaitych worków Johna Bellew, przyglądającego mu się z zimnym, sarkastycznym uśmiechem.

— O Boże! — wykrzyknął apostoł hartu. — Oto z łądzwi naszych wyszło pokolenie słabeuszków. W szesnastym roku życia bawiłem się takimi drobiazgami.

— O, bracie mej matki! — odpowiedział Kit. — Zapominacie, że mnie nie karmiono niedzwiedziem mięsem.

— I będę się bawił, choćbym miał lat sześćdziesiąt.

— Może mi wuj pokaże?

John Bellew pokazał. Prawda, że nie miał więcej jak czterdzieści osiem lat, ale pochyliwszy się nad workiem, zważył go, ujął dobrze aby nie stracić równowagi i, dźwignąwszy go, jednym ruchem stanął wyprostowany z workiem mąki na plecach.

— Chwyt, mój chłopcze, chwyt, i uważasz? — krzyże!

Kit z szacunkiem zdjął kapelusz.

— O, bracie mej matki! Jesteście cudownym okazem! Jak myślicie, potrafię się nauczyć tego chwytu?



John Bellew wzruszył ramionami.

— Weźmiesz ogon pod siebie, zanim ślad ruszy!

— Niech się wuj o to nie boi! — jęknął Kit. — Tam jest O'Hara, lew ryczący. Nie wrócę, póki nie będę musiał wrócić.

### III.

Pierwsza „tura” udała się Kitowi. Aż do rozdroża Finnegana. Do przeniesienia ważącego dwa tysiące pięćset funtów bagażu aż do rozdroża Finnegana udało się im najać tragarzy indyjskich. Ale dalej trzeba już było wszystko nieść na własnym grzbiecie. Planowano robić milę dziennie. Było to rzeczą łatwą — na papierze. Odkąd John Bellew siedział w obozie, zajmując się głównie kuchnią, mógł pomóc tylko, od czasu do czasu, przy sposobności, skutkiem czego każdy z trzech młodych ludzi musiał codziennie przenieść o milę przypadające na niego osiemset funtów. Gdyby bagaż podzielono na pięćdziesięciofuntowe paczki, znaczyłoby to codzienną szesnastomilową przechadzkę z ciężarem, a oprócz tego bez ciężaru piętnaście mil — „bo ostatni raz nie będzie już trzeba wracać” — zrobił Kit radosne odkrycie. Gdyby bagaż podzielono na paczki osiemdziesięciofuntowe, trzeba by robić już tylko dziewiętnaście mil dziennie, zaś piętnaście mil, jeśliby ciężar każdej paczki wynosił sto funtów.

— Nie lubię chodzić — rzekł Kit. — Niech już będzie po sto funtów.

A spostrzegłszy śmiech niedowierzania na ustach wuja, dodał:

— Rozumie się, że muszę do tego dojść stopniowo. Ale—nie święci garnki lepią. Zacznę od pięćdziesięciu funtów.

Zrobił, jak powiedział i rażno pobiegł szlakiem. Zwalił worek na miejscu następnego postoju i wrócił. Poszło łatwiej, niż myślał. Ale dwie mile starły kwiat jego siły i odkryły znajdującą się pod nim słabość. Drugi pakunek ważył już sześćdziesiąt pięć funtów. Sprawa była ciężka — już nie biegł. Naśladując swych towarzyszków, przysiadał kilka razy po drodze, oparłszy worek o kamień lub pień. Za trzecim nawrotem rozzuchwalał się. Wziął w szelki worek fasoli, ważący dziewięćdziesiąt pięć funtów, i poszedł. Ledwie jednak zrobił sto sążni, uczuł, że padnie. Usiadł i otarł twarz z potu.

— Krótkie wysiłki i krótkie odpoczynki — mruknął. — Na tem polega cały dowcip.

Czasami jednak nie mógł zrobić ani stu sążni nawet, a za każdym razem, kiedy się dźwigał z wysiłkiem, worek wydawał mu się cięższy. Ledwo dyszał, pot lał się z niego strugami. Zanim zrobił ćwierć mili, zerwał z siebie wełnianą koszulę i powiesił ją na gałęzi drzewa. Po chwili rzucił kapełusz. Zrobiwszy pół mili, zrozumiał, że nie da rady. Nigdy w życiu tak się nie natężał i czuł, że dłużej już stanowcze nie wytrzyma. A gdy tak siedział, dysząc ciężko, wzrok jego padł na wielki rewolwer i ciężki pas z ładunkami.

— Dziesięć funtów zbytecznego obciążenia! — zaśmiał się, odpinając pas.

Ale ani mu się śniło nawet wieszać go na drzewie. Rzucił go poprostu w krzaki. A kiedy koło niego przeciągał szereg tragarzy, idących tam i zpowrotem, zauważył, że wielu nowicjuszków pozbawiło się swych śmiercionośnych żelaz.

Marsze stawały się coraz krótsze. Chwilami nie mógł już zrobić stu stóp i złowróżbne bicie serca oraz gwałtowny szum w uszach, połączony z drżeniem kolan, zmuszały go do odpoczynku. A odpoczynki stawały się coraz dłuższe.

Ale umysł jego pracował. Miał przed sobą dwadzieścia osiem mil, to znaczy dwadzieścia osiem dni takiej pracy, zaś według tego co słyszał, była to podobno najłatwiejsza część drogi.

— Zobaczycie, co to będzie, kiedy dojdziemy do Chilcoot! — mówili podczas krótkich pogawędek jego towarzysze. — Tam trzeba leżeć na czworakach!

— Co mnie obchodzi Chilcoot! — odpowiadał. — Nie dla mnie! Zanim tam dojdziemy, dawno już będę gryzł ziemię!

Pośliznięcie się i gwałtowny, rozpaczliwy wysiłek w celu odzyskania równowagi przeraziły go. Czuł, że się w nim wszystko przewróciło.

— Jeśli upadnę z tym workiem na plecach, wyciągnę kopyta! — rzekł do sąsiada.

— To jeszcze nie! — brzmiała odpowiedź. — Zaczekajcie, jak przyjdziemy do Canyonu! Tam trzeba będzie przechodzić przez rwący strumień po pniu sosnowym długim na sześćdziesiąt stóp, bez

poręczy, bez niczego, z wodą spienioną, na zakłęśnięciach pnia sięgającą wam do kolan. Kto zleci z pnia z workiem na plecach — przepadł. Musi utonąć.

— Doskonała dla mnie nowina! — odezwał się Kit.

A mówił to z otchłani wyczerpania swego prawie serjo, jak myślał.

— Topi się tam trzech do czterech ludzi dziennie — zapewniał go sąsiad. — Pomażalem raz w wyławianiu jednego Niemca. Znaleźliśmy przy nim cztery tysiące dolarów.

— Zachęcające, muszę przyznać — bąknął Kit, wstając z trudem i wlokąc się dalej.

On i jego worek fasoli stali się chodzącą tragedją. Ten worek przypominał mu owego złośliwego staruszka, który siedział na karku Sindbada. Oto te szczególne, męskie wakacje! — myślał. — Niewola u O'Hary była słodką w porównaniu z niem. Kilkakrotnie już nieledwie uwiodła go myśl, aby rzucić w krzaki worek z fasolą, okrążyć obóz, podkraść się to zatoki i tam wsiąść na pierwszy lepszy statek, idący w stronę cywilizacji.

Ale nie ustąpił. Gdzieś tam tkwiła w nim jeszcze jakaś resztką silnej woli i Kit wmawiał w siebie, że co drudzy potrafią, on także może. Powtarzał sobie to wkółko i wykladał niezrozumiale tym, którzy go mijali. To znowu, spoczywając, z zadowolaniem przyglądał się silnym, obładowanym jak muły Indianom, dźwigającym znacznie większe ciężary niż on. Zdawało się, że oni nigdy nie odpo-

czywają, lecz idą i idą z wytrwałością i pewnością, która go przerażała.

Siedział i klął — bo idąc, kląć z powodu braku oddechu nie mógł — i walczył z pokusą powrotu do San Francisco. Zanim się mila skończyła, przestał kląć i zaczął płakać. Były to łzy wyczerpania i pogardy dla samego siebie. Czuł się zupełnie rozbity, złamany. Kiedy wreszcie ujrzał nowe stanowisko i szarpnął się naprzód, runął na twarz z workiem fasoli na plecach. Nie zabiło go to, leżał jednak jaki kwadrans, zanim zebrał tyle sił, że mógł się wypłatać z rzemieni, poczem osłabł śmiertelnie. Tak zastał go Robbie, który walczył z temi samemi trudnościami. Ale widok omdlenia Roberta dodał Kittowi odwagi.

— Co drudzy mogą zrobić i my potrafimy! — pocieszał go Kit, choć w głębi duszy nie był bardzo pewny, czy sam w to wierzy.

#### IV

— Mam przecie dwadzieścia siedem lat i jestem mężczyzną! — zapewniał się kilkakrotnie w duchu w następnych dniach.

Istotnie, zachęta była niezbędna. Po tygodniu, w którym swoją drogą udało mu się przenieść o milę osiemset funtów, sam stracił piętnaście funtów na wadze. Na wychudłej twarzy była tylko skóra i kości. Stracił wszelką elastyczność, tak fizyczną jak i duchową. Już nie chodził, lecz włókł się, a kiedy wracał po nowe brzemie, choć nic nie niósł,



powłóczył nogami, jakby był Bóg wie jak obładowany.

Stał się juczne<sup>m</sup> bydlęciem. Zasypiał nad jedzeniem, a sen miał ciężki, zwierzęcy, o ile nie zrywał się z głośnym jękiem, obudzony kurczami w nogach. Wszystkie kości go bolały. Chodził z popękanymi pęcherzami na stopach, ale to było niczem w porównaniu z tem, jak strasznie uderzył się w nogę wśród zalanych wodą głazów w Dyea Flats, przez które ścieżka ciągnęła się na przestrzeni dwóch mil — co stanowiło trzydzieści osiem mil podróży. Mył się tylko raz na dzień. Jego paznokcie, polamane, wykrzywione i pełne zadziorów, były czarne od brudu. Pierś i plecy z głębokimi pręgami od rzemiennych szelek kazały mu myśleć pierwszy raz ze znajomością rzeczy o koniach, które widywał na ulicach miasta.

Jednym zwłaszcza dopustem bożym, który o mało zupełnie go nie rozsrubował, była strawa. Nadzwyczajny wysiłek wymagał nadzwyczajnego odżywiania, a jego żołądek nie był przyzwyczajony do wielkich ilości wędzonki i ordynarnej, w wysokim stopniu trującej fasoli brunatnej. W rezultacie żołądek zwracał pokarm, a ponieważ to trwało przez kilka dni, męka, spowodowane nią rozdrażnienie, a wreszcie głód o mało go nie powaliły. Ale wreszcie nastały dni radosne, kiedy mógł jeść jak zwierzę drapieżne i z wilczym wzrokiem wołać o więcej.

Kiedy przenieśli wszystek bagaż i zapasy żywności przez kładki u ujścia Canyonu, zmienili plan.



Przez Przełęcz przysła wieść, iż nad jeziorem Lindermana wycięto ostatnie drzewa zdadne na łódki. Dwaj krewniacy, zabrawszy deski i świdry, piłę i inne narzędzie, polecili naprzód, zaś Kit i wuj mieli dalej wlec bagaże.

Teraz John Bellew gotował naprzemian z Kitem, a zresztą nosił paki i worki razem z nim. Czas leciał, na wirchach pokazał się pierwszy śnieg. Dać się złapać przez śnieg po tej stronie Przełęczы zna-czyło całoroczną zwlokę. Starszy pan brał na swe kozły po sto funtów ciężaru. Kit uczuł się tem zawstydzony, zaciął zęby i nałożył na kozły również sto funtów. Gniotło trochę, ale on umiał się już naciągnąć, a jego ciało, pozbawione tłuszczu, i stwardniałe choć chude, zaczęło się prężyć muskułami. Prócz tego obserwował drugich i uczył się. Obejrzał rzemienie, jakimi Indianie przymocowywali kozły do głowy i sporządził je sobie. Było to znaczne ułatwienie, tak że teraz mógł już położyć na szczycie swego brzemienia jakiś lżejszy, niepo-ręczny w pakunku przedmiot. W krótkim czasie mógł iść ze stu funtami w szelkach, z piętnastu do dwudziestu leżącemi wolno na górze i ułożonemi na jego karku, niosąc w jednej ręce siekierę lub parę wiosel, zaś w drugiej zasmolony kocioł obo-zowy.

Chociaż jednak pracowali do upadłego, szło im wciąż trudniej. Droga stawała się coraz uciążliwsza, bagaż gniótł coraz bardziej, a im niżej opuszczała się na górach linja śniegu, tem wyżej skakało „porto”, aż wreszcie doszło do sześćdzie-

sięciu centów od funta. Krewniacy nie dawali znaku życia, z czego Kit wraz z wujem domyślali się, że pewnie są już przy pracy, ścinają drzewa i tną deski na czółna. John Bellew zaczął się niepokoić. Spotkawszy garstkę Indjan, wracających z Jeziora Lindermana, namówił ich, żeby mu wniesli rzeczy na szczyt Chilcoot. Zgodzili się, zażądawszy trzydziestu centów od funta, co wuja zniszczyło. Pokazało się też, że umowa nie obejmuje jakich czterystu funtów bagażu z ubraniami i sprzętami obozowemi. Wobec tego wuj pozostał, aby te rzeczy wywindować, Kitowi zaś kazał iść naprzód z Indianami. Stanąwszy na szczycie góry, Kit chciał powoli dźwigać swą tonnę naprzód, czekając, póki wuj, jak tego był pewien, nie dogoni go ze swemi czterystu funtami.

## V

Kit dreptał teraz szlakiem wraz z swymi traganami indyjskimi. Zdając sobie sprawę z tego, że marsz będzie długi, prosto na szczyt Chilcootu, nie wziął więcej jak osiemdziesiąt funtów. Indianie uginali się pod brzemieniem, szli prędzej, niż on przywykł. Kit jednak nie przeląkł się tego, pewny już, iż Indianom dorówna.

Uszedłszy ćwierć mili, chciał odpocząć. Ale Indianie szli wciąż dalej! Wobec tego szedł z nimi, aby nie stracić swego miejsca w szeregu. Po pół mili był przekonany, że nie ujdzie już ani kroku, lecz zaciąwszy zęby, nie opuszczał szeregu i ku

wielkiemu swemu zdziwieniu pod koniec mili spostrzegł, że wciąż jeszcze żyje. A potem, - w jakiś niewytłumaczony sposób przyszło coś, co się nazywa drugim oddechem i następna mila była już znacznie łatwiejszą. W jakiś niewytłumaczony sposób druga mila znowu była znacznie łatwiejsza od pierwszej. Trzecia mila o mało go nie zabiła, ale choć napół przytomny z bólu i zmęczenia, ani przystanął. I właśnie, właśnie kiedy czuł, że padnie niezawodnie, przyszedł spoczynek.

Indjanie zamiast zwyczajem białych tragarzy siedzieć w szelkach, porozpinali rzemienie na barkach i na głowie i odpoczywali, leżąc wygodnie, paląc i rozmawiając. Minęło dobre pół godziny, zanim ruszyli w dalszą drogę. Ku wielkiemu zdziwieniu Kit czuł się zupełnie wypoczętym i od tej chwili nowe jego motto brzmiało: „długi wysiłek i długi odpoczynek”.

Wirsch Chilcoot zupełnie usprawiedliwiał straszną opinię, jaką o nim szerzono, i istotnie dawał mnóstwo sposobności do czołgania się na czworakach. Ale gdy Kit stanął na grzbiecie działu wód w gęstej zawiei śnieżnej, Indjanie byli wraz z nim, a Kit z ukrywaną dumą powtarzał sobie w duchu, iż przecie nadażył im, nie jęknąwszy ani razu i nie pozostawszy ani razu wtyle. Jego nową ambicją stało się dorównać wytrwałością Indjanom.

Kiedy zapłaciwszy Indian, odprawił ich, zapadły ciemności, zerwała się burza z zadymką i Kit pozostał sam, na grzbiecie górskim, na wysokości tysiąca stóp ponad strefą lasów. Mokry do pasa,

z głodniały i wyczerpany, dałby był całoroczny dochód za odrobinę ognia i filiżankę kawy. Zamiast tego pochłonał około tuzina zimnych podplomyków i wśliznął się pod fałdy napół rozbitego namiotu. Zasnęwszy, przypomniał sobie wuja Bellew i uśmiechnął się z występłą radością na myśl o tem, jak to on teraz w najbliższych dniach spędzać będzie swoje męskie wakacje, windując na górę czterysta funtów. Co do niego, to choć miał ich dwa tysiące, nie troszczył się o nie; trzeba je było tylko spuścić nadół.

Rano, zeszytniały z zimna i zmęczenia, wygrzebał się z pod płócien, zjadł parę funtów surowej wędzonki, ścisnął w szelkach jakie sto funtów i ruszył skalistą dróżką. O paręset sążni niżej ścieżka wiodła przez mały lodowiec, a potem nadół, ku jezioru Krateru. Widać było ludzi, podążających przez lodowiec. Kit przez cały dzień znosił swe worki i paki na górny kraniec lodowca, a wkońcu widząc, że „tury“ są bardzo krótkie, wziął na plecy sto pięćdziesiąt funtów. Jego zdumienie, że może poważyc się na coś podobnego, nie miało końca. Od przechodzącego Indjanina kupił za dwa dolary trzy twarde jak kamień suchary marynarskie, które, wraz z wielką ilością surowej wędzonki, wystarczyły mu na kilka razy. Niemyty i zziębnięty, w mokrem od potu ubraniu, drugą noc przespał w górach, zawinawszy się w płótna namiotu.

Wczesnym rankiem rozesłał na lodzie płachtę płótna brezentowego, władował na nią trzy czwarte tonny i zaczął ściągać nadół ten cały ładunek.

W pewnem miejscu, gdzie lodowiec był bardziej stromy, ładunek zsunął się szybciej, poderwał mu nogi, zarzucił na siebie i poleciał wraz z nim nadół.

Ze stu wychodźców, uginających się pod brzemieniem ciężarów, stanęło, patrząc, co z tego wyniknie. Kit z całej siły wrzeszczał, ostrzegając ludzi, którzy też przystawali i schodzili mu z drogi. Na dole, na drugim krańcu lodowca, pokazał się mały namiot, który zdawał się lecieć ku Kitowi, z taką szybkością rósł mu w oczach. Kit wyminął ubitą ścieżkę, którą trałgarze skręcali na lewo, i leciał polem świeżo spadłego śniegu, tak, że aż się za nim zakurzyło. Ale śnieg zahamował trochę pęd. Kit ujrzał, jak w pewnej chwili góra worków, na której leżał, runęła na namiot, zerwała boczne sznury, uderzyła w przednie płótna i wjechała do środka namiotu, wioząc go na górze worków. Namiot zatoczył się jak pijany, a Kit, owiany chmurą zimnego pyłu, znalazł się naraz twarzą w twarz ze zdumioną młodą damą, zawiniętą w koc, a która w Dyea nazwała go „*chechaquo*”.

— Widziała pani, jak się za mną zakurzyło? — spytał wesoło.

Rzuciła na niego pełne nagany spojrzenie.

— I co tu opowiadać o czarodziejskich kobiercach latających! — zachwycił się.

— Możeby pan usunął wreszcie ten worek z mojej nogi? — rzekła zimno.

Spojrzał i dźwignął się czempredze.

— To nie był worek. To był mój łokieć. Bardzo przepraszam.



Informacja ta nie zmieszała panny, a jej chłód był wprost wyzywający.

— Całe szczęście, że mi pan nie przewrócił piecyka — zauważyła.

Idąc za jej spojrzeniem, spostrzegł przenośny piecyk żelazny, a na nim imbryk z kawą, koło której krzątała się młoda Indjanka. Wciągnął w nozdrza woń kawy i znowu zwrócił wzrok na pannę.

— Jestem „*chechaquo*” — zaznaczył.

Niezadowolony wyraz jej mówił mu, że uważa go tu za zbyt czelnego. Ale Kit był bezczelny.

— Wyrzuciłem już swoje żelazo śmiercionośne! — dodał.

Dopiero wówczas poznała go i oczy jej błysnęły.

— Nigdybym nie przypuszczała, że pan zajdzie tak daleko! — oświadczyła.

Ale on znowu chciwie wciągnął w nozdrza powietrze.

— Jak Boga kocham — kawa!

I zwróciwszy się ku niej, rzeki wprost:

— Dam sobie odciąć mały palec — proszę, niech paniśnie choćby zaraz! Zrobię, co pani zechce. Zostanę pani niewolnikiem na rok i dzień, czy na jak długo pani będzie chciała, jeśli mi pani da filiżankę kawy.

Przy kawie przedstawił się jej i dowiedział się, z kim ma do czynienia. Nazywała się Joy Gastel i należała do rodziny kolonistów, osiadłych tu od dawna. Urodziła się na etapie poczty handlowej nad Great Slave i jeszcze jako małe dziecko wędrowała wraz z ojcem przez Góry skaliste nad Yukon.

Udawala się tam i teraz — jak mówiła — wraz z ojcem, którego jednak interesy zatrzymały po drodze w Seattle.

Wyjechawszy stamtąd na pokładzie osławionego „Chantera”, rozbił się i teraz musiał wracać do Puget — Sound parowcem, który przybył na pomoc.

Wobec tego, że dama siedziała wciąż zawinięta w koce, Kit nie rozpoczynał dłuższej rozmowy, lecz wymówiwszy się z nadludzkim bohaterstwem od drugiej filiżanki kawy, wycofał siebie i swe trzy ćwierci tonny bagażu z namiotu. Prócz tego wyniósł z namiotu kilka spostrzeżeń, a mianowicie: ona ma pociągające imię i pociągające oczy. Nie może mieć więcej jak dwadzieścia, dwadzieścia jeden lub dwadzieścia dwa lata. Jej ojciec musi być Francuzem. Ona ma własną wolę i szalony temperament. Wy-chowanie odebrała z pewnością nie na kresach.

Nad zheblowanymi przez łodowce skałami i linją lasów szlak wiódł około jeziora Krateru i wchodził w skalisty wąwóz, prowadzący do Obozu Szczęśliwego i pierwszych karłowatych świerków. Przeniesienie tedy ciężkiego bagażu wymagało całych dni pracy do upadłego,

Obite płótnem czółno przewoziło towary przez jezioro. Za dwoma nawrotami w dwóch godzinach mogło przewieźć Kita i jego tonnę towaru na drugą stronę. Ale Kit był bez grosza a przewoźnik żądał czterdziestu dolarów od tonny.

— To nędzne czółno to istna kopalnia złota, mój przyjacielu! — rzekł do niego Kit. — A nie chcielibyście mieć drugiej takiej kopalni?

— Pokażcie mi ją tylko — brzmiała odpowiedź.

— Ja ją wam sprzedam za cenę kosztów przewiezienia moich zapasów. Jest to idea nieopatentowana i możecie przystąpić do jej eksploatacji natychmiast gdy ją wam zakomunikuję. Umowa stoi?

— Stoil — zgodził się przewoźnik, a Kitowi spodobało się jego spojrzenie.

— Doskonale. Widzicie ten lodowiec? Weźcie oskard i zabierzcie się do niego. Za dzień możecie przekopać porządną rynnę. Widzicie ten wirch? Oto „towarzystwo Chilcoat Crater Lake do spuszczenia nadół towarów i pakunków, z ograniczoną odpowiedzialnością”. Możecie brać po pięćdziesiąt centów od stu funtów, mieć sto tonn dziennie i, nie ruszając palcem, zbierać pieniądze.

W dwie godziny później cały jego bagaż znajdował się już na drugim brzegu jeziora, co oszczędziło mu trzy dni drogi. John Bellew dopędził go już na drodze do jeziora Głębokiego, drugiego krateru, wypełnionego lodowatą wodą.

## VII

Ostatni odcinek szlaku z Długiego jeziora do jeziora Lindermana miał trzy mile długości, a sam szlak, o ile to można było wogóle nazwać choćby szlakiem wiódł przez ostry grzbiet na wysokości przeszło tysiąca stóp, opuszczał się wdół stro-

mem zboczem, usianem śliskimi głazami, a wreszcie szedł przez rozległe bagno. John Bellew zdumiał się na widok Kita, który ze stu funtami na plecach schylił się po pięćdziesięciofuntowy worek mąki i rzucił go na szczyt kozłów, opierając o kark.

— Chódźcież, proroku hartu! — zawołał na niego Kit. — Dalej, bierzcie się do swej niedźwiedziej strawy i jednej pary bielizny!

Ale John Bellew potrząsnął głową.

— Zdaje się, że zaczynam się starzeć, Krzysztofie!

— Macie przecie tylko czterdzieści osiem lat. Czy możecie sobie wyobrazić, że mój dziadek, szanowny panie, a wasz ojciec, zacny Izaak Bellew, jednym uderzeniem pięści zabił człowieka w sześćdziesiątym dziewiątym roku życia?

John Bellew uśmiechnął się i przełknął w milczeniu swoje własne lekarstwo.

— O, bracie mej matki, pragnę wam powiedzieć coś bardzo ważnego. Wychowano mnie na pani-czyka a jednak dźwignę dziś więcej od was, zajdę dalej niż wy i gdyby mi się spodobało, mógłbym was bez trudu rozciągnąć na ziemi lub wygrzmocić pięściami.

John Bellew uścisnął jego dłoń i rzekł uroczyście.

— Krzysztofku, chłopcze mój, wierzę, że możesz to zrobić. Wierzę, że mógłbyś to zrobić nawet z kozłami na plecach. Dokazałeś cudu, mój chłopcze, ale doprawdy wprost niepodobna w to uwierzyć.

Kit robił teraz cztery „tury” dziennie, to znaczy dwadzieścia cztery mile po górach, z czego dwanaście mil ze stu pięćdziesięcioma funtami na plecach. Był dumny, twardy i zmęczony, lecz zdrowy, jak rydz. Jadł i spał, jak nigdy jeszcze nie jadł i nie sypiał w swem życiu, a kiedy zadanie zbliżało się do końca, był jakby zmartwiony.

Ale jeden problem go niepokoił. Sprawdził, że można upaść ze stu funtami na plecach i przeżyć to. Zdawało mu się jednak, że gdyby tak upadł z dodatkowym ciężarem pięćdziesięciofuntowym na głowie, musiałby skręcić kark. A tymczasem tyśiące stóp jego towarzyszków każdą ścieżkę prowadzącą przez mokradła w krótkim czasie rozdeptywały tak, że trzeba było znowu wybierać sobie jakąś inną drogę. Otóż właśnie przy takiej sposobności, kiedy Kil torował sobie nową ścieżkę, rozwiązał ten zajmujący go problem.

Miękki, wodnisty grunt osunął się pod nim. Kit potknął się i upadł na twarz. Pięćdziesięciofuntowy worek wcisnął mu twarz w błoto i zesunął się, nie uszkodziwszy mu karku. Ze stu funtami na plecach Kit podniósł się tak, że stanął na czworakach. Ale to było wszystko. Jedna ręka zapadła mu się znowu aż po łopatkę, układając miękko na błocie jego policzek. W tej pozycji nie można było zsunąć z siebie szelek, a stufuntowy ciężar na plecach nie pozwalał wstać. Czołgając się na czworakach, przyczem to jedna to druga ręka głęboko zapadała mu w grząskie błoto, starał się dotrzeć do miejsca, w którem leżał pięćdziesięciofuntowy



worek z mąką, tak się jednak temu szamotaniem wyczerpał i tak zrył grząską powierzchnię, że naraż jedna mała kałuża znalazła się w niezbyt bliskim sąsiedztwie jego ust i nosa.

Próbował przewrócić się nawznak, na swój ładunek, ale zyskał tyle tylko, że oba jego ramiona zamoczyły się aż po pachy, co dało mu przesmak topienia się. Z doskonałą cierpliwością wyjął powoli naprzód jedną rękę a potem drugą i podłożył je sobie pod brodę, aby twarz utrzymać nad powierzchnią bagna. A potem zaczął wołać o ratunek. Po pewnym czasie usłyszał kroki i odgłos stóp, młaszczących po bagnie.

— Podajcie mi rękę, przyjacielu — rzekł. — Albo rzućcie mi jaki sznur czy tykę...

Odpowiedział mu głos kobiecy, który poznał natychmiast.

— Jeśli mi pani rozwiąże szelki, będę mógł wstać sam.

Przekłete sto funtów wleciały w błoto z mokrem świsnięciem i Kit dźwignął się powoli.

Ładna zabawa! — roześmiała się miss Gastell na widok jego oblepionej błotem twarzy.

— Nie najgorsza! — odpowiedział z humorem. — Jest to moje ulubione ćwiczenie gimnastyczne. Radzę pani próbować go czasami. Wyborne, jeśli idzie o wyrobienie mięśni piersiowych i grzbietu.

Otarł twarz, zgarniając błoto dłonią i strzepując je z palców na ziemię.

— Oh! — wykrzyknęła, poznając go. — To pan... pan... pan — Kurzawa!

— Szczerze dziękuję pani za pomoc w porę i za ten nowy przydomek—odpowiedział.—Zostałem drugi raz ochrzczony. Będę nastawał, aby mnie nazywano Kurzawą. Mocne to nazwisko i nie bez znaczenia.

Urwał. Lecz po chwili znów zaczął mówić gwałtownie z dzikim wyrazem twarzy.

— A wie pani, co zrobię? — zapytał. — Po pewnym czasie wrócę do Stanów Zjednoczonych. I ożenię się. I postaram się o to, żeby mieć dużo dzieci. A potem, o zmroku, będę zbierał dzieci dokoła siebie i będę im opowiadał o wszystkich cierpieniach i mękach mej wędrówki na Chilcoot'skim szlaku. A jeśli one wtedy włoś się nie rozplaczą — powtarzam, jeśli nie zaplaczą głośno — duszę z nich wytłukę!

## VIII

Zima podbiegunowa przysła w mgnieniu oka. Wysoka na sześć cali warstwa trwałego śniegu pokryła ziemię, a w spokojniejszych stawach tworzył się lód mimo gwałtownych podmuchów wiatru. Pewnego popołudnia, właśnie kiedy taki wiatr dął, Kit i John Bellew skończyli wraz z krewniakami ładowanie bagażu na czółno, a potem stali na brzegu, patrząc jak łódź znika w śnieżycy, szalejącej nad jeziorem.

— A teraz spać, bo jutro skoro świt ruszamy w powrotną drogę! — rzekł John Bellew. — Gdyby nie ta zadymka na szczycie Chilcoot, już jutro wie-

ozorem moglibyśmy stanąć u Dyea, a gdybyśmy jeszcze jakim szczęśliwym wypadkiem złapali statek, za tydzień moglibyśmy być w San Francisco.

— Udały się wujowi wakacje? — spytał zamyślny Kit.

To ich ostatnie obozowisko nad jeziorem Lindermana składało się już tylko z żalosnych szczątków. Krewniacy zabrali wszystko, co mogło służyć do jakiego takiego użytku, nie wyłączając namiotu. Podarte płótno brezentowe, rozpięte jako zasłona od wiatru i śniegu, chroniło zaledwie częściowo. Obiad musieli gotować na ogniu pod gołym niebem w dwóch starych kociołkach. Zostawiono im tylko koce i parę racyj żywności.

Od chwili odbicia czółna Kit był dziwnie zamyślony i zdenerwowany. Wuj zauważył to, lecz przypisywał ukończeniu ciężkiej pracy. Podczas obiadu Kit raz tylko się odezwał:

— O, bracie mej matki — rzekł ni stąd ni zowąd — po tem wszystkim życzę sobie, abyście nazywali mnie Kurzawa. Narobiłem trochę kurzu na tej drodze, prawda?

W kilka minut później poszedł w kierunku namiotów, gdzie krzatali się poszukiwacze złota, przenoszący jeszcze swój bagaż, lub sporządzający czółna. Bawił tam kilka godzin, a kiedy wrócił i zawiął się w koc, John Bellew już spał.

W ciemnościach zimnego i wietrznego poranku Kit wstał, rozpałił ognisko między swemi nogami, przez co wytopił lód z butów, poczem ugotował kawę i przysmażył wędzonkę. Było to nędzne i zim-

ne śniadanie. Gdy skończył, zapakował koc. John Bellew skierował się w stronę Chilcoot; Kit wyciągnął do niego rękę.

— Do widzenia, bracie mej matki — rzekł.

John Bellew spojrzał na niego i aż zaklął ze zdumienia.

— Niech wuj nie zapomina, nazywam się Kurzawa — napominał go Kit.

— Cóż ty będziesz robił?

Kit skinął ręką w stronę północy poprzez chłostane wichrem jezioro.

— Pocóż wracać, skoro się zaszło tak daleko? — zapytał. — A oprócz tego mam już przedsmak mięsa i — smakuje mi. Pójdę dalej.

— Jesteś bez grosza — zaprotestował John Bellew. — Nie masz wyekwipowania.

— Ale mam cel w życiu. Pamiętajcie o swym siostrzeńcu Krzysztofie Kurzawie Bellew. Znalazł cel w życiu. Jest służącym dostojnego pana. Ma cel w życiu, sto pięćdziesiąt dolarów miesięcznie i koryto. Pójdzie ku Dawson z parą dudków i służącym drugiego dostojnego pana — jako kucharz obozowy, wioślarz i człowiek do wszystkiego. A O'Hare z jego „Fala” niech diabli wezmą. Do widzenia.

John Bellew, osłupiały ze zdumienia, ledwie mógł wyjąkać:

— Nie rozumiem.

— Mówią, że szare niedźwiedzie są w Yukonie tłuste — tłumaczył mu Kit. — A więc, ponieważ ja mam już tylko jeden komplet bielizny, idę poszukać niedźwiedziego mięsa — oto wszystko.

## MIEŚO

### I

Gwałtowny wicher dał prawie bezustannie i Kurzawa aż się ślaniał, mocując się z nim na brzegu jeziora. Na jakich kilkanaście łodzi ładowano w zmroku świtania cenny bagaż, przeniesiony przez grzbiet Chilcootu. Łodzie własnego wyrobu niezgrabne były, zbite jakoś przez ludzi, którzy się tem nigdy nie zajmowali, sklecone z desek sporządzonych z pni nadbrzeżnych sosen. Właśnie jedno takie czołno, już naładowane, odbijało od brzegu a Kit stał i przyglądał się.

Dalej na jeziorze wiatr był dość łagodny, w tem miejscu jednak dał wprost na brzeg, podnosząc z mielizny fale brudnej wody. Załoga odbijającej od brzegu łodzi brnęła w wodzie w wysokich butach gumowych, chcąc zepchnąć czołno na głębszą wodę. Dwa razy powtarzali napróżno swe usiłowania, wskakując do czołna i starając się wiosłami zepchnąć je dalej, — czołno wracało i znowu osiadało na mieliznie. Kit spostrzegł, że piana na bokach czołna w mgnieniu oka ścinała się w lód. Trzeci wysiłek został uwieczniony częściowem po-



wodzeniem. Dwa poszukiwacze złota, którzy ostatni wskoczyli do łódki, przemokli do pasa, ale łódź wypłynęła na głębszą wodę. Załoga zaczęła niezgrabnie pracować ciężkimi wiosłami, starając się oddalić od lądu. Wreszcie wyciągnięto na maszt sporządzony z koców żagiel, rozpięto go na wietrze — i łódka w mgnieniu oka wróciła i osiadła po raz trzeci na zamarzającym brzegu.

Kit uśmiechnął się i zawrócił. Wiedział już, co go dziś czeka, bo właśnie występując w swej nowej roli, jako sługa dostojnego pana, miał dziś starać się odbić od brzegu na takiej samej łodzi.

Kto żył, pracował, i to pracował na wyścigi, bo zima była już tak blisko, że przeprawienie się przez wielki łańcuch jezior przed ich zamarznięciem stawało się bardziej niż problematyczne. Mimo to, kiedy Kit stanął przy namiocie panów Sprangue'a i Stine'a, dostojni ci panowie jeszcze spali.

Przy ogniu, zasłoniętym od wiatru brezentowem płótnem, siedział niski, krępy mężczyzna, paląc papierosa skręconego z bibuły.

— Hallo! — rzekł ów człowiek. — Jesteście może nowym służącym pana Sprague'a?

Kit skinął potwierdzająco głową. Zauważył, że słowa „służący” i „pan” zostały wymówione z pewną ironją i podkreślone prawie niedostrzegalnym mrugnięciem.

— Dobra. A ja jestem służącym pana Doc Stine'a — mówił dalej ów człowiek. — Mam pięć stóp i dwa cale wysokości i nazywam się Krótki, Jack Krótki, znany także jako „Johnny-Nagły”.

Kit podał mu rękę.

— Wychowano was na niedźwiedziem mięsie?  
— zapytał.

— Myśle! — brzmiała odpowiedź. — Choć prawdę mówiąc, pierwszym mojem pożywieniem było bawole mleko, o ile mogę sobie to dziś przypomnieć. Siadajcie i wsuńcie coś. Nasi chlebowodawcy jeszcze śpią.

Kit, mimo że był po śniadaniu, siadł pod płótnem i zjadł śniadanie drugi raz z bajecznym apetytem. W ciężkiej, wywołującej szybką przemianę materji pracy całych tygodni wyrobił sobie wilczy żołądek i apetyt. Mógł jeść wszystko w dowolnej ilości, nie czując nawet trawienia. Krótki był rozmowny i nastrojony pesymistycznie. Kit dowiedział się od niego nieoczekiwanych szczegółów o chlebowodawcach, szczegółów, nie wróżących bynajmniej szczęśliwej podróży. Tomasz Stanley Sprague był początkującym inżynierem górniczym i synem milionera. Doktor Adolf Stine miał także bogatego ojca. Dzięki swym ojcom obaj mieli poparcie pewnego syndykatu, który inwestował swe kapitały w aferze klondickiej.

— O, u nich pieniądz — to wszystko — mówił Krótki. — Kiedy przyjechali do Dyea, „porto“ skoczyło już siedemdziesiąt centów od funta, a w dodatku Indian wcale nie było. Właśnie przybyła partja ze wschodniego Oregonu — prawdziwi górnicy. Zabrali się do zorganizowania zaprzęgu Indian po siedemdziesiąt centów od funta, a mieli irzy tysiące funtów bagażu. Naraz zjawił się Sprague

i Stine, Sprague i Stine zaofiarowali od razu po osiemdziesiąt centów, po dziewięćdziesiąt, wreszcie po dolarze od funta, wobec tego Indianie zawarli z nimi umowę i zabrali ich bagaż. Sprague i Stine zdążyli tutaj na czas, choć ich to kosztowało trzy tysiące dolarów, a ci z Oregonu zostali na łodzi i będą musieli czekać wiosny.

— Ho, ho, dobre to płaszki, ci panowie, wasz chlebowadca i mój. Umieją postawić na swoim choćby kosztem innych. A co było, gdy stanęli nad jeziorem Lindermana? Cieśle kończyli właśnie czółno, zamówione przez pewną partję z Frisco za sześćset dolarów. Sprague i Stine dali im okrągły tysiąc dolarów i cieśle zerwali umowę. Łódź jest, owszem, niczego, ale partja z Frisco została wykiwana. Potrafili przetransportować swój bagaż aż tu, a teraz będą tu musieli zimować. Napijcie się jeszcze kawy i wierzcie mi, że gdybym nie musiał koniecznie dostać się do Klondike, nigdybym z takim bagażem nie podróżował. Ci ludzie nie mają serca. Konającemu wydarliby poduszkę z pod głowy, gdyby im była potrzebna do interesu. Macie z nimi umowę na piśmie?

Kit potrząsnął głową.

— No, to powiem wam otwarcie, kolego, że boję się trochę o was. Widzicie, o żywność w tym kraju trudno, a jestem pewny, że jak tylko dotrzemy do Dawsonu, puszczą was kantem. Ludzie będą zdychać z głodu tej zimy.

— Umówiliśmy się — zaczął Kit.

— Na gębę! — przerwał mu Krótki. — To znaczy,

że wy tak będziecie mówili, a oni inaczej. Prawda — jak wy się nazywacie, kolego.

— Nazywajcie mnie Kurzawa — rzekł Kit.

— Zobaczycie, Kurzawa, że z umowy ustnej będą nici. Przecie widać, czego się po nich można spodziewać. Tu publika wie, jak zbierać pieniądze, ale pracować albo wstać rano, tego oni nie umieją. Popatrzcie — od godziny już powinniśmy byli naładować łódkę i odbić od lądu. Lada chwila usłyszycie, jak zaczną wołać o kawę — naturalnie, żeby im ją dać do łóżka! I to są mężczyźni! Rozumiecie się na wioślarstwie? Ja jestem z zawodu pastuch i gajowy, na wodzie jestem do niczego, a oni też guzik wiedzą. Rozumiecie się na tem?

— Zobaczmy! — odpowiedział Kit, siadając bliżej brezentu, bo wichur coraz gęściej sypał śniegiem. — Ostatni raz siedziałem w łódce, kiedy byłem małym chłopcem, ale jestem pewny, że potrafimy się tego nauczyć.

Wichur zerwał płótno z jednej strony i śnieg posypał się Krótkiemu za kołnierz.

— O, my się potrafimy wszystkiego nauczyć! — mruknął gniewnie. — Pewnie, że potrafimy. Małe dziecko może się wszystkiego nauczyć. Ale możemy stawiać dolary przeciw orzechom, że się stąd dziś nie ruszymy.

Była ósma, kiedy z namiotu dało się słyszeć wołanie o kawę, a dziewiąta, kiedy wreszcie dwaj podróżnicy wyruszyli z niego.

— Hallo! — zawołał Sprague, dobrze odżywiony

dwudziestopięcioletni mężczyzna o różowych policzkach. — Pora w drogę, Krótki. Wy i —

Tu pytająco spojrział na Kita.

— Niedobrze słyszałem wczoraj wieczorem wasze nazwisko.

— Kurzawa.

— A więc, Krótki, wy i pan Kurzawa mogliście się zabrać do ładowania bagażu na łódź.

— Wystarczy Kurzawa, „pan” tu już zbyteczny — zauważył Kit.

Sprague odpowiedział krótkim kiwnięciem głowy i poszedł między namioty wraz z doktorem Stine'm, wychudłym, bladym młodzieńcem.

Krótki znacząco mrugnął na towarzysza.

— Przeszło półtorej tonny bagażu, a oni ani palcem ruszyć nie myślą. Widzicie!

— Domyślam się, że to dlatego, iż nam za tę robotę płacą! — rzekł Kit zgodliwie. — Trzeba się wziąć do niej.

Przenieść na plecach trzy tysiące funtów na odległość stu sążni nie było rzeczą łatwą, a już zrobić to wśród zawieruchy, ślizgając się po śniegu w ciężkich gumowych butach, było zadaniem prawie ponad siły. A pozostawało jeszcze zwinięcie namiotu i spakowanie wszystkich sprzętów obozowych. Następnie przyszło ładowanie bagażu na łódkę. Ponieważ czołno worywało się w piasek, trzeba je było coraz dalej spychać na wodę, w miarę jak ciężar rósł. Krótki i Kurzawa musieli brnąć przez wodę. O drugiej godzinie popołudniu skończyli wreszcie, i Kitowi, mimo że zjadł dwa



śniadania, aż słabo robiło się z głodu. Kolana trzęsły się pod nim. Krótki, doświadczając niewątpliwie tych samych uczuć, zaczął szukać wśród rynek i kociołków i wyciągnął sagan z ugotowaną zimną fasolą, wśród której kryły się wielkie kawały wędzonki. Była tylko jedna łyżka z długą rękojeścią, więc jedli nią naprzemian, grzebiąc w garnku. Kita ogarnęło niezłomne przekonanie, iż nigdy w życiu nie jadł czegoś tak dobrego.

— O, Boże, człowieku! — mruczał, jedząc. — Dopiero tu poznałem, co to prawdziwy apetyt.

Sprague i Stine zaskoczyli ich przy tem miłym zajęciu.

— Cóż to za guzdralstwo! — oburzył się Sprague. — Czy nigdy nie ruszymy?

Krótki głęboko zanurzył łyżkę w garnku, a potem wręczył ją Kurzawie. Nie odpowiadali, dopóki nie opróżnili garnka i póki dno nie zagrzytało pod łyżką.

— Istotnie, myśmy nic nie zrobili — rzekł wreszcie Krótki, wierzchem dłoni ocierając usta. — Myśmy tu siedzieli z założonemi rękami. Prawda, panowie nie będziecie mieli teraz co jeść. Że też nie pomyślałem o tem!

— Owszem, owszem — odpowiedział Stine żywo. — Myśmy już jedli w jednym namiocie z przyjaciółmi.

— Spodziewałem się tego — mruknął Krótki.

— Ale jeśliście już skończyli — to jazda!

— Oto łódź! — wskazał Krótki. — Bagaż już na niej. Jakże panowie chcecie się teraz zabrać do odbicia od brzegu?

— Zupełnie poprostu. Wsiądziemy do łodzi i zepchniemy ją na wodę. Jazda!

Weszli w wodę. Panowie wydrapali się na łódź, a Kit i Krótki starali się zepchnąć ją na głębszą wodę. Kiedy woda zaczęła im się już wlewać do butów, również skoczyli na łódź. Ale panowie nie trzymali w pogotowiu wiosł, wobec czego łódź popłynęła wstecz i znowu osiadła na piasku. Powtórzyło się to ze sześć razy z wielkim nakładem energii.

Krótki usiadł melancholijnie na przodzie łodzi, włożył do ust zwitek tytoniu i beznadziejnym wzrokiem zdawał się szukać rady we wszechświecie, podczas gdy Kit wylewał wodę z łodzi, a dwaj panowie wymieniali nieuprzejme poglądy.

Wreszcie odezwał się Sprague:

— Jeśli dokładnie zrobicie, co powiem, potrafimy odbić od lądu.

Zamiar był dobry, ale zanim Sprague zdołał skoczyć na łódź, przemókł do pasa.

— Trzeba rozbić namiot i rozpalić ogień — rzekł, kiedy łódź znowu osiadła na piasku. — Marzną!

— Nie bój się lekkiego przemoczenia — drwił Stine. — Są tacy, którzy gorzej dziś od ciebie przemokli. Teraz ja się do tej łodzi zabiorę.

Tym razem znowu on przemókł, wobec czego, dzwoniąc zębami, zażądał, aby rozpalono ognisko.

— Dla dwóch kropel wody! — mówił Sprague pogardliwie. — Ależ — jedziemy!

— Krótki, przynieście mi mój kufer z ubraniami i rozpalcie ogień — komenderował Stine.

— Ani mi się waźciel — krzyknął Sprague.

Krótki, zrozpaczony, spoglądał na jednego to na drugiego i nie ruszał się z miejsca.

— To jest mój człowiek i żądam, aby spełniał moje rozkazy! — odpowiedział Stine. — Krótki, wynieście kufer na brzeg!

Krótki usłuchał, a Sprague dygotał z zimna na łodzi. Kurzawa, nie otrzymawszy żadnego rozkazu, stał beczynn timer, rozkoszując się chwilą wytchnienia:

— Łódź, której załoga zwalcza się, nie popłynie — rzekł do siebie.

— Co to ma znaczyć? — wpadł na niego ostro Sprague.

— Nic. Rozmawiam sam ze sobą; to moje przyzwyczajenie — odpowiedział Kit.

Jego chlebodawca obdarzył go surowem spojrzeniem i dąsał się jeszcze jakiś czas. Ale po chwili i on się poddał.

— Dostańcie mój kufer z rzeczami, Kurzawa! — rozkazał wreszcie. — I czempredzej rozpalcie ogień. Zostaniemy tu do rana.

## II

Następnego dnia wiatr nie ustawał. Jezioro Lindermana zmieniło się w ciasny wąwóz górski, wypełniony wodą. Zlatujący z gór wiatr dał przez ten komin nieregularnie, to wybuchając gwałtownie, to znów zmieniając się w silny i stały powiew.

— Jeśli mnie pan zechce usłuchać — odezwał się Kit, kiedy już wszystko było gotowe do odbi-

cia od brzegu, — podejmę się zepchnąć łódź na głębinę.

— Co wy się na tem rozumiecie! — zachnął się Stine.

— Może się pan przekona!

Pierwszy raz w życiu pracował za pieniądze, ale mimo to w mig pojął konieczność karności. Posłusznie i chętnie brał udział w różnych daremnych wysiłkach odbicia od brzegu.

— Więc jakże wy to sobie wyobrażacie? — spytał go wreszcie napół z płaczem zdyszany Sprague.

— Niech panowie siadają i siedzą spokojnie, dopóki wiatr nie zcichnie, — a wtedy pchać z całych sił!

Mimo, że plan ten był całkiem prosty, on pierwszy wpadł na tę myśl. W zastosowaniu poskutkowało odrazu, wobec czego rozpięto na maszcie derkę i łódź pomknęła na jezioro. W Stine'a i Sprague'a zaraz wstąpiła otucha. Krótki, mimo swego chronicznego pesymizmu, nigdy nie tracił humoru, zaś Kit był zanadto zainteresowany, aby mógł być w złym nastroju. Sprague mocował się przez kwadrans ze sterem, wreszcie spojrzał błagalnie na Kita, który go natychmiast złuzował.

— Ręce mam jak połamane, tak rwie — jęknął Sprague na swoje usprawiedliwienie.

— Pan nigdy nie jadł niedźwiedziego mięsa, nieprawda? — spytał Kit ze współczuciem.

— Cóż, do diabła, rozumiecie przez to?

— O, nic, tak tylko myślałem.

A poza plecami swego chlebobdawcy spostrzegł

pochwalny grymas Krótkiego, który zrozumiał „po-  
intę” jego przenośni.

Kit sterował wzdłuż jeziora Lindermana, rozwijając zdolności, które młodym, rozpróżnionym bogaczom kazały mu dać tytuł sternika. Krótki był nie mniej zadowolony i oddał się zupełnie bezustannemu gotowaniu, pozostawiając koledze cały kłopot z łodzią.

Między jeziorem Lindermana i jeziorem Beneta znajdowała się przestrzeń bezwodna. Mały, ale rwący kanał unosił łódź lekko naładowaną. Łódź z lekkim ładunkiem przemknęła łączącym jeziora wąskim ale rwącym strumieniem i tu dopiero Kit nauczył się wiele o łodziach i wodzie. Kiedy jednak trzeba było przenieść bagaż, Stine i Sprague zniknęli, i ich służący dwa dni strawili w pocie czoła na transportowaniu bagażu na łódź. Była to niezmienna historia wielu nędznych dni tej podróży. Kit i Krótki pracowali aż do zupełnego wyczerpania, a ich panowie siedzieli z założonymi rękami i wymagali jeszcze, aby ich obsługiwano.

Coraz bardziej jednak zbliżała się podbiegunowa zima o stalowych szponach, a liczne i łatwe do uniknięcia zwłoki wciąż zatrzymywały ich w drodze. U „Wietrznego Ramienia” Stine, odebrawszy Kitowi ster, po godzinie podróży osadził łódź na płukanym przez fale języku skalistym. Znowu dwa dni zeszły na naprawie, a kiedy wreszcie rano Stine i Sprague siadali do łodzi, na jej przodzie i tyle wielkimi literami, nakreślonymi węglem, widniał napis „Chechaquo”.



Kit wyszczerzył w złośliwym uśmiechu zęby do tego szyderskiego napisu.

— Ha! — wykrzyknął Krótki, broniąc się przed zarzutami Stine'a. — Oczywiście, umiem czytać i pisać i wiem, że „Chechaquo” znaczy „Mamin Synek”, ale moje wykształcenie nie sięga tak daleko, abym się brał do malowania łodzi.

Szyderstwo ukłuło, więc chlebowodawcy krzywo patrzeli na Kita, który jednak ani pisał, że właśnie poprzedniej nocy Krótki błagał go o wy-malowanie tego paskudnego słowa.

— To było niegorsze od tego „szlema”, które-gście im dali wówczas swem niedźwiedziem mię-sem! — zwierzał mu się potem Krótki.

Kit parsknął śmiechem. W miarę jak odkrywał w sobie wciąż nowe źródła sił, rosła w nim niechęć do chlebowodawców. Nie było to skutkiem nieustannej zresztą irytacji, lecz raczej lekceważenia. On miał już przedsmak niedźwiedziego mięsa i za-smakował w niem — od nich zaś uczył, jak go jeść nie należy. W duchu dziękował Bogu, że nie jest do nich podobny. Zbrzydli mu tak, że jego niechęć zaczynała graniczyć wprost z nienawiścią. Ich zło-śliwość nie drażniła Kita tak, jak ich niedołęstwo. Zbudził się w nim stary Izaak Bellew i inni twar-dzi członkowie tej rodziny.

— Krótki! — rzekł pewnego poranku, kiedy, jak zwykle, nie można się było w łodzi doczekać chle-bodawców. — Czuję, że byłbym zdolny trzepnąć je-dnego i drugiego wiosłem po łbie i rzucić do rzeki.

— Ja też! — zgodził się Krótki. — To nie pozeracze mięsa, to pozeracze ryb i jestem pewny, że cuchną.

### III

Wreszcie pokazały się prądy, naprzód „Pułapka Kanyonu” o kilka zaś mil dalej „Biały Koń”. Nazwa „Pułapki Kanyonu” była zupełnie słuszną. Była to istotnie pułapka. Kto raz się w niej znalazł, cofnąć się już nie mógł. Po obu stronach wznosiły się pionowe, skaliste ściany. Rzeka zwęzała się tu nadzwyczajnie i waliła ciemnym korytarzem z taką szaloną szybkością, że w środku tworzył się grzebień o wysokości ośmiu stóp ponad wodą u skalistych brzegów. Grzebień ten uzębiony był falami, które wprawdzie opadały nadół, lecz skutkiem napływu nowych zdawały się tkwić nieruchomo w powietrzu. Kanyon ten był powszechnym postrachem, pobierał bowiem bezwzględnie żywe cło od poszukiwaczy złota.

Uwiązawszy łódź w odpowiednim miejscu u brzegu, Kit i jego towarzysze poszli pieszo na zwiady. Wydrapawszy się na skały, patrzyli na spienione pod nimi fale. Sprague cofał się, drżąc.

— Boże! — wykrzyknął — Wpław nie możnaby się uratować...

Krótki trącił Kita znacząco łokciem, mówiąc półgłosem:

— Spietrali się. Dolary przeciw orzechom, że z nami nie pojada.

Ale Kit słuchał jednym uchem. Od początku

podróż łodzią studjował upór i niepojętą zbrodni-  
czość tywiolów, a wżja, jaką miał teraz pod sto-  
pami, działała na niego jak wyzwanie.

— Musimy jechać wprost na ten grzebień —  
rzekł. — Jeśli z niego zjedziemy, woda rzuci nas na  
ścianę.

— I ani zipniemy! — zawyrokował Krótki. — Ku-  
rzawa, umiecie pływać?

— Wolałbym nie umieć, gdyby nam się tu noga  
miała powinąć.

— Jestem tego samego zdania — rzekł ponuro  
jakś nieznajomy, który, stanąwszy obok nich, pa-  
trzył w Kanyon. — Bardzo byłbym rad, gdybym to  
już miał poza sobą.

— A jabym się teraz z nikim nie zamienił —  
odpowiedział Kit.

Mówił szczerze, ale zarazem z zamiarem doda-  
nia odwagi nieznajomemu. Zawrócił, chcąc iść do  
łodzi.

— Chcecie przejechać? — spytał nieznajomy.

Kit skinął głową.

— Chciałbym móc się na to odważyć — wyznał  
nieznajomy. — Stoję tu już całe godziny. Im dłużej  
patrzę, tem większy strach mnie ogarnia. Nie je-  
stem wioslarzem, a towarzyszy mi tylko mój sio-  
strzeniec, młody chłopak, i moja żona. Jeżeli wam  
się uda, przewiezicie moją łódź i pomożecie mi  
potem?

Kit spojrział na Krótkiego, który zwłóczył z odpo-  
wiedzią.

— On jest z żoną — poddał Kit.

Nie zawiódł się.

— Rozumie się — odpowiedział Krótki. — Właśnie mi to przychodziło już na myśl. Czuję, że dla jakiejś przyczyny musimy mu pomóc.

Odchodzili, ale ani Sprague ani Stine nie ruszyli się z miejsca.

— Życzę wam powodzenia, Kurzawa! — zawołał Sprague. — Ja... ja będę... — Zawahał się.

— Ja będę tu stał i uważał na was.

— Musi nas być trzech, dwóch przy wiosłach a jeden przy sterze — odpowiedział Kit spokojnie. Sprague spojrzał na Stine'a.

— Ani mi nawet w głowie! — odezwał się „gentleman”. — Jeżeli ty się nie boisz stać tu i patrzeć, ja też się nie boję.

— Kto się boi? — spytał Sprague porywczo.

Stine odpowiedział mu w podobnym tonie i Kit ze swym towarzyszem zostawił ich kłócących się nad wodą.

— Damy sobie radę bez nich — mówił Kit do Krótkiego. — Ty siądziesz na przodzie łodzi z wiosłem, ja będę sterował. Cała rzecz, żebyś walił prosto przed siebie. Kiedy ruszymy i tak nie będziesz mógł mnie słyszeć, więc tylko uważaj — prosto przed siebie.

Odwiązali łódkę i skierowali ją na środek rwącego strumienia. Z Kanyonu dolatywał do ich uszu nieustannie grzmiący ryk. U wejścia do Kanyonu masa wody leciała gładko jak stopione szkło i tu, kiedy wpadli między mroczne ściany, Krótki włożył do ust galikę tytoniu i zanurzył wiosło w wo-

dzie. Łódź wyleciała na pierwszy grzebień wodnego słupa i ogłuszył ich ryk rozbestwionych fal, odrzucony przez skaliste ściany i powiększony przez wielokrotne echo. Mało tchu nie stracili w tumanie unoszącej się w powietrzu piany. Były chwile, w których Kit nie widział już swego towarzysza. W przeciagu dwóch minut przelecieli dwie trzecie mili tego piekła, wynurzyli się z niego cali i zatrzymali na płytkiej wodzie u brzegu.

Krótki wyladował wreszcie z ust swój ładunek soku tytoniowego — zapomniał go podczas przeprawy wypłuć — i zaczął mówić. — To była już pieczeń z niedźwiedziego mięsa! — wybuchnął. — To było prawdziwe mięso niedźwiedzie! Tego nam właśnie było trzeba, nieprawda, Kurzawa? Muszę ci wyznać w zaufaniu, że zanim odbiliśmy od brzegu, byłem jednym z najnędzniejszych robaków po tej stronie Gór Skalistych. Ale teraz jestem już pożeraczem niedźwiedzi. Chodźcie, powieziemy drugą łódkę.

W połowie drogi spotkali swych chlebobawców, którzy przyglądali się ich przeprawie z wysokiego brzegu.

— Idą już nasi pożeracze ryb — rzekł Krótki.  
— Trzymaj się pod wiatr.

#### IV

Przewiózłszy przez Pułapkę Kanyonu łódź nieznanego, który przedstawił się im jako Breck, Kit i Krótki zaznajomili się z jego żoną, szczupłą,



dziewczęcego wyglądu kobietą, której błękitne oczy były pełne łez wdzięczności. Breck chciał wręczyć Kitowi pięćdziesiąt dolarów, a gdy ten odmówił, kusił niemi Krótkiego.

— Cudzoziemcze — odpowiedział mu Krótki, — przyszedłem tu z zamiarem wybicia pieniędzy z ziemi a nie z sakiewek bliźnich.

Breck zaczął szukać w łodzi i znalazł butelkę wódki. Krótki już był wyciągnął po nią rękę, ale naraz cofnął się i potrząsnął przecząco głową.

— Mamy jeszcze przed sobą Białego Konia, który podobno jest gorszy od Pułapki Kanyonu. Do prawdy nie wolno mi przyjąć ani kieliszka w takich okolicznościach.

Przybili do brzegu o kilka mil niżej i wszyscy czterej poszli przyjrzeć się tej złej wodzie. Rzeka, która była nieprzerwanym ciągiem prądów o nierównym nurcie, odbita przez skalną rafę, biegła ku prawemu brzegowi. Cała masa wody, pędząc „z fałszem” w ciasne przejście, wzmagająca w przerażający sposób swą szybkość, wyrzucając wielkie fale białe i wściekle. To była straszna Grzywa Białego Konia, pochłaniająca jeszcze większą ilość ofiar, niż Pułapka Kanyonu. Z jednej strony Grzywy warczał świdrowaty wir, ściągający wszystko na dno — po drugiej stronie drugi wielki wir marszczył czarną powierzchnię wody. Aby przedostać się tędy, musiało się jechać samym środkiem Grzywy.

— To znacznie gorsze od Pułapki — stwierdził Krótki.

Kiedy tak stali nad wodą, na rzece pokazała

się łódź. Była to duża łódź, długa na jakie trzydzieści stóp, wioząca kilka tonn bagażu i obsługiwana przez sześciu ludzi. Zanim dotarła do Grzywy, zanurzyła się kilka razy i znów pokazała na falach, ginąc chwilami w obłoku piany.

Krótki zerknął z pod oka na Kita i rzekł:

— Piękna łódź i jedzie ładnie. Wciągnęli wiosła. Oho, już zaczyna. Boże, przepadła! Nie, widzicie ją!...

Łódź mimo swej wielkości zniknęła w tumanie, unoszącym się nad spienionymi grzbietami fal. W następnej chwili pojawiła się, niesiona przez fale, w samym gąszczu Grzywy. Kit z przerażeniem ujrzał cały spód łodzi nad wodą. Czółno zawisło na mgnienie oka w powietrzu. Wioślarze siedzieli na swoich miejscach beczynnie, wyjąwszy sternika, który stał w tyle łodzi u steru. Nastąpił skok nadół i łódź znowu zniknęła z oczu. Trzy razy tak wylądowała się i ginęła w falach, aż nagle stojący na brzegu ujrzeli, jak wir po prawej stronie chwycił jej przód i wyciągnął ją z Grzywy. Sternik, napróżno całym ciężarem ciała stawiając opór wirowi, poddał się nagle, pomagając łodzi wpłynąć w krąg wiru.

Trzy razy wracali, za każdym razem tak blisko skały, na której stał Kit z Krótkim, że można było skoczyć na pokład łodzi. Sternik, mężczyzna z zapuszczoną niedawno rudą brodą, przesłał mu pozdrowienie dłonią. Jedyne wyjście z tego pola wirów było przez Grzywę, i robiąc po raz trzeci koło, łódź wpłynęła w nią ukośnie dziobem. Obawiając się może, aby wiry łodzi nie wciągnęły, sternik nie

starał się w porę naprostować jej biegu. Kiedy to uczynił, było za późno. Łódź naprzemiany, to włączając w powietrzu, to idąc pod wodę, płynęła nakuś przez Grzywę w wirowy lej po drugiej stronie rzeki. O jakie sto stóp dalej pokazały się pływające w wodzie skrzynie i toboły, a potem spód przewróconej łodzi i głowy sześciu rozproszonych ludzi. Dwu udało się dotrzeć do płytkiej wody u brzegu, czterech utonęło, a wszystko co mogło się utrzymać na powierzchni wody, zniknęło z oczu, zniesione szybkim prądem za zakręt rzeki.

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie.

Pierwszy odezwał się Krótki.

— Chodź! — rzekł do Kurzawy. — Tak czy siak musimy łódź przepchać. Spietram się, jak się będę dłużej przyglądał.

— Pojedziemy, aż się za nami zakurzył! — odpowiedział mu z zawziętym uśmiechem Kurzawa.

— A ty z pewnością zasłużysz sobie na swój przydomek — odrzekł Krótki, poczem, zwróciwszy się do chlebobawców, zawołał: — Panowie idą?

Nie dosłyszeli jakoś, prawdopodobnie z powodu buku.

Brodząc w śniegu wysokim na stopę, wrócili na miejsce, gdzie prąd się zaczynał, i odwiązali łódź. Kit myślał tylko o dwóch rzeczach: o charakterze i odwadze swego towarzysza, a myśl ta dodawała mu bodźca, a bodźca również dodawała mu myśl, że tak stary Izaak Bellew, jak i wszyscy inni członkowie tej rodziny, dokonywali podobnych czynów w swym zwyczajnym pochodzie na Zachód.

Co oni mogli zrobić, tego i on dokaze. To było mięso, twarde mięso i Kurzawa czuł jak nigdy, że takie mięso mogą jeść tylko silni ludzie.

— Syp prosto na sam wierzchołek grzbietu! — krzyknął mu Krótki, wkładając do ust zwitek tytoniu, kiedy coraz szybciej lecąca łódź kierowała się ku prądom.

Kit kiwnął głową; zwaliwszy się całą siłą i całym ciężarem ciała na ster, spróbował go i ruszył wprost na prądy.

Kiedy w kilka minut później napół żywi przybili w płytkiej wodzie do brzegu poniżej Białego Konia, Krótki wypuł sok tytoniowy, wypełniający mu usta, i potrząsnął dłonią Kurzawy.

— Mięsol mięsol — śpiewał. — Jemy je na surowo! Jemy je żywcem!

Na brzegu spotkali Brecka. O parę kroków dalej stała jego żona. Kit uściśnął rękę Brecka.

— Obawiam się, że wasze czółno tego nie dokaze — rzekł. — Jest mniejsze od naszego i, zdaje mi się, łatwo wywrotne.

Breck wyjął paczkę banknotów.

— Dam wam po sto dolarów na głowę, jeśli mi je przewiezicie.

Kit popatrzył chwilę na miotające się fale Grzywy Białego Konia. Zapadał długi, pogodny zmierzch, zdawało się, że jest zimniej, a krajobraz nabrał jakichś czarnych, dzikich tonów.

— Nie o to idzie — odezwał się Krótki. — Nie potrzebujemy waszych pieniędzy. Nigdybyśmy ich nie wzięli. Ale mój towarzysz jest specjalistą od

łódek, a jeśli on mówi, że wasza łódź nie jest pewna, to wie co mówi.

Kit kiwnął głową, ale przypadkiem wzrok jego padł na panią Breck. Utkwiła w nim oczy i Kit pojął, że jeśli widział kiedy w oczach kobiety modlitwę, to widział ją właśnie w jej wzroku. Krótki powiódł wejrzeniem za jego oczami i zrozumiał, co się dzieje. Patrzyli tak na siebie zakłopotani i milczeli. Wreszcie, tknięci wspólną myślą, kiwnęli głowami i ruszyli w powrotną drogę ku Białemu Koniowi. Ale ledwie zrobili sto kroków, kiedy spotkali Stine'a i Sprague'a, idących z biegiem rzeki.

— Dokąd? — spytał szorstko Sprague.

— Przewieźć łódkę tego człowieka — odpowiedział Krótki.

— Nie, dosyć tego. Robi się ciemno. Rozbijecie namioty i przygotujecie obozowisko.

Kita ogarnął wstręt tak wielki, iż nie pozwalał mu ust otworzyć.

— Ten człowiek jest z żoną — rzekł Krótki.

— To jego rzecz — rzucił Stine.

— I Kurzawy i moja! — odrzekł Krótki.

— Zabraniam wam, Kurzawa, — rzekł Sprague szorstko, — jeszcze jeden krok a oddalę was.

— A ja was, Krótki — dodał Stine.

— I diabli was obu bez nas wezmą! — wybuchnął Krótki. — Jakże dojedziecie na swej przeklętej łodzi do Dawsonu? Kto wam poda kawę do łóżka, kto wam zrobi manicurę? Chodźcie, Kurzawa. Nie mogą nas puścić kantem. Mamy przecie umowę.



Jeśli zechcą nas oddalić, muszą nam dać żywność przynajmniej na całą zimę.

Ledwie odbili od brzegu na łodzi Brecka i dotarli do prądu, zaczęły przez nią przeskakiwać fale. Nie były one wielkie, ale to było najgroźniejsze ze wszystkiego, co ich mogło spotkać. Krótki drwiąco ogłądał się za siebie, kiedy spostrzegł, że zbliża się nieunikniony skok, a Kitowi dziwnie gorąco zrobiło się koło serca na myśl o tym człowieku, który nie umiał pływać i dla którego w razie jakiegoś wypadku nie było ratunku.

Prąd stawał się coraz gwałtowniejszy, w powietrzu już fruwała piana. W zapadającym zmroku Kit rzucił okiem na Grzywę i skręcający na prawo prąd. Skierował się prosto ku temu prądowi, z radością widząc, że łódź leci wprost na środek Grzywy. A potem w mokrym obłoku, lecąc na falach, to znów pod niemi, nie zdawał sobie właściwie już z niczego jasno sprawy, wyjąwszy tylko to, że całym ciężarem napierał na rękojeść steru i pragnął, żeby go tak wuj mógł zobaczyć. Wyskoczyli wreszcie z odmetów bez tchu, przemoczeni, z łodzią pełną wody niemal po brzegi. Lżejsze skrzynie i worki pływały w łodzi. Kilkoma mądrymi uderzeniami wiosłem Krótki skierował łódź z prądu na płytką wodę, która poniosła ich dalej, aż wkońcu łagodnie dotknęli brzegu. Tam stała pani Breck i spoglądała zgóry ku nim. Modlitwa jej została wysłuchana i teraz lży spływały jej po polieczkach.

ludzie nie mieli marchwianych łap — mówił trzeciego dnia Kit do Krótkiego, kiedy wieczorem suszyli przy ogniu swe kierpce. Nawet dziś moglibyśmy jechać dalej, gdyby nie to, że zachciało się im znowu wrócić. Jeszcze godzina — i bylibyśmy u zachodniego brzegu. Ale to są — to są niemożliwa w pieluchach.

— Pewnie! — zgodził się Krótki. Przysunął do ognia swe kierpce i dumał przez chwilę. — Słuchaj, Kurzawa! Do Dawsonu mamy jeszcze setki mil. Jeśli nie chcemy zamarznąć tutaj, musimy coś zrobić. Jak myślisz?

Kit spojrział na niego i słuchał:

— Nie możemy być przecie igraszkami w rękach tych smarkaczów — tłumaczył Krótki. — Oni umieją rozkazywać i sypać hopami, ale, — jak sam powiedziałeś — to dziecil! Jeśli mamy się dostać do Dawson, musimy wraz z bagażem przewieźć jeszcze i te dwa tłumoki.

Spojrzeni po sobie.

— Zgodzi! — rzekł Kit, podając mu rękę.

Na drugi dzień, na długo jeszcze przed świtem, Krótki wydał okrzyk wojenny.

— Wstawać! — huczał. — Wstawajcie, śpiochy. Tu macie kawę, pijcie. Jedziemy, trzeba się śpieszyć!

Narzekając i stękając, Stine i Sprague musieli ruszyć w drogę o dwie godziny wcześniej niż zwykle. Wichura była gorsza niż dotychczas i po krótkim czasie wszystkie twarze pokryły się szronem a wiosła, oblepione lodem, ciążyły jak nigdy. Mordowali się tak trzy godziny, cztery. Jeden siedział przy

sterze, dwóch wiosłowało, a czwarty rąbał łód. W zajęciach tych zmieniali się kolejno. Północno-zachodni brzeg zbliżał się z każdą chwilą, ale i wichur zmieniał się w huragan i wreszcie Sprague, zmęczony i wyczerpany, wyciągnął swoje wiosło. Krótki, choć jego kolej jeszcze nie przyszła, skoczył do wiosła.

— Rąbcie łód—rzekł, podając Sprague'owi siekierę.

— Ale poco to wszystko!—jęknął Sprague.—Nie damy i tak rady. Wracajmy.

— Pojedziemy dalej! — mówił Krótki. — Rąbcie łód. A kiedy wytniecie — złuzujecie mnie.

Był to ciężki trud, a gde wreszcie przybili do skalistego brzegu, pełnego raf, pokazało się, że nie ma miejsca zdatnego do lądowania.

— Mówilem wam!—odezwał się żałośnie Sprague.

— Aniście nawet nie pisnęli! — odpowiedział Krótki.

— Wracajmy.

Nikt nie odezwał się ani słowem, a Kit, odbiwszy od niegościnnego przylądka, skierował łódź na jezioro. Woda była tak wzburzona, że czasami jedno uderzenie wiosła posuwało łódź zaledwie o stopę naprzód, a zdarzały się chwile, w których wiosłowali na miejscu, znoszeni przez fale. Kit starał się wszelkimi sposobami dodać otuchy niedołęgom. Tłumaczył im, że żadna z łodzi, które odpłynęły w tym kierunku, nie powróciła, że musi tu być jakieś schronisko, czy miejsce do wylądowania. Pracowali tak godzinę, jedną, drugą.

— Gdybyście, chłopcy, włali tak w te wiosła kawę, którą popijaliście w łózkach, z pewnością dawno już siedzielibyśmy przy ogniu! — żartował Krótki. — Kiwacie się i kiwacie, a nie ruszamy się naprzód ani na krok.

W kilka minut później Sprague puścił wiosło.

— Nie mam już sił! — rzekł ze łzami.

— My też! — odpowiedział Kit tak strasznie wyczerpany, że gotów był płakać lub zamordować kogo. — A mimo to pojedziemy dalej.

— Wracajmy. Zawróćcie.

— Krótki, skoro on nie chce wiosłować, weź od niego wiosło.

— Pewnie! — brzmiała odpowiedź. — Może rąbać lód.

Ale Sprague nie chciał oddać wiosła. Stine przestał wiosłować i łódź zaczęła się cofać.

— Zawracać, Kurzawa! — rozkazał Sprague.

Zaś Kit, który nigdy złego słowa nikomu nie powiedział, zadziwił sam siebie.

— Prędzej was djabli wezmą! — krzyknął. — Biercie się natychmiast do wiosła!

W chwilach wyczerpania ludzie zapominają o wszelkich prawach cywilizacji. Taka chwila nadeszła. Każdy z tych czterech ludzi doszedł do swego punktu przełomowego. Sprague ściągnął mitynki, dobył rewolweru i zmierzył do sternika. Była to dla Kita rzecz nowa. Nigdy mu nikt rewolwerem nie groził. Ale nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia.

Wyglądało to zupełnie naturalnie.

— Jeżeli nie schowacie tej pukawki — rzekł — odbiorę ją i kostki u rąk wam nią poobijam.

— Jeśli nie zawrócicie, zastrzelę was na miejscu — groził Sprague.

Teraz wmieszał się do tego Krótki. Przestał rąbać lód i szybko stanął za plecami Sprague'a. C

— Spróbujcie strzelić! — wołał, wywijając siekierą. — Aż mnie ręka swędzi, aby wam łeb rozwalić. Dalej, rozpoczynajcie tę uroczystość!

— To bunt! — wpadł Stine. — Najeliśmy was do wykonywania naszych rozkazów.

Krótki zwrócił się do niego.

— O, poczekajcie, dostaniecie i wy też swoje, jak tylko skończymy z waszym współnikiem, wy, śmierdzący, ofermisty flejtuchu!

— Sprague! — odezwał się Kit. — Daję wam trzydzieści sekund na schowanie rewolweru i założenie wiosła.

Sprague zawahał się, zaśmiał się histerycznie i schował rewolwer, pochylając się nad wiosłem.

Cał po calu posuwali się naprzód jeszcze przez dwie godziny wśród niewypowiedzianych wysiłków wzdłuż pniącego się od fal skalistego wybrzeża i wkońcu sam Kit już zaczął się obawiać, czy nie strzelił głupstwa. Lecz właśnie w chwili, kiedy zamierzał dać hasło do odwrotu, wjechał w ciasny kanał, szeroki może na dwadzieścia stóp, a prowadzący do osłoniętej ze wszystkich stron zatoczki, gdzie najsilniejszy nawet wicher nie marszczył gładkiej powierzchni wody. To była przystań, do której zawijały snąć poprzednie łodzie. Przybili do piasz-



czystego wybrzeża, a podczas gdy ich chlebobawcy leżeli wyczerpani w łodzi, Kit i Krótki rozpięli namiot, rozpalili ogień i zabrali się do gotowania obiadu.

— Co to jest właściwie „śmierdzący, ofermisty flejtuch”, Krótki? — spytał Kit.

— A diabli wiedzą! — wzruszył ramionami. — Ale ja myślę, że to właśnie to —

Wichura, która nad wieczorem zaczęła zcichnąć, z zapadnięciem nocy zcichła zupełnie i zrobiło się jasno i zimno. Garnuszek kawy, odstawiony z węgli, aby trochę ochłódł i zapomniany, w parę minut później pokrył się skorupą lodową, grubą na pół cala. O ósmej wieczorem, kiedy Sprague i Stine, zawinięci w derki, spali snem wyczerpania, Kit, który poszedł był obejrzeć łódź, wrócił zaniepokojony.

— Jezioro zamarza! — oświadczył Krótkiemu — całe pokryło się już cienkim lodem.

— Cóż myślisz zrobić?

— Mamy jedno tylko wyjście: jezioro dopiero zamarza. Żywszy nurt rzeki jeszcze kilka dni obroni się zamarznięciu. Łódź, która dziś nie opuści jeziora Le Barge, zostanie tu do wiosny.

— Chcesz ruszać zaraz w nocy? Teraz, zaraz? Kit kiwnął głową.

— Wstawać, śpiochy! — krzyknął, zamiast odpowiedzi, Krótki, rycząc tak głośno, że aż echo zahuczało w górach.

I natychmiast zaczął zwijać namiot.

Obaj młodzi ludzie wstali, jęcząc z bólu, jaki

im sprawiały zeszywniałe mięśnie, i słaniając się na nogach z niewyspania.

— Która godzina? — spytał Stine.

— Pół do dziewiątej. Ciemno jeszcze — stwierdził Sprague.

Krótki wyciągnął dwa boczne kolki z ziemi i namiot pochylił się.

— Bo też to nie jest pół do dziewiątej rano — rzekł — ale wieczorem. Prędeej. Jezioro zaczyna zamarzać. Musimy się z niego dziś wydostać.

Stine siedział skrzywiony i wściekły.

— Niech sobie zamarza. My się ani ruszymy.

— Bardzo słusznie. Wobec tego my dwaj siędziemy na łódź i pojedziemy.

— Najęliśmy was...

— Abyśmy was dowieźli do Dawsonu. Wieziemy was, czy nie?

To mówiąc, zwałił im na głowę pół namiotu.

Wyrobali sobie drogę w cienkim lodzie zatoki i wydostali się na jezioro, gdzie woda ciężka i jakby ze szkłem zmieszana, z każdym uderzeniem wiosel przymarzała do nich. Wydawało się, jak gdyby się ciągnęła, tak się przylepiała do wiosel i, ściekając, zamarzała w powietrzu. Powierzchnia ścinała się coraz bardziej, hamując i tak powolne posuwanie się łodzi.

Nieraz później Kit, odtwarzając sobie w pamięci tę noc i zbierając napółzatarłe wspomnienia, ze zdumieniem myślał o tem, jak strasznie musiał wówczas cierpieć Sprague i Stine. On sam miał wraże-

nie, jak gdyby to była jakaś straszna tysiącletnia walka z mrozem i wyczerpaniem.

Świt zastał ich uwięzionych w lodzie. Stine płakał nad odmrożonemi palcami. Sprague nad odmrożonym nosem, a dotkliwy ból nosa i policzka pozwalał Kitowi domyślać się, że i jego mróz nie oszczędził. W miarę jak się rozwidniało, widzieli dalej, ale dokąd wzrok ich sięgał, wszystko zamieniało się w lód. Woda jeziora zniknęła. O jakie sto sążni dalej widać było północny brzeg. — Krótki przysięgał, że widzi tam koryto rzeki i wodę. Ale tylko on i Kit byli jeszcze zdolni do pracy, więc wiosłami rozbijali lód i tak posuwali się naprzód. Kiedy już siły ich wyczerpały się ostatecznie, porwał ich szybki prąd rzeki. Obejrzawszy się, ujrzeni za sobą kilka łodzi, które przez całą noc posuwały się naprzód a teraz beznadziejnie osiadły na lodzie. Ale wkrótce nurt, lecący z szybkością sześciu mil na godzinę, poniosł łódź za zakręt rzeczny, i jezioro zniknęło im z oczu.

## VI

Dzień za dniem mknęli z szybkim biegiem rzeki, lecz z każdym dniem rozszerzała się też powierzchnia lodu. Kiedy wieczorem przybijali do brzegu, trzeba było robić dla łodzi przerębel i przenosić na brzeg sprzęty obozowe nieraz kilkaset stóp przez zamarznąłą rzekę. Rano siekierami torowali łodzi drogę przez nowy lód ku niezamarzniętemu prądowi rzeki. Krótki ustawił na łodzi

przenośny piecyk żelazny; kucali przy nim Stine i Sprague przez długie, beczynne godziny. Podali się, nie wydawali już rozkazów, a jedyne, czego pragnęli, było dotrzeć wreszcie do Dawsonu. Krótki, usposobiony jak zwykle, pesymistycznie lecz nieznużony i wesoły, wyśpiewywał na cały głos trzy pierwsze wiersze strofy jakiejś dawno zapomnianej pieśni, a im zimniej było, tem głośniej śpiewał:

„Jak Argos starych czasów  
Idziemy z Grecji w świat,  
By zdobyć — tum-tum, tum-tum, tum-tum!  
Złotego Runa kwiat“.

Kiedy mijali ujście rzek: Hootalinqua, Wielkiego i Małego Łososia, zauważyli, że rzeki te niosą kry do samego Yukonu. Kry te zbierały się i gromadziły dokoła łodzi, przylepiały się do niej i wieczorem trzeba było łódź wyrąbywać z prądu. Tak samo było rano.

Ostatnią noc na lądzie spędzili między ujściem Białej i Rzeki Stewarta. O świcie spostrzegli, że pas wody szeroki na pół mili, Yukon, był cały biały od jednego skutego lodem brzegu do drugiego. Krótki kłął na zatrzęsienie świata, ale z mniejszym humorem niż zwykle i zafrasowany spojrzał na Kita.

— Nasza łódź będzie ostatnią, która tego roku przyjedzie do Dawsonu — rzekł Kit.

— Kiedy niema wody, Kurzawa!

— To pojedziemy lodem. Jazda, w drogę.

Sprague'a i Stine'a, napróżno protestujących, wrzucono jak tłumoki do łodzi.

Kit i Krótki z siekierami w rękach przez pół godziny torowali drogę ku silnemu, szybkiemu prądowi. Kiedy im się wreszcie udało przebić przez łód przybrzeżny, płynąca kra przycisnęła łódź do lodu i tarła go tak o jego skraj jakie sto sążni, odrywając połowę burtu i omal łodzi nie wywróciwszy. W dolnej części zakrętu znowu wypłynęli na prąd, który w tem miejscu odbijał się od brzegu. Kierowali się wciąż dalej ku środkowi. Rzeka niosła już nie, drobną krę lecz wielkie bryły lodu, w oczach rosnące i przymarzające do siebie. Odpychając je wiosłami a czasem skacząc na nie, aby pomóc łodzi przecisnąć się dalej, po całogodzinnej pracy dotarli do środka rzeki. W pięć minut później łódź znów zamarzła. Cała rzeka tężała w biegu. Bryła zrastała się z bryłą, aż wreszcie łódź znalazła się w środku bryły o średniej siedemdziesięciu pięciu stóp. Czasami płynęli teraz bokiem, czasami zwróceniu ku przodowi rufą łodzi, podczas gdy zmieniający się punkt ciężkości zrywał więzy zlepiających ruchomych mas, aby je w chwilę później skuć jeszcze mocniej. Godziny mijały. Krótki palił w piecu, gotował i śpiewał swą pieśń wojenną.

Nadeszła noc. Po niezliczonych daremnych wysiłkach przybicia do brzegu zrezygnowali i lecieli bezradnie w ciemną noc.

— Co będzie, jeśli miniemy Dawson? — spytał Krótki.

— Wrócimy pieszo — odpowiedział Kit — o ile tymczasem kry nie zetrą nas w proch.

Niebo było jasne i w zimnem świetle drżących



gwiazd widać było czasem góry lodowe, wynurza-  
jące się zdala po obu stronach rzeki. O jedenastej  
godzinie dał się słyszeć głuchy, zgrzytliwy ryk.  
Szybkość, z jaką więżąca ich bryła lodu dotych-  
czas leciała, zmniejszyła się, lód zaczął piętrzyć  
się, trzeszczeć i sunąć na nich. Rzeka scinała się.  
Jedna bryła lodu przesunęła się przez ich bryłę  
i zerwała bok łodzi. Łódź nie utonęła, ponieważ  
bryła, w którą wmarzła, wciąż ją jeszcze niosła,  
ale w chwili, kiedy się okręciła, ujrzeli czarną wo-  
dę niedalej jak w odległości stopy. A potem wszel-  
ki ruch ustał. Po pół godzinie cała rzeka zerwała  
się i znowu zaczęła się ruszać. Ruch ten trwał go-  
dzinę, poczem znowu stłumiła go kra. Rzeka szarp-  
nęła się jeszcze raz i poskoczyła naprzód gwał-  
townie, dziko, z wielkim chrzęstem i zgrzytem.  
A wtedy ujrzeli światła na brzegu i kiedy znaleźli  
się naprzeciw nich Yukon się poddał i przestał być  
rzeką na sześć miesięcy.

Kilku ciekawych z Dawsonu, stojąc na brzegu  
i przyglądając się zamarzaniu rzeki, usłyszało dolatu-  
jący do ich uszu z ciemności śpiew wojenny Krótkiego:

„Jak Argos naszych czasów  
Idziemy z Grecji! w świat,  
By zdobyć — tum-tum, tum-tum, tum-tum!  
Złotego Runa kwiat.

## VII

Kit i Krótki pracowali przez trzy dni jak konie,  
przenosząc ze środka rzeki półtorej tonny bagażu  
do drewnianego domku, który Sprague i Stine ku-

pili; domek stał na wzgórzu, nad Dawsonem. Po ukończeniu pracy Sprague o zmroku zawezwał Kita do swego ciepłego pokoju. Na dworze termometr pokazywał sześćdziesiąt pięć stopni poniżej zera.

— Nie byliście u mnie całego miesiąca, prawda, Kurzawa? — odezwał się Sprague. — Ale oto zapłata za cały miesiąc. Życzę wam szczęścia.

— A cóż będzie z umową? — zapytał Kit. — Wiecie, że tu jest głód. Nawet w kopalniach nie można dostać roboty, jeśli się nie ma własnych zapasów żywności. Umówiliśmy się.

— Nie wiem o żadnej umowie — przerwał mu Sprague. — Stine, czy słyszałeś o jakiej umowie? Najeliśmy was na miesiąc. Oto wasza zapłata. Czy chcecie pokwitować?

Kitowi zrobiło się ciemno w oczach i ręce zaczęły mu latać. Obaj młodzi ludzie cofnęli się, zobaczywszy to. W życiu swoim Kit nie uderzył w gniewie człowieka, lecz tak był pewny, że stłucze Sprague'a na kwaśne jabłko, iż nie mógł się na niego zamierzyć.

Krótki zauważył jego zmieszanie i przyszedł mu z pomocą.

— Słuchajcie, Kurzawa! Nigdy w życiu nie podróżowałem jeszcze z tak brudnym bagażem. Dopiero dziś wdepnąłem. Musimy się trzymać kupy, rozumiecie? No, a teraz zabierzcie swoje koce i sypcie pod „Jeleni Róg”. Czekaście tam na mnie. Ja się tu tymczasem rozprawię, wezmę, co mi się należy, i dam im, co im się należy. Na wodzie nie jestem bardzo mocny, ale teraz jestem już na sta-

łym ładzie i jestem pewny, że tu się pierze posypie.

W pół godziny później Krótki zjawił się pod „Jelenim Rogiem”. Po zakrwawionych kostkach palców i zadraśnięciu na policzku można było poznać, że istotnie dał Stine'owi i Sprague'owi co im się należało.

— Trzeba wam było widzieć, jak ta chałupa wyglądała! — zaśmiał się gdy stanęli przy szynkfasie. — Bójka w karczmie to mało! Stawiam dolary przeciw orzechom, że przez cały tydzień nie będą się mogli pokazać na ulicy. A teraz musimy pomyśleć o sobie. Żarcie kosztuje półtora dolara funt. Roboty nie można dostać, jeśli się nie ma własnych zapasów żywności. Ale mięso łosiowe sprzedaje się po dwa dolary funt, a niema go. Mamy dość pieniędzy na całomiesięczny zapas żywności i amunicję, jeśli powędrujemy w głąb Klondike. Nie będzie łosiów — przezimujemy u Indian. Ale, jeśli od dziś do sześciu tygodni nie zdobędziemy pięciu tysięcy funtów mięsa, pójdę do naszych pryncypałów i przeproszę ich. Stoi?

Podali sobie ręce.

Ale Kit zmarszczył brwi.

— Kiedy ja się zupełnie nie znam na polowaniu! — rzekł po chwili.

Krótki podniósł swój kieliszek.

— Ale z pewnością jadacie mięso! Tak? No, to ja was nauczę.

## BIEG DO SQUAW CREEK.\*)

### I

W dwa miesiące po wyprawie na łosie w celu zdobycia żywności Kurzawa-Bellew i Krótki, wróciwszy do Dawsonu, siedzieli pod „Jelenim Rogiem”. Polowanie udało się, mięso zwieziono i sprzedano po dwa i pół dolara za funt, skutkiem czego w posiadaniu ich znalazł się worek piasku złotego w cenie trzech tysięcy dolarów i dobry zaprząg psów. Poszczęściło się im. Mimo iż ruch, powstały z powodu złotej gorączki, wypłoszył zwierzynę na sto mil w góry, Kurzawa i Krótki w połowie tej odległości ubili w ciasnym wąwozie cztery łosie.

Zabłakanie się tu łosi było niemniej cudowną rzeczą, jak szczęście myśliwych, którzy zwierzęta zabili. Albowiem niedalej jak w odległości jednego

---

\*) Bieg do Squaw Creek. Czytelnicy Jack'a Londona wiedzą, iż indyjskie słowo „Squaw” oznacza kobietę. Słowo „Creek” oznacza małą zatoczkę górską, rzeczkę o stromych ścianach, wąwóz, jar. W tym wypadku najstosowniejsza nazwa będzie „jar”, aczkolwiek w rzeczywistości jar jest wcięty w równinę, zaś tu mamy do czynienia z rzeczką, płynącą wąwozem górskim, na co język nasz niema ścisłej nazwy.

Trzeba też powiedzieć o tem, co jest „bieg”, oznaczony specjalnem słowem ang. „stampede” („stamp”—„stąpać”). Jest to wyścig pleszy do nowo odkrytego, złotonośnego pola, znajdującego się na Alasce, zwykle po obu stronach jaru. Tam uczestnicy gonitwy „oznaczają” lub też „wytykają” swe działy, starając się zdobyć je jak najbliżej najbogatszego „działu odkrycia” („discovery claim”). Bieg taki na saniach, ciągniętych przez psy, nazywa się dla odróżnienia wyścigiem lub gonitwą (race).—Przyp. tłum.

marszu dziennego obozowały cztery wygłodniałe rodziny indyjskie, które podczas trzydniowej podróży nie natrafiły ani na jeden ślad zwierzyny. Myśliwi sprzedali im część mięsa za jeden zaprzęg wygłodzonych psów, a po tygodniu karmienia Kurzawa i Krótki zaprzęgli je i zaczęli ładować na sanki mięso, przeznaczone na zgłodniały targ Dawsonu.

Szło teraz o to, aby złoty piasek zamienić w żywność. Bieżąca cena mąki i fasoli wynosiła półtora dolara za funt, cała trudność jednak polegała na wyszukaniu kogoś, ktoby te prowjanty chciał sprzedać. Dawson wił się w męczarniach głodu. Setki ludzi, zaopatrzonych w pieniądze, lecz nie mających żadnych zapasów żywności, musiały opuścić kraj. Wielu puściło się w powrotną drogę rzeką, zanim lód ją pokrył, a jeszcze więcej, mając ledwie wystarczający zapas żywności na drogę, wędrowało sześćset mil zpowrotem do przystani.

Kurzawa zastał Krótkiego w dobrze opalonym szynku. Krótki promieniał.

— Życie bez sznapy i słodczy nie jest przyjemne! — wykrzyknął na powitanie Krótki, kiedy Kurzawa ściągał ze swych odtajających wąsów kawały lodu i strzepywał je na podłogę, że aż chrzęściły. — A właśnie udało mi się zdobyć osiemnaście słodkości. Drań zażądał tylko po trzy dolary za funt. A cóż wyście znaleźli?

— Ja też nie próżnowałem — odpowiedział Kurzawa z dumą, — kupiłem pięćdziesiąt funtów mąki. A mam kogoś z Adamcreek, co mi obiecuje do jutra drugie pięćdziesiąt.



— Bajecznie! Doczekamy z pewnością spłynięcia lodów. Słuchajcie, Kurzawa, nasze psy są—jak się okazuje—wcale dobre. Handlarz ofiarował mi za pięć z nich po dwieście dolarów. Powiedziałem mu: Nie da rady! Na szczęście wypasły się tak, że można się z nimi pokazać, ale tylko warjat karmiłby psy mięsem, którego funt kosztuje dwa i pół dolara. Chodźcie, napijemy się czego. Właśnie chciałem oblać te osiemnaście funtów cukru.

W kilka minut później, kiedy odważał złoty piasek za wódkę, drgnął.

— Ach, zupełnie zapomniałem o człowieku, z którym się poznałem w Tivoli. Ma na sprzedaż zepsutą wędzonkę po półtora dolara za funt. Możemy nią karmić psy i na każdym funcie oszczędzimy w ten sposób dolara. Trzymaj się ciepło!

— Do widzenia,—odpowiedział Kurzawa.—Wracam do chałupy i kładę się spać.

Ledwie Krótki odszedł, w podwójnych, ciężkich drzwiach stanął człowiek, zakutany w kozuch i futra. Na widok Kurzawy twarz jego rozjaśniła się szerokim uśmiechem. Kurzawa poznał w nim Brecka, tego samego, którego czółno przewodził swego czasu przez Pułapkę Kanyonu i Prąd Białego Konia.

— Dowiedziałem się, że jesteście w Dawson—mówił Breck pośpiesznie, ściskając mu dłoń.—Szu-  
kam was już pół godziny. Wyjdźmy stąd, mam wam coś powiedzieć.

Kurzawa rzucił żalosne spojrzenie w stronę hu-  
czącego pieca, rozpalonego do czerwoności.

— Czy nie możnaby tutaj?

— Nie. To ważna rzecz. Wyjdźcie ze mną.

Kiedy stanęli przed domem, Kurzawa zdjął welnianą rękawicę, zapalił zapalną i rzucił okiem na termometr, wiszący u drzwi. I naraz pośpiesznie włożył rękawicę, jak gdyby mróz rękę mu sparzył. Na niebie płonęła zorza północna, podczas gdy cały Dawson aż jęczał od żalosego wycia tysięcy wilczarów.

— Ile? — spytał Breck.

— Sześćdziesiąt poniżej zera.\*)

Kit plunął na próbę i ślina z trzaskiem zmarzła w powietrzu na lód.

— A termometr z pewnością jeszcze pracuje—dodał—spada wciąż. Godzinę temu pokazywał pięćdziesiąt dwa stopnie. Nie powiecie chyba, że przyszłście zawiadomić mnie o jakim biegu.

— Właśnie o to idzie—szepnął Breck, oglądając się nieufnie, jakby w obawie, aby go kto nie podsłuchał.—Znacie Squaw Creek—rzeczkę, uchodzącą po drugiej stronie do Yukonu, trzydzieści mil stąd.

— Niema tam co robić—rzekł Kurzawa.—Teren przetrząśnięty dokładnie przed laty.

— Tak samo jak i inne bogate jary. Słuchajcie. To wielka gra. Skała leży w głębokości około dwudziestu stóp wszystkiego. Mówią, że tam niema działu, któryby nie był wart pół miliona. Nikt o tem nie wie. Przypuściło mnie do sekretu kilku moich najserdeczniejszych przyjaciół. Mieliśmy już iść, ale tuż przed wymarszem powiedziałem żonie, że chcę i wam dać znać. A teraz do widzenia. Moje

\*) „Sześćdziesiąt stopni poniżej zera”—według termometru Fahrenheita.

rzeczy są już na dole, ukryte na brzegu. Prawda, wspólnicy moi obiecali mi nie ruszać w drogę, póki Dawson nie uśnie. Rozumiecie, co by to było, gdyby zauważono, że teraz, w nocy, puszczacie się w drogę. Cały Dawson poleciałby za wami. Zabierzcie swego wspólnika i jazda za nami. Będziecie mogli wbić swoją żerdkę w czwarty lub piąty dział od działu odkrycia Pamiętajcie—Squaw Creek. Trzeci jar jak miniecie Swede Greck.

## II

Wszedłszy do małej chaty na śnieżystym stożku za Dawsonem, Kurzawa usłyszał znany sobie ciężki oddech.

— Ach, idź-że spać! — wymamrotał Krótki, kiedy Kurzawa wziął go za ramię i potrząsnął nim. — Nie należę do nocnej szychty! — brzmiała jego następna uwaga, gdy potrząsanie zaczęło się stawać coraz silniejsze. — Idź ze swemi zmartwieniami do szynkarza.

— Właź w swój przyodziewek! — odezwał się Kurzawa. — Pójdziemy wbić żerdki w parę działów.

Krótki usiadł i chciał wybuchnąć, ale dłoń Kurzawy zakryła mu usta.

— Sza! — ostrzegł go Kurzawa. — To wielka gra! Nie budź sąsiadów. Dawson śpi.

— Ale! Chciałbym to widzieć! Nikt nikomu nigdy o wielkiej grze nie mówi, to się wiel! Ale czy to nie jest pocieszne, że mimo to jakimś dziwnym sposobem wszyscy zawsze walą na tę samą ścieżkę?

— Squaw Creek — szeptał Kurzawa. — Dosko-

nale. Wiem od Brecka. Płytkie skaliste łoże. Złoto już u korzonków trawy. Wstawaj. Spakujemy parę lekkich tobołków i pójdziemy.

Krótki zamknął oczy i znowu zasnął. W tej chwili zerwano z niego koce.

— Jeśli ty ich na drogę nie potrzebujesz, to mnie są potrzebne! — wyjaśnił mu Kurzawa.

Pozbawiony koców Krótki zaczął się ubierać.

— Weźmiemy psy? — zapytał.

— Nie. Szlak do rzeczki jest z pewnością zasypany śniegiem; bez psów będzie nam lżej.

— To pójdę je nakarmić, żeby mogły wytrzymać do naszego powrotu. Nie zapomnij wziąć trochę kory brzozonej i świeczkę.

Krótki otworzył drzwi, zmiarkował jak mróz gryzie i cofnął się, aby spuścić klapy na uszy i włożyć rękawice.

— Kurzawa! Ja się na ten bieg nie zgadzam. Tam taki mróz, jakiego nie było u wrót piekielnych tysiąc lat przed rozpaleniem pierwszego ogniska. W dodatku dziś mamy piątek i trzynastego. Dostaniemy takiego łupnia, że aż iskry z nas polecą.

Zarzuciwszy niewielkie plecaki na barki, zamknęli chatkę i zaczęli schodzić ze wzgórza. Głorja zorzy północnej zgasła, i tylko gwiazdy dygotały w okropnem zimnie, zaś ich niepewne światło zastawiało pulapki na nogi. Krótki, wpadłszy w głęboki śnieg na zakręcie ścieżki, podniósł swój głos, błogosławiąc dzień, tydzień, miesiąc i rok.

— Będziesz ty cicho? — syknął Kurzawa. — Dai

spokój kalendarzowi. Pobudzisz ludzi i cały Dawson za nami poleci.

— Ale! A nie widzisz to światła w tej tam chalupie? A w tamtej? Nie słyszałeś, jak ktoś trzasnął przed chwilą drzwiami? O, Dawson śpi, to pewnie! A te światła? To nic, to tylko umarłego chowają. Nikt z nich o biegu nie myśli, głowę dam za to.

Kiedy stanęli u stóp zbocza i znaleźli się w Dawsonie, zewsząd dolatywał skaczący blask światła w chatach, trzaskanie drzwiami a na tyłach skrzyp licznych kierpców na ubitym śniegu. Krótki znowu sobie pofolgował.

— Do diabła, ileż tu tych żałobników!

Minęli jakiegoś człowieka, który stał na ścieżce i cichym głosem wołał niecierpliwie:

— Charley, chodź-że już raz!

— Kurzawa, widzisz ten worek na plecach? Musi być daleko na cmentarz, skoro żałobnicy biorą ze sobą nawet koce.

Zanim doszli do głównej ulicy, setki ludzi szło sznurem za nimi a gdy przy zwodniczem świetle gwiazd szukali ścieżki, idącej z wysokiego brzegu ku rzece, słyszeli, jak wciąż nowi ludzie nadchodzą. Krótki pośliznął się i zjechał nadół w miękki śnieg po wysokiem na trzydzieści stóp zboczu. Kiedy wstawał, zwałił go z nóg Kurzawa, który zjechał tuż za nim.

— Ja pierwszy wpadłem na myśl!—zachichotał, zdejmując rękawice i wytrząsając z nich śnieg.

Po chwili zmykali co sił przed walącemi się nadół ciałami swych naśladowców. W czasie za-



marzania rzek powstało tu pole zbitej kry, której śpiczaste bryły pomieszały się ze śniegiem. Kurzawa, przewróciwszy się kilka razy i potłukłszy się boleśnie, wyjął świecę i zapalił. Idący za nim ludzie przyjęli to radosnym okrzykiem. W bezwietrznej nocy, świeca paliła się jasno i nie gasła, a przy jej świetle szło się prędzej.

— To z pewnością bieg! — stwierdził Krótki. — A może to tylko lunatycy?

— W każdym razie idziemy na czele tej procesji — odpowiedział Kurzawa.

— A ja nie jestem znów tak bardzo tego pewny. Chyba że to światełko przed nami to tylko robaczek świętojański. Może te wszystkie światła, to robaczki świętojańskie—to, i to, i to. Sam popatrz. Wierz mi, niejedna procesja już nas wyprzedziła.

Mile szło się przez kry na zachodni brzeg Yukonu a na całej przestrzeni wijącego się szlaku migotały światełka za nimi, aż ku samemu brzegowi, i było tych światełek jeszcze więcej.

— Słuchaj, Kurzawa, to stanowczo nie bieg, ale emigracja! Przed sobą mamy z tysiąc ludzi, za sobą co najmniej dziesięć tysięcy. Wobec tego posłuchaj, co ci wuj powie. Radzę dobrze i wiem, co mówię. Ten bieg nie dla nas. Wracajmy do domu spać.

— Oszczędziłbyś lepiej płuca, jeśli nie chcesz zostać wtyle! — odpowiedział Kurzawa niechętnie.

— O, ja wiem, że nogi mam krótkie i zgínam je podczas marszu w kolanach, ale dzięki temu nie męczę sobie mięśni i pewien jestem, że wezmę każdego „pikiniera” na tym łodzie.

Wiedział Kurzawa, że to nie przechwałki, bo oddawna już znał fenomenalną umiejętność chodzenia swego towarzysza.

— A ja naumyślnie szedłem wolniej, abys mi mógł dotrzymać kroku — podrażnił go.

— A ja wciąż depczę ci po piętach. Jeśli nie możesz iść prędzej, puść mnie naprzód i — długi krok!

Kurzawa przyspieszył kroku i po chwili był już na tyłach najbliższej garści współzawodników.

— Ty, Kurzawa, ryp przez nich! — wołał na niego towarzysz. — Wal przez ich niepogrzebanego nieboszczyka. — To nie pogrzeb! Gwiżdż na mróz i goń jak z piórkiem!

Kurzawa naliczył w tej grupie ośmiu mężczyzn i dwie kobiety a zanim przeszli przez kry, on i Krótki pozostawili za sobą drugą grupę, liczącą dwadzieścia głów. W odległości kilku stóp od brzegu zachodniego szlak, skręcając na południe, wychodził na gładkie pole lodowe. Ten lód ukryty był teraz pod wysoką na kilka stóp warstwą sypkiego śniegu. Przez śnieg wiodła droga, wyjeżdżona przez sanki, właściwie wąska ścieżyna, jako tako ubita, a szeroka wszystkiego na dwie stopy. Po obu jej stronach zapadało się w śnieg po kolaną i głębiej. Dopędzeni tu uczestnicy biegu nie chcieli zejść z drogi, tak że Kurzawa i Krótki często grzęzli w śniegu i wyminęli ich z najwyższym wysiłkiem.

Krótki był rozbuchany i złośliwy. Kiedy uczestnicy biegu narzekali, że ich wymijał, odpowiadał uprzejmie.

— Czemu się tak spieszycie? — zapytał jeden z nich.

— A wam dokąd tak śpieszno? — wykrzyknął Krótki. — O ile mi wiadomo, już wczoraj popołudniu w Indian River rozpoczął się bieg, który was pobił. Wolnych działów już niema.

— Jeśli tak, powtarzam, dlaczego się tak spieszycie?

— Kto? Ja? Ja nie biorę udziału w biegu. Pracuję dla rządu. Mam sprawę urzędową. Właśnie dostałem polecenie oszacować Squaw Creek.

Drugiemu, który zaczął go wołając: — Dokąd to, mały? Myślicie, że istotnie uda się wam wbić żerdkę w jaki dział? — Krótki odpowiedział.

— Ja? Przecie to ja odkryłem Squaw Creek! Wracam teraz z komisariatu zobaczyć, czy mi się jaki głupi „*chechaquo*“ na dział nie wpakował.

Uczestnicy biegu robili na równej drodze przeciętnie trzy i pół mili na godzinę. Kurzawa i Krótki cztery i pół mili a prócz tego od czasu do czasu krótsze przestrzenie przebywali biegiem, skutkiem czego posuwali się naprzód prędzej.

— Krótki, uchodzisz sobie przeze mnie nogi po kolana! — rzucił Kurzawa wyzwanie swemu towarzyszowi.

— Wielkie rzeczy! Pokuśtykam ja choćby na kulasach i jeszcze ci niemi pięty kierpców rozdepczę. Ale to wszystko nanie. Policzyłem ci ja dokładnie. Działy łożyska mają jakich pięćset stóp. Niech idzie dziesięciu na milę. Przed sobą mamy z tysiąc ludzi w biegu a łożysko nie ma nawet stu mil długości.

Ktoś osiadzie na łodzie a mnie się wciąż zdaje, że to będziesz ty i ja.

Kurzawa, nie odpowiadając, dał takiego susa, że Krótki pozostał za nim o sześć stóp wtyle. Dopiero wówczas Kurzawa syknął:

— Gdybyś nie szafował tak płucami i dotrzymywał mi kroku, moglibyśmy kilku z jego tysiąca utracić!

— Kto? Ja? Zejdź mi tylko z drogi, a już ja ci pokażę, co to znaczy krok!

Kurzawa roześmiał się i znowu dał susa. Teraz cała historia przybrała zupełnie inny wygląd. Przez myśl przemknęły mu słowa szalonego filozofa — „przewartościowanie wartości”. W tej chwili zupełnie już nie zależało mu na zdobyciu majątku, lecz na pobiciu Krótkiego w szybkości chodu. Ostatecznie — zakonkludował — „zależy nietylko na wygranej, ile na samej grze”. Mózg, mięśnie, krew i dusza wszystko rwało się do walki z tym Krótkim, człowiekiem, który nigdy nie przeczytał ani jednej książki, nie widział nigdy ani jednej opery i dla którego epos było niczem w porównaniu z wrzodem spowodowanym przez odmrożenie.

— Krótki, słuchaj, bo teraz to ja cię ze skóry obedrę! Od czasu, kiedy stanąłem nad brzegiem Dyea, odnowiłem w swym ciele każdą komórkę. Ciało moje jest żyłaste jak rzemień a jadowite, jak ukąszenie żmii. Przed kilku miesiącami taczałbym się po ziemi z radości, gdybym mógł coś podobnego napisać — jednakże wówczas nic podobnego napisać nie mogłem. To trzeba było naprzód przeżyć,

a dziś, gdy mi się to już urzeczywistniło, nie czuję potrzeby pisać o tem. Jestem dziś prawdziwą, morową, jadowitą cholera i żaden mydłek z gór nie zwali mi na łeb czegoś, czego bym mu w dwójnasób oddać nie potrafił. A teraz słuchaj: goń na przód i smaruj pół godziny, a wyciągaj się dobrze z portek, bo kiedy będziesz myślał, żeś wygrał, to ja przyjdę i dam ci na pół godziny takiego rumu, że zobaczysz!

— Ale! — zaśmiał się Krótki wesóło. — I to-to ma jeszcze mleko pod nosem. Zleż-że z drogi, niech ci ojciec pokaże, jak się chodzi!

Zmieniali się tak co pół godziny. Dużo już nie mówili. Ruch grzał ich, mimo że każde tchnienie szronem pokrywało ich twarze od ust aż do brody. Mróz był tak straszny, że bezustannie tarli rękawicami nosy i policzki. Jak tylko na chwilę przestali, ciało drętwiało, trzeba było potem trzeć silniej, aby je doprowadzić do stanu piekącego bólu wznowionego obiegu krwi.

Nieraz zdawało się im, że wyszli na czoło procesji, za każdym razem jednak przeganiali wciąż nowych uczestników biegu, którzy wyruszyli przed nimi. Czasem ta lub owa grupa starała się dotrzymać im kroku, jednakże po mili czy dwóch stale zniechęcała się i znikła za nimi w ciemnościach.

— Byliśmy przez całą zimę na szlaku — tłumaczył Krótki — a te zniewieściałe od pokładania się po chałupach niedołągi wyobrażają sobie, że potrafią dotrzymać nam kroku. Widzisz, gdyby to były prawdziwe włóczęgi, wyglądałoby to zupełnie ina-



czej. Jedno o włóczędze można powiedzieć: Chodzić umie!

Raz Kurzawa zapalił zapalną i spójrzył na zegarek. Więcej już tego nie robił, bo mróz tak jadowicie ugryzł go w gołe ręce, że pół godziny minęło, zanim znowu poczuł w nich życie.

— Czwarta godzina — rzekł, wkładając rękawice — a my wyminęliśmy już trzystu ludzi.

— Trzystu trzydziestu ośmiu — poprawił Krótki — liczyłem. Zejdźcie z drogi, cudzoziemcze, nie przeszkadzajcie w biegu ludziom, którzy wiedzą, co znaczy bieg.

Z temi słowy zwrócił się do człowieka widocznie już zupełnie wyczerpanego, który szedł, zataczając się, i zawadzał na ścieżce. Ten człowiek, a potem drugi, byli jedynymi wykreślonymi z gry, jakich oni widzieli, ponieważ znajdowali się już bardzo blisko czoła biegu. Dopiero później dowiedzieli się o okropnościach tej nocy. Wyczerpani ludzie przysiadali po drodze aby już więcej nie powstać! Siedmiu zamarzło na śmierć, a tych, którzy tę noc przeżyli, operowano w szpitalach Dawsonu dziesiątkami, obcinając im palce od nóg, nogi i palce u rąk. Ze wszystkich nocy, w których odbywały się biegi, noc biegu do Squaw Creek była najzimniejsza w całym roku. Nad ranem alkoholowe termometry w Dawsonie pokazywały 70° poniżej zera. Ludzie, biorący udział w biegu, byli, z małemi wyjątkami, w tym kraju nowicjuszami, nie umiejacymi poradzić sobie z mrozem.

Drugiego wykreślonego z gry człowieka znaleźli

w kilka minut później przy świetle zorzy północnej, które strzeliło naraz jak promień prożektora z horyzontu do zenitu; człowiek ten siedział na bryle lodu przy ścieżce.

— Kulej dalej, Marysiu! — powitał go wesoło Krótki — Ruszaj się. Jak tu będziesz tak siedział, zmarzniesz na kamień.

Człowiek nie odpowiedział, wobec czego za-trzymali się, aby się dowiedzieć, co mu się stało.

— Sztywny jak pogrzebacz — oświadczył Krótki.  
— Pchniesz go — złamie się.

— Zobacz, czy nie oddycha — odpowiedział Kurzawa, szukając gołemi rękami serca tego człowieka wśród futer i wełnianych koszul.

Krótki podniósł jedną klapę z ucha i pochylił się ku zamarzniętym ustom.

— Ani zipnie — odpowiedział.

— A serce też nie bije — rzekł Kurzawa.

Włożył znowu rękawice i z jaką minutę bił się niemi po bokach, zanim znowu wystawił je na mróz aby zapalić zapalną. Zamarznięty człowiek już starszy, był niewątpliwie martwy. Przy świetle zapalniczki ujrzeli długą, siwą brodę, zlepioną lodem aż po nos, policzki białe skutkiem odmrożenia i zamknięte oczy ze zlepionymi oszronionymi rzęsami. W tej chwili zapalniczka zgasła.

— Chodźmy — rzekł Krótki, trąc ucho. — Dla tego starego dziada nic już nie możemy zrobić. Pewien jestem, że sobie odmroziłem ucho. Będzie mi się teraz łuszczyć z jaki tydzień.

W parę minut później, kiedy płonąca wstęga

dygocącego ognia rozlała się na niebie, ujrzeni przed sobą na lodzie, w odległości ćwierć mili dwie postacie. Zresztą na przestrzeni mili nie ruszało się już nic.

— Widzisz, to oni prowadzą całą procesję — rzekł Kurzawa, kiedy ciemność znowu zapadła. — Naprzód, weźmy ich!

Minęło pół godziny, a jednak tych dwojga przed sobą doścignąć nie mogli. Wobec tego Krótki zaczął biec.

— Choćbyśmy ich nawet doścignęli, nigdy ich nie przegonimy — mówił, dysząc. — Boże, co za krok! Stawiam dolary przeciw orzechom, że to nie *chechaquos*. To z pewnością jakaś prawdziwa odmiana włóczęgów — możesz się założyć.

Kiedy wreszcie dognali parę, Kurzawa szedł pierwszy i był bardzo zadowolony, że potrafi dostrzymać kroku. W tej chwili doznał wrażenia, że ten ktoś, za kim szedł, jest kobietą. Skąd się wzięło to wrażenie, nie miał pojęcia. Ta ciemna, zakapturzona i zawinięta w futra postać niczem nie różniła się od innych; jednakże było w niej coś znajomego. Kurzawa, wyczekawszy następny płomień zorzy polarnej, przy jego świetle zauważył drobny kształt nóg, obutych w kierzpce. I jeszcze coś — chód. I poznał natychmiast, że to był ten jedyny chód, który postanowił sobie zapamiętać do śmierci.

— Tęgi z niej piechur! — zauważył Krótki zdyszczanym głosem. — Założę się, że to Indjanka.

— Jak się pani ma, panno Gastell? — zwrócił się do niej Kurzawa.

— Dzień dobry — odpowiedziała zwracając się ku niemu i rzucając bystre spojrzenie. — W ciemnościach nie widzę. Kto mówi?

— Kurzawa.

Zaśmiała się na mrozie, a on był pewien, że milszego śmiechu w życiu swoim nie słyszał.

— No i cóż, ożenił się pan i ma pan już wszystkie te dzieci, o których mi pan opowiadał? — Zanim zdążył odpowiedzieć mówiła dalej: — iluż tam *chechaquos* za nami?

— Może kilka tysięcy. My przegoniliśmy przeszło trzystu. Nie tracą czasu.

— Stara historia! — odpowiedziała z goryczą. — Nowi przybysze pchają się w bogate łóżyska, a dawni traperzy, którzy wszystko zaryzykowali, tyle wycierpieli i ostatecznie stworzyli ten kraj, nie dostają nic. Starzy traperzy odkryli Squaw Creek — jak się to wydało, to faktycznie tajemnica i zawiadomili o tem starych traperów nad Lwim Jezio-rem. Ale to o dziesięć mil dalej od Dawsonu, a kiedy przyjdą, znajdą łóżysko wytyczone aż po horyzont żerdkami *chechaquos* z Dawsonu. To przecie niesprawiedliwość, to okrucieństwo losu.

— Zapewne, że to bardzo przykro — wyraził jej swoje współczucie Kurzawa. — Ale niech mnie λίγο weźmie, jeśli wiem co na to poradzić. Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi — wie pani przecie.

— A jednak chciałabym móc jakoś temu zaradzić — rzekła spoglądając na niego. — Chciałabym, żeby wszyscy zamarzli na szlaku, albo żeby im się

stało coś strasznego, aby tylko wyprawa z Lwiego Jeziora mogła zdążyć pierwsza.

— Źle nam pani życzy — rzekł ze śmiechem.

— Wcale nie — odpowiedziała żywo, — ale tych ludzi z nad Lwiego Jeziora znam wszystkich osobiście i to są naprawdę ludzie w całym znaczeniu słowa. Za dawnych czasów przymierali w tym kraju głodem a mimo to pracowali jak olbrzymy nad jego rozwojem. Jako mała dziewczynka przeżyłam z nimi ciężkie czasy w Kojokuk. Pamiętam głód w Birch Creek, wraz z nimi przecierpiałam też głód w osadzie Czterdziestej Mili. To bohaterowie zasługujący na pewne względy, a jednak widzi pan tu tysiące mazgajów, którzy wcale nie zdobyli sobie jeszcze prawa wbijania żerdeń w nowe działki, a wyprzedzili ich już o całe mile. A teraz, jeśli pan wybaczy mi moje kazanie, wolę już oszczędzać oddech, bo nie wiem czy wy i ci, co idą za wami, nie zechcą spróbować wyprzedzić tatusia i mnie.

Joy i Kurzawa nie rozmawiali już ze sobą dalej prawie godzinę; zato zauważył, że przez jakiś czas pocichu porozumiewała się z ojcem.

— Już wiem, kto to taki! — rzekł Krótki do Kurzawy. — To stary Louis Gastell, morowy chłop, a to musi być jego brzdąc. Stary sprowadził się tu tak dawno, że niema już nikogo, kogoby z tych czasów mógł pamiętać i przywiozł ze sobą dziewczynę, kiedy była jeszcze niemowlęciem. Pracował do spółki z Beetles'em i oni pierwsi puścili na Kojokuk pierwszy mały zasmarkany parowiec.

— Zdaje mi się, że nie wypada nam ich prze-



ganiać—odezwał się Kurzawa. — Tak czy siak wyprzedziliśmy wszystkich, a jest nas tu tylko czworo.

Krótki zgodził się, poczem nastąpiła druga godzina milczenia, podczas której wciąż parli naprzód. O godzinie siódmej ciemności zostało przerwane przez ostatni błysk zorzy północnej, która oświeciła na zachodzie szeroką wyrwę wśród gór śniegiem pokrytych.

— Squaw Creek! — wykrzyknęła Joy.

— Robi się powoli! — zawołał z radością Krótki — Ale, jak mi się zdaje, nie staniemy tam za najbliższe pół godziny. Będę musiał trochę naciągnąć giczaly.

W tem właśnie miejscu zatarasowany przez kry szlak z Dyea skręcał nagle przez Yukon ku wschodniemu brzegowi. Tu trzeba już było zejść z ubitej, często uczęszczanej ścieżki, przejść przez kry i iść dalej wąską, zlekka tylko ubitą drożyną, wiodącą ku brzegowi zachodniemu.

Idący na przedzie Louis Gastell pośliznął się nagle w ciemnościach na lodzie i siadł, trzymając się obu rękami za nogę w kostce. Wstał z wysiłkiem i ruszył naprzód, teraz jednak szedł znacznie wolniej i wyraźnie kulejąc. Po kilku minutach nagle stanął.

— Nanic! — rzekł do córki — Zwichnąłem nogę w kostce. — Idź sama dalej i naznacz działy dla mnie i dla siebie.

— Czy nie moglibyśmy wam pomóc? — zapytał Kurzawa.

Louis Gastell potrząsnął przecząco głową.

— Ona może naznaczyć tak samo dobrze dwa działły jak i jeden — tymczasem ja dowłokę się do drugiego brzegu, rozpalę ogień i obandażuję sobie kostkę. Nic mi nie będzie.

— Idź Joy — naznacz nasze działły powyżej działłów odkrycia; górne działły są bogatsze.

— Oto trochę kory brzozonej — odezwał się Kurzawa, dzieląc na dwie równe części swój zapas.

— Zaopiekujemy się pańską córką.

Louis Gastell zaśmiał się szorstko. — Ano, dziękuję wam — rzekł — Ale ona sobie doskonale sama da radę. Idźcie za nią i czuwajcie nad nią.

— Czy chcecie, żebym was poprowadziła? — zwróciła się do Kurzawy, stając na czele. — Znam te strony lepiej od was.

— Niech pani prowadzi — odpowiedział Kurzawa z galanterją — aczkolwiek zgadzam się z panią, że doprawdy poprostu to wstyd, abyśmy, nędzni *chechaquos* mieli pobić ekspedycję z nad Lwiego Jeziora? Czy nie możnaby się *chechaquos* w jakiś sposób pozbyć?

Potrząsnęła przecząco głową.

— Nie możemy przecie zatrzeć za sobą śladów; pójdą za nami jak barany.

Zrobiwszy z ćwierć mili, zwróciła się pod ostrym ku zachodowi. Kurzawa zauważył, że szli znowu nieudeptanym śniegiem. Ale ani on, ani Krótki, nie widział, że wąska ścieżka, którą szli dotychczas, biegła w dalszym ciągu na południe. Gdyby mogli widzieć, co w dalszym ciągu robił Louis Gastell, historia Klondike wyglądałaby zupełnie inaczej;

albowiem wówczas zobaczyliby tego starego traperą nie kulejącego już, lecz biegnącego z nosa tuż przy ścieżce nakształt ścigającego ich psa. Zobaczyliby także, jak on udeptywał i rozszerzał ścieżkę jaką oni wydeptali idąc ku zachodowi. I wreszci spostrzegliby go, idącego starym, niewyraźnym szlakiem, prowadzącym na południe.

W górę jaru prowadziła ścieżka; była ona jednak tak nieznaczna, że wciąż w ciemnościach ginęła. Po kwadransie Joy Gastell zgodziła się iść na końcu, pozostawiając obu swym towarzyszom trud torowania na przemiany ścieżki w śniegu. To powolne posuwanie się naprzód ludzi, prowadzących bieg, pozwoliło dogonić ich większej liczbie współzawodników, tak, że kiedy o godzinie dziewiątej nastał świt, jak daleko wzrokiem rzucić, czerniał nieprzerwany łańcuch ludzi. Na ten widok czarne oczy Joy sypnęły skrami.

— Ile czasu minęło od chwili, kiedy ruszyliśmy w górę jaru?—zapytała.

— Pełne dwie godziny — odpowiedział Kurzawa.

— A dwie godziny zpowrotem, to razem cztery — zaśmiała się, — Wyprawa z Lwiego Jeziora jest uratowana.

Lekkie podejrzenie przemknęło przez myśl Kurzawy, tak że stanął i spojrzał jej w twarz.

— Nie rozumiem — rzekł.

— Nie rozumie pan? No to ja panu wytłumaczę. Jesteśmy w Norway Creek. Squaw Creek jest najbliższy jar na południe.

Kurzawie na chwilę mowę odebrało.

— Pani to zrobiła rozmyślnie? — zapytał Krótki.

— Tak jest, zrobiłam to żeby dać szansę starym kolonistom.

Zaśmiała się przekornie. Mężczyźni spojrzeli po sobie i wkońcu zaczęli się śmiać razem z nią.

— Gdyby w tych stronach nie było tak mało kobiet, przełożyłbym panią przez kolano i wsypałbym pani lanie — zapewniał ją Krótki.

— Więc pani ojciec nie zwichnął sobie nogi, lecz czekał, póki nie znikniemy mu z oczu, a potem poszedł dalej? — pytał Kurzawa.

Potwierdziła skinieniem głowy.

— A pani była wabikiem?

Znowu potwierdziła skinieniem głowy i tym razem śmiech Kurzawy zabrzmiał jasno i szczerze. Był to żywiołowy śmiech mężczyzny, pobitego w uczciwym boju.

— Czemuż się na mnie nie gniewacie? — zapytała skruszona. — Czemuż — czemuż nie dacie mi lania?

— Wobec tego musimy wracać! — poganiał Krótki. Jeszcze sobie nogi odmrozę, stojąc tutaj.

Kurzawa potrząsnął głową.

— Przepadłyby nam cztery godziny! Do Squaw Creek niema stąd więcej, jak jakich osiem mil, a stąd widać, że Norway Creek robi szeroki zakręt na południe. Pójdziemy przez Norway Creek przejdziemy w którymś miejscu na drugą stronę jaru i wydostaniemy się do Squaw Creek gdzieś ponad działem odkrycia.

Tu spojrzał na Joy.

— Pani pójdzie z nami? Obiecałem ojcu czuwać nad panią.

— Ja?

Zawahała się.

— Poszłabym, jeśli pan nie ma nic przeciwko temu.

Patrzyła mu prosto w oczy, a wyraz jej twarzy nie był już ani wzgardliwy ani przekorny.

— Panie Kurzawa, przykro mi teraz bardzo, że was wywiodłam w pole. Ktoś jednak musiał uratować starych kolonistów.

— A wie pani co? Przychodzę do przekonania, że taki bieg jest znakomitym pomysłem sportowym.

— A ja przychodzę do przekonania, że wy dwaj padliście jego ofiarą — mówiła, dodając z cieniem westchnienia:

— Jaka szkoda, że nie jesteście starymi kolonistami.

Dwie godziny jeszcze szli wzdłuż przez zamrznięte łożyska Norway, poczem weszli w ciasne i dzikie łożysko jednego z jego dopływów, płynących z południa. W południe zaczęli się wspinać na zbocze gór dzielących ich od Squaw-Creek. Za nimi, jak daleko wzrokiem sięgnąć, widać było ciągnących całymi sznurami uczestników biegu. Tu i owdzie dymy wznoszące się z dziesiątków miejsc, wskazywały, iż ludzie rozbijają obozy.

Oni jednak w dalszym ciągu szli ostro. Brnęli nieraz w śniegu po pas i co parę łokci musieli się zatrzymywać. Krótki pierwszy zażądał postoju.

— Dyrdamy już przeszło dwanaście godzin! —



— mówił Krótki, wyznaję szczerze, że mam dość i jestem zmęczony. A ty też. I wolno mi ryknąć na cały głos, że w dalszym ciągu trzymałbym się tego szlaku, jak zdychający z głodu Indianin trzyma się zębami wędzonego niedźwiedziego ścierwa. Ale ta biedna pannica nie będzie mogła ruszać giczałami, jeżeli czegoś nie sfruga. Tu rozpalimy ognisko. Cóż wy na to?

Tak szybko, zręcznie i zmyślnie zabrali się do rozbicia prowizorycznego obozu, że Joy, przyglądając się im krytycznie, musiała przyznać, iż starzy koloniści nie mogliby zrobić tego lepiej. Podściółka z sosnowych gałęzi, przykrytych kocami, stanowiła grunt do odpoczynku i czynności kuchennych. Nie zbliżali się jednak do ognia, póki bezlitośnie nie wyszurowali swoich nosów i policzków.

Kurzawa plunął w powietrze, a bezpośredni trzask był tak bezpośredni i głośny, że potrzęsnał głowę.

— Poddaję się! — rzekł. — Nigdy jeszcze nie widziałem takiego mrozu.

— Jednej zimy w Kojokuku było osiemdziesiąt sześć stopni mrozu, odpowiedziała Joy. — W tej chwili mamy co najmniej siedemdziesiąt — siedemdziesiąt pięć. Jestem pewna, że odmroziłam sobie policzki. Palą mnie jak ogień.

Na stromych stokach góry nie było lodu — zato napełniono czajnik delikatnym, twardym, kryształowym śniegiem niby miałkim cukrem, i na nim ugotowano kawę. Kurzawa przysmarzył wędzonkę

i odgrzał suchary. Krótki dostarczał paliwa i podtrzymywał ogień, zaś Joy zakrzętnęła się około skromnego nakrycia, składającego się w dwóch talerzy, dwóch kubków, dwóch łyżek, blaszanki ze solą zmieszaną z pieprzem i blaszanki z cukrem. Kiedy przyszło do jedzenia, musiała się każdym daniem dzielić z Kurzawą. Jedli z jednego talerza i pili z jednego kubka.

Było około drugiej po południu, kiedy przedostali się na drugą stronę i zaczęli zwolna spuszczać się ku Squaw Creek. Z początkiem zimy jakiś myśliwy, polujący na łosie, wydeptał ścieżkę w Kanjonie — to znaczy, idąc do góry i schodząc nadół, szedł ciągle swojemi starymi śladami.

W rezultacie, wśród sypkiego, delikatnego śniegu, utworzyła się linja nieregularnych, wzgórków przykrytych śniegiem późniejszym. Jeśli ktoś chybił nogą taki wzgórek, wpadał w nieudeptany śnieg i najczęściej przewracał się. Prócz tego ten jakiś myśliwy, polujący na łosie, był indywiduum o niesłychanie długich nogach. Joy, która teraz szczerze już pragnęła, aby jej dwaj towarzysze mogli zdobyć jakiś dział, a obawiała się, że ze względu na jej zmęczenie będą szli wolniej, uparła się prowadzić ich. Szybkość i sposób, w jaki ich prowadziła tą niebezpieczną drogą wywołały zachwyt Krótkiego.

— Spójrz tylko na nią — wołał. — To człowiek, to prawdziwe czerwone mięso! Patrz tylko, jak jej kierpce latają. Tu niema wysokich obcasów. Używa nóg takich, jak jej je Bóg dał. Jedyna *squaw* dla człowieka polującego na niedźwiedzie.

Odpowiedziała mu uśmiechem uznania, który obejmował i Kurzawę.

Kurzawa doznał uczucia serdecznego koleżeństwa, mimo iż równocześnie w tem wszystkim było bardzo dużo kobiecości, całującej go tym swym koleżeńskim uśmiechem.

Kiedy wreszcie stanęli na brzegu Squaw Creek i obejrzeni się, ujrzeli wszystkich ludzi, biorących udział w biegu, rozsypanych w nieregularne szeregi i z wysiłkiem schodzących po stokach działu wód.

Zesliznęli się z brzegu ku korytu. Rzeczka, zamrznięta aż do dna, miała dwadzieścia do trzydziestu stóp szerokości i płynęła między gliniastymi i błotnistymi brzegami, szerokimi około ośmiu stóp. Na śniegu, który ją pokrywał, nie widać było ani jednego świeżego śladu i wszyscy zrozumieli, że znajdują się ponad działem odkrycia i ostatnimi żerdkami, zatkniętymi przez członków wyprawy Lwiego jeziora.

— Uważajcie na źródła — ostrzegała Joy, kiedy Kurzawa prowadził ich wzdłuż rzeki. — Przy siedemdziesięciu stopniach mrozu można stracić nogę, jeśli się w jakieś źródło wdepnie.

Źródła te, jak wszystkie źródła rzek w Klondike, nie zamarzają nawet podczas największych mrozów. Odrzucana przez brzegi woda tworzy oparzeliska, które cienki lód i śnieg chroni przed zamarznięciem.

Pod człowiekiem, idącym po tym suchym śniegu, łatwo załamuje się gruba na pół cala powierzchnia lodu — tak iż wędrowiec wpada po kolana

w wodę. O ile nie może w tej chwili zmienić prze-moczonego ubrania i obuwia, przypłaca to w prze-ciągu pięciu minut utratą co najmniej jednej nogi.

Mimo że było dopiero około godziny trzeciej po południu, zapadł długi szary zmierzch podbie-gunowy. Szukali jakiegoś rozszczepionego drzewa po obu stronach rzeki, któreby wskazało im centralną żerdkę ostatniego działu. Pierwsza znalazła je Joy. Pobiegła jak strzała przed Kurzawą, wołając:

— Ktoś tu już był — spojrzycie na śnieg. Za-czekajcie aż zorza znowu zaświeci. To tu, widzi-cie tę gałąź!

A nagle zapadła w śnieg aż po pas.

— Przepadłam! — wykrzyknęła z bólem. — A po-tem zawołała — Nie zbliżajcie się do mnie — ja sa-ma się wydostanę.

Krok za krokiem, brnąc wciąż po lodzie zała-mującym się pod nią, a ukrytym pod suchym śnie-giem, szła ku brzegowi. Kurzawa nie czekał, lecz skoczył ku brzegowi, gdzie leżały wyschłe konary i gałęzie zwalone przez wiatr, i zaczął rozpalać ognisko. Kiedy stanęła u jego boku, z gałęzi strze-lały już pierwsze płomienie dobrze założonego ogniska.

— Niech pani siada — rozkazał.

Posłusznie usiadła na śniegu. Zsunął plecak z ramion i podesał jej koc.

Z góry dolatywały głosy uczestników biegu, którzy szli za nimi.

— Niech pan każe Krótkiemu wytyczyć dział—napominała go.

— Idź, Krótki — powiedział Kurzawa — zabierając się do jej kierpców zupełnie już stężących od lodu. — Zrób te tysiąc stóp i wetknij tam dwie środkowe żerdki. Na rogach powtykamy później.

Nożem poprzecinał Kurzawa sznurowadła i rzemień kierpców. Tak już zamrzły, że aż świszczały i zgrzytały, kiedy je przecinał i przepiłowywał. Indyjskie skarpetki i grube wełniane pończochy, zmieniły się w pochwy z lodu. Zdawało się, jak gdyby jej stopy i łydki były objęte lanem żelazem.

— Jak pani nogi? — spytał, pracując.

— Zupełnie bez czucia, — ani palcem ruszyć nie mogę i nic nie czuję. Ale wszystko będzie dobrze. Tylko niech pan uważa, żeby pan sobie ręk nie odmroził. Pewnie panu już zdrętwiały, tak pan niemi wywija.

Włożył rękawice i jaką minutę z całej siły bił dłońmi o boki. Uczuwszy szczypanie nabiegającej krwi zdjął mitenki i znowu rwał, przepiłowywał i rąbał zlodowaciałe obuwie. Wreszcie pokazała się biała skóra jednej nogi, potem drugiej, wystawiona na działanie siedemdziesięciu stopni poniżej zera, co odpowiada stu dwóm stopniom poniżej stopnia zamarzania.

Nastąpiło nacieranie nóg śniegiem, wykonane z tak intensywną i okrutną gwałtownością, że dziewczyna zaczęła się wić i ruszać palcami od nóg, z radością uskarżając się na swój przykry wypadek.

Napół zaciągnął ją bliżej ku ognisku. Umieściła nogi na kocu, w pobliżu ratujących ciało płomieni.



— Niechże pani przez chwilę na nie uważa — rzekł Kurzawa.

Teraz bezpiecznie już mogła zdjąć mitenki i opatrzyć swe nogi z całą wiedzą człowieka wtajemniczonego, uważając, aby gorąco ogniska zwolna je tylko przenikało. Kiedy była tem zajęta, on przystąpił do ratowania swych rąk. Śnieg na nich już nie tajał ani nie wilgotniał. Jego lekkie kryształki były jak piasek. Powoli tylko ukłucia i bóle obiegu krwi dawały się odczuwać w odmrożonem ciele. Wtedy dopiero zbliżył się do ogniska, rozpakował swój plecak i wydobył parę ciepłych pończoch. Tymczasem Krótki, wracając wzdłuż łożyska, wydrapał się ku nim po stoku góry.

— Mogę się pochwalić, że wytyczyłem naszymi żerdkami najmniej tysiąc stóp — oświadczył. — Numer dwudziesty siódmy i dwudziesty ósmy, choć prawdę mówiąc, górną część numeru dwudziestego siódmego udało mi się oznaczyć, kiedy spotkałem pierwszego łazika z bandy, która za nami ciągnęła. Oświadczył mi wręcz, że dwudziestego ósmego numeru oznaczać nie mogę. A ja mu powiedziałem...

— Właśnie! — wykrzyknęła Joy. — Cożeście mu powiedzieli?

— Powiedziałem mu poprostu, że jeżeli nie cofnie się o pięćset stóp, to mu z jego nosa zrobię porcję lodów zmieszanych z czekoladą. Wobec tego cofnął się, a ja wbilem nasze żerdki w dwa porządne działą każdy po pięćset stóp. On wbił swą żerdkę w najbliższem sąsiedztwie, z czego wnioskuje, że ci, co szli za nami, zajęli działą po drugiej

stronie rzeki. Nasze działa są pewne. Teraz już za ciemno, ale jutro rano będziemy mogli zatknąć żerdki w rogach działów.

### III

Kiedy się zbudzili, zauważyli, że w nocy nastąpiła zmiana. Było tak ciepło, że Krótki i Kurzawa, wciąż jeszcze w kocach, przyszli do przekonania, że może być najwyżej dwadzieścia stopni poniżej zera. Mróz stracił już swą kąśliwość. Na ich kocach było ze sześć cali lodowatych kryształków.

— Dzień dobry, jakże tam nóżki? — wołał Kurzawa na powitanie przez popioły ogniska do Joy Gastell, która, otrząsnąwszy się starannie ze śniegu, siedziała na swoim kożuchu.

Krótki rozpałił ognisko i zaczął nosić lód z rzeczki, podczas gdy Kurzawa gotował śniadanie. Dzień się zrobił, kiedy skończyli jeść.

— Idźże, Kurzawa, i wbij te narożne żerdki, — mówił Krótki — Tam, gdzie brałem lód na kawę, jest piasek. Chciałbym z tego skorzystać, stopić trochę lodu i przepłukać na próbę jedną drugą miskę.

Kurzawa z siekierą w ręku udał się na działa, aby wbić żerdki. Idąc od środkowej żerdki leżącego w dolnej części rzeki działu dwudziestego siódmego, szedł pod prostym kątem przez wąską dolinę ku jej brzegowi. Robił to wszystko metodycznie, niemal automatycznie, ponieważ umysł jego zaprzątnięty był wspomnieniami minionej nocy. Czuł, że do pewnego stopnia uzyskał władzę nad delikatnie zarysowanymi a silnymi mięśniami tych stóp i kostek,

które nacierał śniegiem, i zdawało mu się, że ta jego władza rozciąga się na wszystkie kobiety. Opanowało go niewyraźne, lecz ogniste poczucie własności. Miał wrażenie, że nie potrzebuje zrobić nic innego, jak tylko udać się wprost do Joy Gastell, wziąć ją za rękę i powiedzieć: „Chodź”!

Kiedy sobie to wszystko tak pięknie wyobrażał, spostrzegł nagle coś, co zupełnie kazało mu zapomnieć o władzy nad kobiecemi nóżkami. Na skraju doliny nie zatknął żadnej narożnej żerdki. Mianowicie nie dotarł do skraju doliny, ale zamiast tego stanął naprzeciw drugiej jakiejś rzeczki. Objął wzrokiem pochyloną wierzbę i wielką rzucającą się w oczy gałąź sosnową. Wrócił znów ku strumieniowi, gdzie tkwiły żerdki centralne. Obszedł łożysko, wyginające się w kształt podkowy i zauważył, że łożyska obu tych strumieni są właściwie jednym i tem samem łożyskiem. Dwa razy przebrnął śniegiem od jednego krańca doliny do drugiego, zdążając naprzód od niższego skraju numeru „dwudziestego siódmego, potem od górnego skraju numeru „dwudziesto ósmego” i przyszedł do przekonania, że górny skraj ostatniego działu znajdował się niżej, niż niższy skraj pierwszego. W szarym zmierzchu i półmroku Krótki obrał oba ich działły w owej podkowie.

Kurzawa wrócił do małego obozu. Na jego widok Krótki, który właśnie kończył przemywanie piasku w misce, wybuchnął:

— Wygraliśmy — wołał podsuwając mu miskę. — Popatrz tylko! Złota jajecznicza. Wszystkiego dwieście kroków stąd to masz co jest w samym piasku. By-

łem już w różnych miejscach, ale nigdy jeszcze nie widziałem takiego masła jak w tej misce.

Kurzawa rzucił obojętne spojrzenie na złoto, nalał sobie przy ognisku filiżankę kawy i usiadł.

Joy domyśliła się, że coś jest nie w porządku i przysłuchiwała mu się zaciekawionym, badawczym wzrokiem.

Ten brak zachwytu ze strony współnika zirytował Krótkiego.

— Czemu nie kopiesz i nie awanturujesz się? — zapytał. — Tu dobierzemy się wreszcie do swego, chyba że taka miska z dwustu dolarami cuchnie.

Kurzawa zamiast odpowiedzi połknął naprzód łyk kawy.

— Krótki, dlaczego te nasze dwa działły tutaj podobne są do Kanału Panamskiego?

— Cóż to ma znaczyć? —

— Widzisz, w Kanale Panamskim wschodnie wejście znajduje się na zachód od zachodniego. Oto wszystko.

— Idźże! — odpowiedział Krótki — Cóż to znowu za dowcip?

— Prostu mówiąc, Krótki, naznaczyłeś nasze dwa działły na krzywiznie wielkiej podkowy.

Krótki postawił miskę na śniegu i wstał.

— Idźże! — powtórzył.

— Górny kraniec, „dwudziestego ósmego” numeru znajduje się o dziesięć stóp niżej od dolnego krańca numeru „dwudziestego siódmego”.

— Chcesz przez to powiedzieć, Kurzawa, żeśmy nic nie dostali?

— Gorzej, dostaliśmy o dziesięć stóp mniej, niż nic.

Krótki biegiem podskoczył ku rzeczce. W pięć minut później wrócił. W odpowiedzi na pytające spojrzenie Joy kiwnął potakująco głową. Bez słowa usiadł na pniu i siedział tak, patrząc uporczywie na śnieg przed swojemi kierpcami.

— Niema co—trzeba zwinąć obóz i wracać do Dawsonu—rzekł Kurzawa, zabierając się do zwijania koców.

-- Bardzo mi przykro, Kurzawa— odpowiedziała Joy — to wszystko przeze mnie.

— Nie szkodzi — odpowiedział — to się zdarza.

— Ale to moja wina, tylko moja, powtarzała uporczywie. Wiem, że tatuś wytyczył dla mnie dział niedaleko działu odkrycia, dam panu swój dział.

Potrząsnął przecząco głową.

— Krótki! — prosiła.

Krótki potrząsnął głową i zaczął się śmiać.

Był to kolosalny śmiech. Chichot i coraz to nowe wybuchy śmiechu zamieniały się w rozgłośnie rzenie.

— Nie myślcie, że to atak histeryczny — tłumaczył, — czasami istotnie bajecznie się bawię. I oto właśnie taki wypadek.

Przypadkiem spojrzał na miskę ze złotem. Podszedł ku niej i kopnąwszy ją z powagą rozsypał złoto.

— Nie nasze — rzekł — należy do tego cymbała, którego wczoraj o pięćset stóp odsadziłem. A do mnie należy czterysta dziewięćdziesiąt stóp gruntu... który jest jego gruntem. Chodźmy, Kurzawa. Kuśtykajmy znowu do Dawsonu. Ale gdybyś mnie chciał zabić, wiedz, że ani palcem nie ruszę.



## SEN KRÓTKIEGO.

### I

— Dziwna rzecz, że ty nie grasz — rzekł Krótki do Kurzawy pewnego wieczoru, kiedy siedzieli w barze „Pod Jelenim Rogiem” — Hazard cię nie ciągnie?

— I owszem — odpowiedział Kurzawa — ale mam też w głowie statystykę. Lubię pieniądze wydawać w równem tempie.

W obszernym barze wszystko głużyły odgłosy, szmery i zgiełk tuzina rulet i innych gier, w których ludzie odziani w futra i kerpce próbowali swego szczęścia. Kurzawa zrobił dłonią gest obejmujący ich wszystkich.

— Spójrzij na nich! — mówił — Zimne obliczenie wskaże ci, że oni tracą dzisiejszego wieczoru więcej niż wygryają, że większość już teraz przegrywa.

— B. ty jesteś w rachunkach — mruknął Krótki z zachwytem — i w gruncie rzeczy masz słuszość. Faktem jednak jest, że bywa i inaczej. Do tych faktów należy przeblysł szczęścia. Zdarza się, że lada cymbał wygrywa i ręczę ci za to, bo nieraz byłem świadkiem takiej gry i widziałem rozbitcie niejednego banku. Jedyny przepis na wygranie

w grze hazardowej jest: wyczekać natchnienia, mówiącego, że twoja szczęśliwa chwila przyszła, a wtedy grać do końca.

— Brzmi to bardzo prosto — odpowiedział krytycznie Kurzawa — tak prosto, że nie mogę pojąć, w jaki sposób ludzie przegrywają.

— Cała trudność polega na tem — zgodził się Krótki — że ludzie przeważnie myślą się co do swego natchnienia, w danych wypadkach ja na przykład zwykle się myliłem. Należałoby to wypróbować i wynaleźć jakąś regułę.

Kurzawa potrząsnął przecząco głową.

— Nie, Krótki, to już zaczyna o statystykę. Większość ludzi myli się co do swoich chwil szczęśliwych.

— A czy ty nigdy nie miałeś takiego niezłomnego przekonania, że gdybyś postawił wszystkie swoje pieniądze, wygrałbyś niezawodnie? —

Kurzawa zaśmiał się.

— O, ja też odniosłem niemało blizn z walki z procentem, jaki był przeciwko mnie. Ale wiesz, Krótki — coś ci powiem, właśnie teraz postawię na jedną kartę dolara. Przekonam się, czy też będzie w stanie kupić nam kieliszeczek czegoś dobrego.

Kurzawa skierował się ku stołowi, gdzie grano faraona, ale Krótki złapał go za ramię.

— Czeka, mam właśnie chwilę natchnienia. Daj tego dolara na ruletę.

Podeszli do stołu z ruletą niedaleko lady.

— Czeka, póki nie powiem — radził Krótki.

— Jaki numer? — zapytał Kurzawa.

— Jaki chcesz, ale czekaj, dopóki nie zobaczę jak gałka biega.

— Nie sądzisz chyba, że przy tym stole mam równe szanse? — mówił Kurzawa.

— Tak dobre jak i drugi.

— Ale nie tak dobre, jak bank.

— Czekaj, sam się przekonasz — nastawał Krótki.  
— Teraz! stawiaj!

W tej chwili właśnie krupier puścił wirującą gałkę na gładki brzeg toczącego się, podzielonego na działki, koła. Kurzawa, stojący na szarym końcu stołu, przechylił się przez jednego z graczy i na ślepo rzucił swego dolara.

Pieniądz potoczył się po gładkiem, zielonem suknie i padł w samym środku liczby „trzydzieści cztery”. Gałka zatrzymała się a krupier zawołał: — „trzydzieści cztery” wygrywa. — To mówiąc zgarnął wszystkie stawki i położył obok dolara Kurzawy trzydzieści pięć dolarów. Kurzawa zgarnął pieniądze a Krótki trzasnął go w plecy.

— A co, Kurzawa, może to nie prawdziwe natchnienie?

— Jakżeż to mogłem wiedzieć? Niema gadania, byłem pewny, że wygrasz. Gdyby nawet ten twój dolar padł na inny numer, wygrałbyś i tak. Kiedy natchnienie jest prawdziwe, wygrać musisz.

— A wyobraź sobie, co by było, gdyby wyszły dwa zera? — przekomarzał się Kurzawa, kiedy szli ku ladzie.

— Twój dolar padłby na dwa zera — odpowiedział Krótki. — Z tej sytuacji niema innego wyjścia.

Co natchnienie, to natchnienie. Tak jest a nie inaczej. Moje natchnienie mówi mi, że zdobywszy wygraną dla ciebie, mogę postawić na parę numerów dla siebie.

— Czy grasz według jakiegoś systemu? — zapytał Kurzawa po dziesięciu minutach, kiedy jego współnik przegrał około stu dolarów.

Krótki potrząsnął z oburzeniem głową, rozsypując swe bony w sąsiedztwie numerów „3” „11” i „17”, a garstkę ich stawiając równocześnie na czerwone.

— Piekło z pewnością roi się od warjatów, którzy grali według systemu—oświadczył, kiedy krupier zgarniał pieniądze ze stołu.

Bezczynnie przyglądając się grze, Kurzawa zagłębił się w nią, bacznie śledząc najmniejszy jej szczegół, poczynając od wirowania gałki, a skończywszy na stawianiu i wypłacaniu stawek. Nie grał, poprzestając wyłącznie na obserwowaniu gry. Był tem jednakże tak zajęty, że kiedy Krótki wstał oświadczając, że ma już zupełnie dość, z trudnością udało mu się oderwać Kurzawę od stołu.

Krupier zwrócił Krótkiemu worek ze złotem, złożony jako poręka na grę. Równocześnie zaś wręczył mu paperek, na którym było napisane należytość „trzysta pięćdziesiąt dolarów”.

Krótki zaniósł swój worek i kwitek do znajdującej się po drugiej stronie sali, wagi na złoto. Siedzący za nią człowiek odważył z worka Krótkiego trzysta pięćdziesiąt dolarów i wsypał to złoto do szkatułki firmy.

— Ale to twoje natchnienie wchodzi istotnie w zakres statystyki, o której ja mówiłem.

— A jednak musiałem grać, choćby tylko poto, aby się przekonać, że ono było zawodne — odpowiedział Krótki — wyznaję, że kuśiło mnie przekonać cię, że natchnienie naprawdę istnieje.

— Nic nie szkodzi, Krótki — roześmiał się Kurzawa — ja właśnie teraz mam natchnienie.

Oczy Krótkiego błysnęły. Zawołał z zapalem:

— Co ty mówisz? Idź i graj natychmiast!

— Moje natchnienie jest innego rodzaju, Krótki. — Widzisz, moje natchnienie mówi mi, że pewnego dnia opracuję system, który pobije wszystkie punkty na tym stole.

— System — jęknął Krótki, z niewymowną li-tością spoglądając na swego współnika — Kurzawa, posłuchaj swego szlafkamrata i daj systemowi spokój. Systemy gwarantują ci pewną przegraną. Natchnień w systemach niema.

— Oto dlaczego ja system wolę — odpowiedział Kurzawa — System opiera się na statystyce. Jeśli stworzysz sobie system odpowiedni, przegrać nie możesz i to właśnie stanowi całą różnicę między systemem a natchnieniem. Bo nigdy nie możesz przewidzieć, kiedy cię prawdziwe natchnienie zawiedzie.

— Zato ja znam całą masę systemów, które zawodziły, a ani jednego, któryby nie zawiódł.

Krótki umilkł i westchnął.

— Słuchaj, Kurzawa, — jeżeli zaczynasz się chwycić systemów, to nie mamy tu co robić i musimy znowu iść w świat.



Przes kilka następnych tygodni, dwaj współpracownicy pracowali każdy na własną rękę. Kurzawa spędzał swój czas na przyglądaniu się rulecie „Pod Jelenim Rogiem”, podczas gdy Krótki studjował drogi w okolicy. Wreszcie Kurzawa wystąpił, kiedy mu zaproponowano bieg na dwieście mil wdół Yukonu.

— Słuchaj, Krótki — rzekł — ja nie pójdę. Ta wybieczka potrwa jakich dziesięć dni, a do tego czasu mój system będzie już zupełnie opracowany. Już dziś mógłbym przy jego pomocy wygrać. Po kiego licha masz mnie włóczyć za sobą po tym kraju.

— Kurzawa, moim obowiązkiem jest czuwać nad tobą — brzmiała odpowiedź Krótkiego — Zaczynasz warjować. Zmusiłbym cię do biegu do Jerycho, albo do Bieguna Północnego, aby cię tylko odebrać od tego stołu.

— Bardzo słusznie, Krótki. Pomyśl jednak, że ja jestem człowiekiem zupełnie już dorosłym i żyjącym się oddawna mięsem. Jedyna rzecz, którą będziesz mógł wlec za sobą, to złoty piasek, który ja wygram przy pomocy swego systemu, a i to najprawdopodobniej będziesz w tym celu musiał zaprzęgać psy.

Krótki jęknął zamiast odpowiedzi.

— Oprócz tego zapowiadam ci, że wcale nie życzę sobie, abyś grał na własną rękę — mówił dalej Kurzawa — Podzielimy się zyskami, ale muszę włożyć w ten interes cały nasz kapitał. Mój system jest nowy, dlatego zanim go użyję, muszę wypróbować kilka rzadszych wypadków.

Nareszcie po długich godzinach i dniach, spędzonych na obserwowaniu stołu, nadszedł wieczór, kiedy Kurzawa oświadczył, że jest gotów, a Krótki posępny i pesymistycznie nastrojony, o wyglądzie człowieka, który udaje się na pogrzeb, towarzyszył swemu współnikowi „Pod Jeleni Róg”. Kurzawa kupił cały stos bonów i usiadł na samym końcu stołu. Gałka wirowała bezustannie, gracze wygrywali i przegrywali, a Kurzawa nie stawiał ani jednego bonu. Krótki zaczął się niecierpliwić.

— Zaczynaj-że—poganiał go—Niech się ten pogrzeb raz skończy. Co ci się stało? Boisz się?

Kurzawa potrząsnął przecząco głową i czekał. Gałka potoczyła się jeszcze jakie dwanaście razy a wtedy nagle on postawił dziesięć dolarowych bonów na „dwadzieścia sześć”. Numer wygrał i krupier wypłacił Kurzawie trzysta pięćdziesiąt dolarów. Dwanaście do dwudziestu gier minęło, kiedy Kurzawa postawił dziesięć dolarów na „trzydzieś dwa”. Wygrał znowu trzysta pięćdziesiąt dolarów.

— To natchnienie!—szepnął mu Krótki do ucha na cały głos—Teraz jazda, jazda!

Kurzawa jednak przez całe pół godziny siedział beczynnie, poczem dopiero postawił dziesięć dolarów na „trzydzieści cztery” i wygrał.

— Natchnienie!—szepnął Krótki.

— Bynajmniej — odpowiedział mu szeptem Kurzawa—To system. Może zły?

— Tego mnie nie powiesz—mówił Krótki, na-

technienie ma swoje dziwne drogi. Ty sobie możesz wyobrażać, że to system, ale to nieprawda. Systemy są niemożliwe. Niema ich wogóle, z całą pewnością grasz pod natchnieniem.

A Kurzawa zmienił teraz sposób gry. Coraz częściej stawiał pojedyncze bony, rozrzucając je tu i tam, przyczem częściej przegrywał niż wygrywał.

— Daj już spokój! — napominał go Krótki — zabierz swoje pieniądze. Trzy razy trafiłeś w same centrum i wygrałeś tysiąc dolarów. Dłużej nie wytrzymasz.

W tej chwili gałka zaczęła znów wirować a Kurzawa rzucił dziesięć bonów na „dwadzieścia sześć”. Gałka wpadła w przegródkę „dwadzieścia sześć” — krupier znowu wypłacił mu trzysta pięćdziesiąt dolarów.

— Wściekleś się i jesteś teraz w szale wygrywania, postaw najwyższą stawkę — mówił Krótki. Wal następnym razem dwadzieścia pięć dolarów.

Minął kwadrans, podczas którego Kurzawa wygrywał i przegrywał rozrzucone po rulecie poszczególne drobne stawki. A potem z nieobliczalnością, która charakteryzowała całą jego grę, postawił dwadzieścia pięć dolarów na dwa zera i krupier wypłacił mu znowu osiemset pięćdziesiąt dolarów.

— Kurzawa, zbudź mnie, ja śnię -- jęczał Krótki.

Kurzawa uśmiechnął się, zajrzał do swego notesu i pogrążył się w kalkulacji. Notes wyciągał z kieszeni podczas gry nieustannie i od czasu do czasu coś w nim pilnie zapisywał.

Dokoła stołu zebrał się zbity tłum, zaś gracze starali się stawiać na te same numery, co on. A wówczas on zmienił swój sposób gry, dziesięć razy rzędu stawiał po dziesięć dolarów na „osiemnaście” i za każdym razem przegrywał. Wobec tego najśmielsi nawet opuścili go. Wtedy on zmienił swój numer i wygrał znów trzysta pięćdziesiąt dolarów.

Gracze natychmiast zaczęli stawiać wraz z nim, aby go znowu po dłuższej serji przegranej opuścić.

— Rzuć to już, Kurzawa, rzuć!—radził Krótki—Najdłuższa passa trwa zwykle tak długo, dopóki się nie skończy. Już dziś więcej nie wygrasz.

— A jednak pociągnę jeszcze raz, zanim wezmę pieniądze — odpowiedział Kurzawa.

Przez pięć minut ze zmiennem szczęściem stawiał pojedyncze bony na stole, a potem rzucił dwadzieścia pięć dolarów na dwa zera.

— A teraz zagarnę już swoją flotę — powiedział do swojego spółnika.

— O, nie potrzebujesz mi nawet mówić, ile wygrałeś—oświadczył Krótki, idąc ku wadze.—Uważałem przez cały czas. Wygrałeś około trzech tysięcy sześciuset dolarów. O dużo się omyliłem?

— Trzy tysiące sześćset trzydzieści — powiedział Kurzawa—a teraz odniesiesz ten piasek do domu. Taka była przecie między nami umowa.

#### IV

— Tylko nie nadużywaj swojego szczęścia—kłócił się Krótki z Kurzawą następnego wieczoru, siedząc w chałupie, widząc, że jego spółnik znowu wybiera się „Pod Jeleni Róg”.—Natchnienie ci wczoraj potężnie pomogło. Ale swoją passę wygrałeś. Jeśli tam teraz znowu pojedziesz, przegrasz wszystko.

— Kiedy ja ci mówię, Krótki, że to nie jest żadne natchnienie. To statystyka, system niezawodny.

— Niech diabli wezmą system, systemu wogóle niema. Ja raz u jednego stołu miałem siedemnaście pass, czy to był system? Guzik! To było szalone szczęście, a tylko ja miałem boja i nie przejechałem się po nim do końca. Gdybym na nie siadł i puścił się, zamiast się wycofać po trzeciej passie, wygrałbym trzydzieści tysięcy a nie marnych dziesięć dolarów.

— A mimo wszystko, Krótki, mówię ci, to jest najprawdziwszy system.

— Psia kość, musisz mi go pokazać.

— Przecież ci go pokazałem. Chodź ze mną, pokażę ci go znowu.

Kiedy weszli „Pod Jeleni Róg”, wszystkie oczy zwróciły się ku Kurzawie, a ci, którzy już grali przy jego stole, uczynili mu miejsce. Jego gra była zupełnie niepodobna do gry wczorajszej. W przeciągu półtorej godziny postawił tylko cztery razy, za każdym razem po dwadzieścia pięć dolarów. Wziął trzy tysiące pięćset dolarów, a Krótki odniósł piasek do chałupy.



— Najwyższy czas zaprzestać już tej zabawy — napominał Krótki, usiadłszy na skraju swego tapczanu i zdejmując kierpce. — Wygrałeś już siedem tysięcy. Tylko warjat wystawiałby swe szczęście na dalszą próbę.

— Krótki, tylko skończony warjat porzuciłby tak pewny system, jak mój.

— Słuchaj, Kurzawa, jesteś „morus”, tyś skończył uniwersytet, w jednej minucie możesz wiedzieć więcej, niż ja mógłbym się nauczyć za czterdzieści tysięcy lat. Ale, mimo wszystko, mylisz się grubo, jeśli sądzisz, że twoje szczęście jest naprawdę systemem. Przecież i ja cośnecoś wiem. Cośnecoś w świecie widziałem. I powiadam ci poprostu, szczerze i z całą pewnością, że niema takiego systemu, któryby mógł pobić bank.

— A przecież ja ci taki system pokazałem — jest chyba prosty jak drut.

— Nie, Kurzawa, nieprawda, nic mi nie pokazałeś, to jest poprostu nic innego jak tylko sen. A potem ja się zbudzę, rozpalę ognisko i zacznę gotować śniadanie.

— Słuchaj, niedowiarku, tu jest piasek złoty, zważ go! — Z temi słowy Kurzawa rzucił swemu spółnikowi na kolana wór pełen złotego piasku. Worek ważył trzydzieści pięć funtów i Krótki zupełnie dokładnie zdał sobie sprawę z jego ciężaru i siły uderzenia.

— To chyba jest rzeczywistość — dowodził w dalszym ciągu Kurzawa;

— Abo ja wiem. Miałem już niejeden potężnie rzeczywisty sen w mem życiu. Wszystko mi się

śniło. Ale w rzeczywistości system jest niemożliwy. Otóż na uniwersytecie ja nigdy nie byłem, mam jednakże zupełne podstawy do twierdzenia, że ta nasza szulerska orgja nie jest niczem innem, jak tylko poprostu snem.

— Hamiltona „Zasady oszczędności” — zaśmiał się Kurzawa.

— Nigdy nie słyszałem o takim dudku, ale on napewno ma słuszność. To sen, Kurzawa, a ty straszysz mnie we śnie i dręczysz mnie swoim systemem. Jeśli mnie naprawdę kochasz, wrzaśnij na cały głos:—Krótki, wstawaj!—A ja wstanę i zacznę gotować śniadanie.

## V

Trzeciego wieczoru, kiedy Kurzawa postawił swą pierwszą stawkę, krupier wydał mu piętnaście dolarów.

— Wolno stawiać tylko dziesięć dolarów—rzekł, — wysokość stawek zniżono.

— Dostajecie pietra — zaśmiał się Krótki.

— Nikt nie musi grać przy tym stole jeśli mu się nie podoba. A jeśli mi wolno powiedzieć przy sposobności poprostu co myślę, to wołałbym, żeby wspólnik wogóle się do naszego stołu nie przysiadł.

— Aha, boicie się jego systemu? — rzucił Krótki wyzwanie, kiedy krupier wypłacał trzysta pięćdziesiąt dolarów.

— Nie powiem, abym się bał systemu, ponieważ w żadne systemy nie wierzę. Nie było nigdy systemu, któryby pobił ruletę, albo też jakąkolwiek

inną grę procentową. Nie przeczę jednak, że widziałem szczególne wypadki szczęścia i o ile mogę temu zapobiec, nie mam bynajmniej zamiaru dopuścić do rozbicia tego banku.

— Tchórzostwo!

— Mój złoty! Gra jest takim samym interesem, jak każdy inny. Nie jesteśmy zakładem filantropijnym.

A tymczasem Kurzawa wygrywał co wieczór.

Metoda jego gry wciąż się zmieniała. Ekspert po ekspercie, tkwiąc w tłumie dookoła stołu, notował jego stawki i numery w daremnej nadziei przeniknięcia tajemnicy jego systemu.

Wszyscy narzekali na to, że nie mogą odnaleźć odpowiedniego klucza, i przysięgali, że to było tylko szczęście, aczkolwiek dodawali, że tak szalonej passy nigdy nie widzieli.

Dezorjentował ich zupełnie nieuchwytny styl gry Kurzawy. Czasami godzina mijała, zanim po długim wertowaniu swego notesu i głębokiej kalkulacji ryzykował jakąś stawkę. Kiedy indziej wygrywał trzy najwyższe stawki, i ściągał tysiąc dolarów w przeciągu głupich pięciu do dziesięciu minut. A znowu kiedy indziej taktyką jego było rozrzucać pojedyncze bony hojne i bez żadnego sensu po całym stole. To trwało znowu dziesięć do trzydziestu minut, a kiedy gałka zataczała ostatnie kręgi, stawiał najwyższe stawki na kolumnę, kolor i numer i wygrywał. Jednego razu ku zupełnemu zmieszaniu wszystkich tych, którzy usiłowali odgadnąć jego tajemnicę, przegrał jedną po drugiej czterdzieści najwyższych stawek.

Jednakże jakkolwiekby grał, Krótki noc w noc odnosił do domu trzy tysiące pięćset dolarów.

— To nie jest żaden system — tłumaczył mu Krótki podczas jednej ze zwykłych dyskusyj przed spaniem.—Ja cię obserwuję, obserwuję cię, ale w twojej grze niema absolutnie żadnej kalkulacji. Ty nigdy nie grasz dwa razy tak samo. Cała sztuka polega na tem, że wygrywasz kiedy chcesz, a jeśli przegrywasz to rozmyślnie.

— Może być, Krótki, że jesteś bliższy prawdy, niż ci się zdaje. Czasami przegrać muszę, to też wchodzi w mój system.

— Do cholery z systemem. Rozmawiałem o tem ze wszystkimi szulerami miasta, ale ani jeden nie uznał, aby wogóle jakikolwiek system mógł istnieć.

— A przecież przez cały czas wykazuję ci, że mam swój system.

— Słuchaj, Kurzawa — rzekł po chwili Krótki, pochylony nad świecą, którą właśnie chciał zgasić — mnie już doprawdy djabli biorą. Tobie się może zdawać, że to jest świeca, a to nieprawda. Nieprawda żebym ja tu był, jakoby gdzieś wędruję zawinięty w swój koc, leżąc nawznak z otwartą gębą — a to wszystko tylko mi się śni. I wcale nieprawda, żebyś ty ze mną rozmawiał. Taka sama nieprawda, jak to, że ta świeca jest świecą.

— W takim razie ciekawe, jak może być, żeby mnie śniło się to samo co i tobie odpowiedział Kurzawa.

— Nie, tak wcale nie jest, ty jesteś tylko częścią mojego snu. We śnie rozmawiałem z różnymi

ludźmi. Chciałbym ci tylko jedno powiedzieć, Kurzawa, mnie zaczyna tu już szlag trafiać, jeżeli ten sen potrwa jeszcze dłużej, poprzegryzam sobie żyły i zacznę wyc.

## VI

Szóstego wieczoru podczas gry pod „Jelenim Rogiem” najwyższą stawkę znížono do pięciu dolarów.

— Wystarczy! — zapewniał Kurzawa krupjera — Muszę mieć jak zwykle swe trzy tysiące pięćset dolarów, to znaczy, że będę musiał grać dłużej. Trzeba mi będzie wygrać dwa razy tyle stawek — oto wszystko.

— Czemu nie uszczęśliwicie jakiego innego stołu? — zapytał krupjer zgryźliwie.

— Bo ten mi się podoba!

Tu Kurzawa spojrzał w kierunku huczącego pieca, oddalonego o kilka stóp zaledwie.

— Prócz tego tu niema przeciągów, jest ciepło i wygodnie.

Krótki, odnosząc dziewiątego wieczoru złoty piasek do domu, dostał jakiegoś napadu.

— Poddaję się, Kurzawa, poddaję się! — zaczął — Wiem już, że zostałem pobity. Nie śnię. Czuwam z szeroko otwartymi oczami. Nie może to być system, ale ty masz swój system. To znaczy, że z reguły trzech prostej niema już ani śladu. Kalendarz nie istnieje. Świat pękł na kawałki. Niema już nic prawidłowego i jednolitego. Tabliczka mnożenia poszła do licha. Dwa jest osiem, dziewięć jedenaście, a dwa razy dwa jest osiemset sześćdzie-



siąt sześć — i — i — i pól. Każda rzecz jest czem innym, nie jest wszystkim a dwa razy wszystko to cold-cream, angielskie biszkopty i fale morskie.

Wynalazłeś system. Liczba bije rachunek. Czego niema jest, a co jest, nie istnieje, przestało istnieć. Słońce wschodzi na zachodzie, księżyc to mała żyłka złota, gwiazdy to mrożona wołowina w puszkach, szkorbut to błogosławieństwo Boże, umarli zmartwychwstają, głazy pływają, woda to gaz, ja nie jestem ja, ty jesteś kimś innym a może też jesteśmy bliźniakami, o ile nie jesteśmy usmażonymi na grynszpanie pokrajanymi w kostkę ziemniakami.

Rety, zbudźcie mnie! ludzie, zbudźcie mnie!

## VII

Następnego ranka w chacie pojawił się gość. Kurzawa znalazł go. Był to Harvey Moran, właściciel wszystkich stołów gry w Tivoli. Kiedy przystąpił do interesu, w jego niskim, szorstkim głosie brzmiała nuta jak gdyby skargi.

— Otóż, Kurzawa, rzecz ma się tak! — zaczął. — Dojechaliście nam wszystkim. Przychodzę do was w imieniu swoim i dziewięciu właścicieli wszystkich stołów gry w mieście. Nie możemy zrozumieć. Wiemy z całą pewnością, że niema systemu, który mógłby ruletę pobić. Potwierdzili nam to wszyscy uczeni matematycy uniwersyteccy. Oni twierdzą, że ruleta sama jest systemem, jednym jedynym systemem, to znaczy, że żaden system nie

może jej pobić, bo inaczej cała matematyka zdałaby się psu na budę.

Krótki potakiwał gwałtownie głową.

— Gdyby system mógł pobić system — mówił dalej właściciel domu gry — znaczyłoby to, że systemu wogóle nie ma. A wówczas wszystko byłoby możliwe — jedna i ta sama rzecz mogłaby się znajdować w dwóch miejscach naraz, lub też naodwrot, dwa ciała mogłyby się równocześnie znajdować w miejscu, mogącem pomieścić tylko jedno ciało.

— Cóż, widzieliście przecież, jak gram! — odpowiedział lekceważąco Kurzawa. — Jeśli myślicie, że to tylko „passa” szczęścia, nie macie się o co martwić.

— Otóż w tem właśnie sęk. Nie możemy się nie martwić. Wy macie swój system, a równocześnie wiemy z całą pewnością, że to jest niemożliwe. Przeglądałem się wam przez pięć wieczorów i zauważyłem tyle tylko, że macie swoje pewne ulubione numery i na nich stale wygrywacie. Wobec tego my wszyscy, dziesięciu właścicieli stołów gry, zebraliśmy się i postanowiliśmy zrobić wam ugodową propozycję. Postawimy stół z ruletą w tym samym pokoju „Jeleniego Rogu” złożymy bank przeciw wam i zmierzymy się. Odbędzie się wszystko cicho, prywatnie. Prócz was, Krótkiego i nas, nie będzie nikogo. Cóż wy na to?

— Mnie się zdaje, że tu właściwszą byłaby inna droga — odpowiedział Kurzawa. — Wam wypada przyjść do mnie. Będę dziś wieczorem grał w barze

pod „Jelenim Rogiem”. Jeśli chcecie, możecie tam przyjść i zobaczyć, jak gram.

## VIII

Kiedy Kurzawa zajął tego wieczoru swe zwykłe miejsce za stołem, krupier przykrył ruletę.

— Ruleta zamknięta! — rzekł. — Na rozkaz „starrego”.

Ale zgromadzeni właściciele domów gry nie dali tak łatwo za wygraną. Złożyli się po tysiącu na bank i obsiedli stół.

— Chodźcie, spróbujcie się z nami! — wyzwał Kurzawę Harvey Moran, gdy krupier pierwszy raz rzucił wirującą gałkę.

— Pozwólcie mi stawiać po dwadzieścia pięć dolarów.

— Owszem — stawiajcie.

Kurzawa postawił natychmiast na „dwa zera”, wygrał.

Moran obtarł sobie pot z czoła.

— Jazda dalej! — odezwał się. — W banku jest dziesięć tysięcy.

W przeciagu półtorej godziny dziesięć tysięcy dolarów stało się własnością Kurzawy.

— Bank rozbity! — ogłosił krupier.

— Macie dość? — zapytał Kurzawa.

Właściciele domów gry spojrzeli po sobie. Czarneło ich przerażenie. Oni, tuczni protegowani hazardu, zostali pokonani. Stanęli wobec kogoś, kto miał głębszy wgląd w jego prawa, lub też odwołał

się do praw wyższych, o których nikomu ani się śniło.

— Poddajemy się! — oświadczył Moran. — Prawda, Burke?

Wielki Burke, właściciel gier w szynkach M. i G. skinął głową.

Stała się rzecz niemożliwa! — rzekł. — Ten Kurzawa istotnie wymyślił prawdziwy system. Jeśli go wypuścimy z rąk, zbankrutujemy wszyscy. Będziemy musieli ograniczyć stawki do wysokości dolara, dziesięciu centów, a może nawet centa. Przy takich stawkach niewiele przez noc wygra.

Wszyscy patrzyli na Kurzawę.

Zaś on wzruszył ramionami.

— Wobec tego, szanowni panowie, będę musiał najmować ludzi do grania przy waszych stołach. Dam im dolara za cztery godziny pracy i zrobię majątek.

— To my skasujemy ruletę — odpowiedział Wielki Burke. — Chyba że...

Tu zawahał się i powiódł wzrokiem po swych towarzyszach, aby się przekonać, czy się z nim zgadzają.

— Chyba że chcielibyście rozumnie z nami pogadać. Ile chcecie za ten swój system?

— Trzydzieści tysięcy dolarów! — odpowiedział Kurzawa. — Opłata po trzy tysiące od głowy.

Pomówili ze sobą i skinęli głowami.

— Za to wtajemniczycie nas w swój system?

— Oczywiście.

— I przyrzekniecie nam nigdy już więcej nie grać w ruletę w Dawsonie?

— O, nie, mój panie — odrzekł Kurzawa stanowczo. — Mogę tylko przyrzec, że nie będę grał więcej według tego systemu.

— Boże! — wybuchnął Moran. — Nie chcecie chyba przez to powiedzieć, że macie kilka systemów!

— Czekajcie! — zawołał Krótki. — Chciałbym pomówić ze swym współnikiem. Chodź tu, Kurzawa.

Kurzawa usunął się z nim do cichego kąta, gdzie na obu skoncentrowały się spojrzenia jakiej setki oczu.

— Uważaj, Kurzawa! — szeptał Krótki chrapliwie. — Może być, że to nie sen. Jeśli nie sen, to sprzedajesz swój sekret za psie pieniądze. Cały świat możemy przy jego pomocy zdobyć. On wart miliony! Trzymaj się! Nie daj się!

— Ale jeżeli to tylko sen? — przekomarzał się Kurzawa łagodnie.

— W takim razie w imię miłości samego snu duś tych szulerów i wydrzyj im najwięcej jak tylko możesz. Co wart sen, jeśli nie możesz go naprawdę urzeczywistnić, dośnić do prawdziwego, wiecznego „finish'u”

— Na szczęście, Krótki, to nie sen.

— W takim razie nigdy ci nie daruję, jeżeli go sprzedasz za trzydzieści tysięcy.

— Jak go sprzedam za trzydzieści tysięcy, rzucisz mi się na szyję i zbudzisz się wreszcie, aby się przekonać, że wogóle przez cały ten czas nie spałeś. To nie sen, Krótki. Przekonasz się w prze-



ciągu dwóch minut, że przez cały ten czas czuwa-  
łeś. Powiem ci tyle tylko, że jeśli ja teraz ten swój  
system sprzedaję, to dlatego właśnie, że go w tym  
celu wymyśliłem.

Powróciwszy do stołu Kurzawa oświadczył wła-  
ścicielom domów gry, że swej oferty nie cofa. Ofia-  
rowali mu pieniądze w banknotach, po trzy tysiące  
od głowy.

— Zażądaj złotego piasku — ostrzegł go Krótki.

— Chciałem właśnie zaznaczyć, iż pragnąłbym,  
aby mi tę sumę odważono złotym piaskiem—rzekł  
Kurzawa.

Właściciel „Jeleniego Rogu” zainkasował bankno-  
ty a otrzymał złoto.

— Teraz wcale już nie pragnę się obudzić —  
śmiał się, ważąc na rękach worki rozmaitej wiel-  
kości.—Zsumowawszy wszystko razem, jest to sen  
wartości siedemdziesięciu tysięcy. Byłoby rzeczą  
zbyt kosztowną otworzyć teraz oczy, wygrzebać  
się z koców i zabrać się do gotowania śniadania.

— Na czymże polega wasz system? — pytał nie-  
cierpliwie Wielki Burke. — Kupiliśmy go i chcemy  
go poznać.

Kurzawa poprowadził ich ku stołowi.

— Moi panowie, miejcie odrobinę cierpliwości.  
To nie zwykły system. Nie wiem nawet, czy moż-  
naby nazwać legalnym, jednakże jego wielką zaletą  
jest, że działa. Prawda, mam pewne podejrzenia,  
ale — nie mówmy o tem. Proszę uważać. Panie  
krupier, proszę przygotować gałkę. Niech pan czeka,

stawiam na „26”. Przypuśćmy, że postawiłem. Go-  
tów? Jazda!

Gałka potoczyła się.

— Proszę zapamiętać — zwrócił uwagę Kurzawa  
— że naprzeciw, po drugiej stronie, był numer „9”.

Gałka skończyła swój bieg w przegrodce nu-  
meru „26”.

Wielki Burke zaklął z głębi płuc, reszta czekała.

— Aby móc wygrać, stawiając na „dwa zera”,  
musi się naprzeciw mieć numer „11”.

— Dobrze, ale gdzież system? — wykrzyknął Mo-  
ran niecierpliwie, że wy umiecie stawiać na numery  
które wygrywają, to my wiemy, i wiemy, które to  
są numery, ale w jaki sposób to robicie?

— Obserwując sekwencje. Przypadkowo zauwa-  
żyłem dwa razy, jak gałka biegła, kiedy naprzeciw  
mnie był numer „dziewiąty”. Oba razy wygrał nu-  
mer „czwudziesty szósty”. Potem zauważyłem to  
częściej. Wobec tego zacząłem obserwować inne  
sekwencje i powoli odkryłem je. Naprzykład „dwa  
zera” znajdują się naprzeciw „trzydziestu dwóch”  
i „jedenaście” przynosi „dwa zera”. Nie udaje się  
to zawsze, zwykle jednak udaje się! A, jak to już  
poprzednio zauważyłem, mam pewne podejrzenia,  
ale — nie mówmy o tem.

Wielki Burke, któremu nagle zaczęło świtać w głó-  
wie, wstał, pochylił się, zatrzymał wirujący krążek  
rulety i zaczął mu się starannie przyglądać. Głowy  
dziewięciu powstałych właścicieli domów gry rów-  
nież pochyliły się nad stołem, pogrążone w szcze-

gółowem badaniu. Wielki Burke wyprostował się i rzucił wzrokiem na stojący wpobliżu piec.

— Do diabła! — rzekł. — To wogóle nie był żaden system! Stół stoi zbyt blisko pieca i ten przekłety krążek wypaczył się: daliśmy się zbujać! Nic dziwnego, że on lubiał ten stół. Przy innym stole nie grałby ani o orzechy!

Harvey Morgan odetchnął głęboko i otarł sobie czoło.

— W każdym razie — odezwał się — za dowiedzenie się, że systemu nie ma, tośmy jeszcze stosunkowo niewiele zapłacili.

Naraz twarz jego zaczęła drgać, poczem Harvey Morgan wybuchnął głośnym śmiechem i z całej siły palnął Kurzawę dłonią w plecy.

— Wzięliście nas na kawał, Kurzawa! I pomyśleć żeśmy Bogu dziękowali, że omijacie nasze stoły! Słuchajcie, mam coś, co warto byłoby otworzyć! gdybyście tak wszyscy przeszli do mnie, do Tivoli.

Wróciwszy późną nocą do chaty, Krótki w milczeniu przeglądał i ważył na zębach różne pękate worki ze złotem. Wreszcie ustawił z nich cały stos na stole i, usiadłszy na brzegu tapczanu, zaczął mówić, zdejmując kierpce:

— Siedemdziesiąt tysięcy! — kalkulował — waży to trzysta pięćdziesiąt funtów. A wszystko dzięki spaczonemu krążkowi i szybkiemu oku. Kurzawa, zjadłeś ich na surowo, zjadłeś ich żywcem, pracowałeś pod wodą, dałeś im szkołę; ale mimo wszystko ja wiem, że to tylko sen. Bo dobre rzeczy urzeczywistniają się tylko we śnie. Wcale i wcale

nie zależy mi na tem, abym się obudził. Mam nadzieję, że nigdy już się nie zbudzę.

— Uspokój się! — odpowiedział Kurzawa. — Nie obudzisz się. Cała kupa filozoficznych mędrków uważa ludzi za lunatyków. Znajdujesz się w bardzo dobrem towarzystwie.

Krótki wstał, podszedł do stołu, dźwignął najcięższy worek i, huśtając go w ramionach, jak dziecko w powiciu, rzekł:

— Być może, że jestem lunatykiem. Jednakże, jak to sam powiedziałaś, znajduję się istotnie w bajecznem towarzystwie.

## CZŁOWIEK Z DRUGIEGO BRZEGU

### I

Zanim jeszcze Kurzawa sprzedał działą nieistniejącego miasta Tra-lee\*), w słynnej aferze z wykupywaniem jaj omal nie doprowadził do bankructwa banku Billa Swiftewatera i wygrał wyścig psim zaprzęgiem wzdłuż Yukonu o równy milion dolarów, zdarzyło się, że raz wrócił wraz z Krótkim do górnego Klondike. Krótki miał wrócić do Dawsonu, aby zgłosić kilka działów, które wspólnie naznaczyli. Kurzawa zaś skreślił ze swym psim zaprzęgiem na południe. Celem jego poszukiwań było jezioro Niespodzianek i mityczne Dwie Chaty. W tym celu musiał się przedostać przez źródła rzeki Indyjskiej i przez nieznane okolice górskie dotrzeć do rzeki Stewarta. Jak wieść niosła, gdzieś w tych stronach znajdowało się jezioro Niespodzianek, otoczone dzikimi wirchami i lodowcami z dnem wybrukowanym rodzimem złotem.

Opowiadano sobie, iż dawni koloniści, których nazwiska nawet przepadły w zapomieniu puszczy minionych dni, nurkowali w lodowo zimnych głę-

---

\*) Niezbyt czysta afra w stylu Alaski, właściwie zwykłe oszustwo. Tra-per, badający kraj, przynosił do miasta wiadomość, że znalazł gdzieś złoty teren. Ponieważ tam nikt nie był, ludzie kupują działą na wiarę, padając oczywiście ofiarą oszustwa.



biach jeziora Niespodzianek i w obu rękach wynosili bryły złota na powierzchnię. Ci dawni koloniści w rozmaitych czasach docierali do niezdobytej twierdzy, usiłując zdobyć złote dno jeziora. Jednakże woda była zbyt zimna. Niektórzy umierali w wodzie, tak że na brzeg wyciągano tylko ich trupy. Inni kończyli na suchoty. A byli i tacy, którzy zanurzywszy się w wodę, już się z niej więcej nie wynurzali. Pozostali przy życiu obiecywali sobie wrócić i spuścić jezioro, nie wrócił jednak ani jeden. Stale przytrafiały się im nieszczęścia. Ktoś tam wpadł w bąblę lodową\*) poniżej czterdziestej mili, drugiego rozdarły i pożarły jego własne psy, trzeciego zmiażdżyło padające drzewo. I tak dalej — niosła wieść. Jezioro Niespodzianek stało się postrachem; zapomniano nawet, gdzie leży. I złoto wciąż pokrywało jego nieosuszone dno.

Co się tyczy niemniej mitycznych Dwóch Chat, wiadano przynajmniej dokładnie, gdzie leżą. Dwie te stare chałupiny znajdowały się w odległości „pięciu noclegów” do rzeki Stewarta w górę ku rzece Me Question. Były tak stare, że zbudowano je chyba zanim jeszcze pierwsi poszukiwacze złota znaleźli się w dolinie Yukonu. Polujący na łosie wędrowni myśliwi, których Kurzawa czasami spotykał, rozmawiając z nim o tych chatach, twierdzili, że pamiętają je od najdawniejszych lat, napróżno jednak poszukiwali kopalń, które ci dawni awanturnicy niewątpliwie wykopali.

\*) Bąbla lodowa—w oryginale „airhole”, co znaczy „dziura lodowa” Na szybko płynących, górskich rzekach Alaski, tworzą się w lodzie dziury, pokryte cienką tylko skorupą lodu. To jest „bąbla lodowa”.

— Wolałbym, żebyś mnie wziął ze sobą!—mówił Krótki, kiedy się rozstawali. — Dlatego, że zahartowałeś się jak Indjanin, nie należy się zaraz narażać.

— Wnioskując z tego, co wszyscy mówią, tam z pewnością straszy.

— Nie szkodzi, Krótki, zrobię tę okrężną wycieczkę, a za sześć tygodni będę zpowrotem w Dawsonie. Szlak wiodący Yukonem jest ubity, a jakie pierwsze sto mil na Stewarcie powinnyby być też ubite. Dawniej osiadli koloniści z Hendersonu mówili mi, że w jesieni po zamarznięciu rzek przeszła tamtędy większa partja z bagażem. Jeśli pójdę tym śladem, mogę odwalić dziennie czterdzieści do pięćdziesięciu mil. Najprawdopodobniej, jak tylko przedostanę się na drugą stronę, będę zpowrotem do miesiąca.

— Jak tylko przedostaniesz się na drugą stronę. Rozumie się, co mnie jednak peszy, to właśnie to przedostawanie się na drugą stronę. No, trzymaj się ciepła, Kurzawa. A mówię ci, miej oko na te strachy. I nie wstydź się wracać, gdybyś niczego nie ubił.

## II

W tydzień później Kurzawa znajdował się wśród chaotycznie poplątanych łańcuchów górskich, na południe od rzeki Indyjskiej. Opuściwszy Klondike i stanąwszy na dziale wód, porzucił sanki i obciążył bagażem psy. Każdy z sześciu wielkich psów dźwigał pięćdziesiąt funtów. Tyleż niósł na barkach i on. Szedł miękkim śniegiem, ubijając go nartami. A za nim gęsiego z trudnością biegły psy.

Pokochał to życie, głęboką zimę podbiegunową, milczące pustkowia, nieskończoną powierzchnię śniegu, nietkniętą nogą ludzką. Nad nim piętrzyły się lodowate wirchy bezimienne i niezaznaczone na żadnej mapie. Oko jego nie dostrzegało nigdy nawet wzbijającego się w ciche powietrze dolin dymu z obozowiska myśliwego. Sam jeden wędrował przez zamyśloną ciszę dziewiczych przestrzeni. Lecz ta samotność nie przygnębiała go. Kochał tu wszystko, trud dnia, żrące się wilczary, rozbijanie obozu podczas długiego zmierzchu, dygocące gwiazdy na wysokościach, płomienistą glorię zorzy północnej.

Najszczęśliwszym czuł się w rozbitym u schyłku dnia obozie, który wciąż pragnął utrwalić na obrazie, wiedząc zresztą, że widoku jego nigdy nie zapomni. — Ubity w śniegu plac, na którym rozpalał ognisko; jego posłanie — para worków z zajęczego futra, rozesłana na świeżo ściętych sosnowych gałęziach; jego namiot, płótno brezentowe, rozciągnięte tak, że chwytało ciepło ogniska a zarazem zasłaniało go przed zbytnim żarem; osmolony kociołek na kawę, i wiadro, stojące na podstawce z polan, suszące się nad ogniem na kijach kierpce i zatknięte w śniegu do góry końcami narty; dokoła ognia wilczary garnące się do jego ciepła, zamyślane a czujne, kudłate, okryte szronem i przykrywające nogi puszystymi ogonami; zaś ze wszystkich stron — odsunięty zaledwo o parę kroków, wał okalających ciemności.

W takich chwilach San Francisco, „Fala” i O'Hara, wszystko zdawało się być bardzo odległe, pogrążone w zamierzchłej przeszłości, nie rzeczy-

wistość lecz cienie jakichś snów. Trudno mu było uwierzyć, że kiedykolwiek żył życiem innym niż życie pustyni, a jeszcze trudniej przychodziło mu pogodzić się z faktem, że kiedyś mógł brać udział w lekkomyślnem i pustem życiu miejskiej cyganerii. Samotny, nie mając nikogo, do kogoby mógł się odezwać, myślał dużo, głęboko i prosto.

Przerażało go teraz marnotrawstwo lat spędzonych w mieście, taniość szkolnej i książkowej filozofji, zuchwały cynizm pracowni i gabinetów wydawców, wreszcie żargon spekulantów w klubach. Żaden z nich nie miał pojęcia ani o pożywieniu, ani o śnie, ani o zdrowiu; prawdopodobnie nigdy nie czuli żądła prawdziwego apetytu, ani błęgiego bólu zmęczenia, ani szybkiego krążenia oszalałej bujnej krwi, gryzącej całe ciało jak wino, kiedy dzieło zostało dokonane.

A przecież przez cały czas ten piękny, mądry, spartański Kraj Północny wciąż istniał a on nic o nim nie wiedział. Dziwiło go, że mimo tak silnych wewnętrznych skłonności do tego życia nigdy nie słyszał najcichszego jakiegoś wewnętrznego wezwania, nigdy nie próbował nawet szukać. Ale i to zagadnienie po pewnym czasie rozwiązał.

— Uważasz, Bury, ja już wiem.

Pies szybkim pojedynczym ruchem podniósł naprzód jedną przednią łapę, potem drugą, owinął je kosmatym ogonem i uśmiechnął się do niego poprzez ogień.

— Herbert Spencer miał około czterdziestu lat, kiedy wreszcie doczekał się wizji swej najpro-

duktywniejszej działalności i zrozumiał, czego właściwie chce. U mnie przyszło to prędzej. Ja na swoją wizję nie czekałem nawet trzydziestu lat. Mimo wszystko, Bury, wolałbym urodzić się wilkiem i być przez całe życie waszym bratem.

Całymi dniami wędrował wśród chaosu kanjonów i działów wód, nie stosujących się do żadnego rozumnego planu topograficznego. Zdawało się, jak gdyby je stworzył jakiś kosmiczny żartowniś. Napróżno szukał rzeczki lub strumyka, któryby naprawdę płynął na południe ku rzece Mc Question lub Stewarta. A potem zerwała się burza górską, która ogarnęła wichurą chaos wysokich i niższych działów wód. Znajdując się ponad strefą lasów, przez dwa dni walczył poomacku, starając się w jakiś sposób zejść trochę niżej. Drugiego dnia stanął na skraju olbrzymiej palisady. Śnieg padał tak gęsty, że Kurzawa nie mógł dostrzec podnóża tego wału i nie śmiał nawet próbować zejść po jego zboczu. Zawinał się w kożuchy i zebrał dookoła siebie psy w głębokim śniegu, ale ani na chwilę nie pozwolił sobie zasnąć. Rano, kiedy burza ucichła, wypełznął ze swej nory na zwiady. O ćwierć mili poniżej znajdowało się bez najmniejszej wątpliwości zamrożone, śniegiem zasypane jezioro. Poszarpane turnie okalały je ze wszystkich stron. Wszystko to najzupełniej odpowiadało opisowi. Znalazł jezoro Niespodzianek naoslep.

— Dobrze się nazywa—mruknął, stanąwszy nad jego brzegiem. Kilka starych sosen stanowiło tu całą roślinność. Idąc ku tym drzewom, natknął się



na trzy groby, zasypane śniegiem lecz łatwe do poznania dzięki ręcznie wyciosanym krzyżom z niemożliwemi do odczytania napisami. Na skraju zarosła stała mała napółzbutwiała chałupka. Pchnąwszy drzwi, wszedł do niej. W jednym kącie chałupki na czemś, co kiedyś było posłaniem z gałązek sosnowych, dotychczas jeszcze otulony wyliniałemi, rozpadającemi się kożuchami leżał szkielet.

— Ostatni gość nad jeziorem Niespodzianek — przyszedł do przekonania Kurzawa, podnosząc z ziemi bryłę złota, wielką jak dwie jego pięści. Tuż przy tej bryle znajdowała się puszka na pieprz, pełna drobniejszych bryłek złota o nierównej powierzchni, nie zdradzającej ani śladu przemysłu.

Wszystko tak się zgadzało, że Kurzawa zupełnie już nie wątpił, iż złoto pochodziło z dna jeziora. Wobec tego, że dno, bronione kilku stopami lodu, było niedostępne, Kurzawa nie miał tu nic do roboty, skutkiem czego, stojąc w południe znowu na skraju palisady, rzucał ku niemu wdół pożegnalne spojrzenia.

— Wszystko w porządku, moje łube jeziorko — mówił, — masz zupełną słuszość, że kryjesz się tutaj! Wrócę ja tu osuszyć cię — o ile twe upiory nie złapią mnie w swe szpony. Nie wiem, w jaki sposób się tu dostałem, ale dowiem się o tem, wydostając się stąd.

### III

W cztery dni później Kurzawa rozpałał ognisko w małej dolince niedaleko zamarzniętego strumienia, pod błogosławionemi sosnami. Gdzieś w tej

białej anarchji pozostawił za sobą jezioro Niespodzianek—gdzie, sam nie wiedział. Albowiem stugodzinne przebijanie się przez góry i walka z oslepiającą zawieją śnieżną do tego stopnia pozabawiła go orientacji, że zupełnie już nie wiedział, w którym kierunku jezioro zostało poza nim. Było to jak gdyby otrząsnął się z okropnego snu. Nie był pewny, czy to trwało cztery dni, czy tydzień. Sypiał z psami, przechodził przez nieskończoną ilość działów wód, szedł zakrętami wijących się dziwnie, ślepych kanjonów, a przez cały ten czas dwa razy tylko zdołał rozniecić ognisko, nad którym mogło odtajać zmarznięte mięso łosiowe. A oto wreszcie znalazł się tu, syty i w wygodnym obozie. Burza minęła, pogoda była jasna i zimna. Ukształtowanie kraju stało się znowu rozumne. Jar, w którym się znajdował, miał wygląd naturalny i biegł, jak należało, ku południowemu zachodowi. Ale jezioro Niespodzianek zginęło dla niego, jak też zginęło dla wszystkich, którzy go przed nim szukali.

Po półdniowej wędrówce wzdłuż rzeczki płynącej jarem znalazł się w dolinie większej rzeki, którą uznał za Mc Question. Tu ubił łosia, skutkiem czego znowu każdy jego wilczar dźwigał na grzbiecie pełnych pięćdziesiąt funtów mięsa. Skierowawszy się wdół Mc Question, natrafił na drogę wyjeżdżoną przez sanki. Późniejsze śniegi przysypały ją nieco, pod niemi jednak szlak był dobrze ubity. Kurzawa wywnioskował stąd, że nad rzeką Mc Question znajdują się dwa obozy, które

ta droga łączy. Widocznie Dwie Chaty odnaleziono i tu gdzieś musiało się znajdować niżej położone osiedle, wobec czego ruszył wdół rzeki.

Było czterdzieści stopni poniżej zera, kiedy rozbił obóz. Zasypiając, myślał wciąż, co to za ludzie odszukali Dwie Chaty i czy się do nich jutro dostanie. Z pierwszym brzaskiem znajdował się już w drodze, z łatwością posuwając się napółzasypaną drogą i ubijając świeży śnieg nartami, aby psy się w nim nie zapadały.

A potem przyszło to nieoczekiwane, skoczywszy nań z brzegu rzeki. Zdawało mu się, jak gdyby słyszał i czuł równocześnie. Z prawej strony doleciał trzask wystrzału karabinowego a równocześnie pocisk, przeszywszy na plecach jego *parkę* i wełniany kaftan, aż nim okręcił siłą uderzenia. Kurzawa zatonął się na swych spętanych nartach, starając się odzyskać równowagę. I w tej chwili usłyszał drugi wystrzał. Tym razem było to pudło. Kurzawa jednak nie czekał dłużej, lecz poskoczył przez śnieg ku znajdującym się o paręset kroków nad brzegiem drzewom, za którymi można się było ukryć. Karabin trząskał raz po raz i Kurzawa ku wielkiej przykrości zauważył, że coś ciepłego cieknie mu wzdłuż pleców. Wydrapał się na brzeg, wlokąc za sobą opierające się psy, i ukrył się wśród drzew i krzaków. Odpiąwszy narty, wyciągnął się jak długi, popęznął naprzód i ostrożnie wystawił głowę. Nikogo nie było widać. Ten ktoś, co do niego strzelał, leżał spokojnie między drzewami, na drugim brzegu rzeki.

— Jeżeli w krótkim czasie coś się nie zdarzy—

mruknał po pół godzinie—będę musiał albo zemknąć i rozpaść gdzieś ogień, albo też odmrozić sobie nogi. Bury, cóżbyś ty zrobił, leżąc tak na mrozie z zamierającym obiegiem krwi, mając naprzeciw siebie człowieka, który usiłuje cię ukatrupić?

Popęłznał kilka łokci wstecz, ubił śnieg, zatańczył trepaka, który pchnął falę krwi w jego stopy i starał się wytrzymać jeszcze pół godziny. A wówczas usłyszał dolatujący z rzeki niemożliwy do niepoznanienia brzęk psich dzwonków. Wychyliwszy się, ujrzał na zakręcie sanki.

Szedł przy nich jeden jedyny człowiek, pchając hamowidło\*) i poganiający psy. Na Kurzawie widok jego sprawił wrażenie wstrząsające, bo był to pierwszy człowiek, jakiego ujrzał po trzech tygodniach od chwili rozstania z Krótkim. W następnej chwili myślał już o chytrym mordercy, ukrytym na przeciwległym brzegu.

Nie pokazując się, gwizdnął na przestrogę. Człowiek nie usłyszał gwizdnięcia i w dalszym ciągu szybko się zbliżał. Kurzawa gwizdnął drugi raz jeszcze głośniej. Człowiek krzyknął na psy, stanął, i zwrócił się twarzą ku Kurzawie, gdy nagle znowu rozległ się wystrzał z karabinu. W chwilę później Kurzawa wypalił w zarośla, w kierunku strzału.

Człowiek na rzece został trafiony jednym jedynym strzałem. Uderzony pociskiem o wielkiej szyb-

---

\*) Hamowidło — po angielsku „geepole”. Właściwie nie jest to ani hamowidło ani dyszel, lecz raczej coś w rodzaju steru — umię zczony wtyłek, zapomoć którego można sankami kierować. Saneczki, ciągłone przez psy, są w całym znaczeniu słowa „na rzuennym dyszlu” skutkiem czego splożą się wciąż raz na prawo, raz na lewo. Dla zapobieżenia temu używa się owego „geepole”, a ponieważ przyrząd ten służy do hamowania wahań się sanek, nazywamy go „hamowidłem”. Przyp. tłum.

kości, zachwiał się. Niezgrabnie zatoczył się ku sankom, napół już padając, i wyjął z pod siedzenia karabin. Kiedy próbował przyłożyć go do ramienia, chwycił się nagle za brzuch i powoli osunął się na sanki, jakby siadając. A naraz strzelba jego wypadła w powietrze, on zaś sam zwałił się wtył przez leżący na sankach bagaż, tak że Kurzawa ujrzał tylko jego nogi i brzuch.

Zdołu dolatywał brzęk większej ilości dzwonków. Człowiek nie ruszał się już. Z za zakrętu wyjechało troje sanek, przy których szło sześciu mężczyzn. Kurzawa zawołał na nich, aby ich ostrzec, oni jednak zauważyli, co się stało z pierwszymi saniami i czempędzej ku nim poskoczyli. Strzały z drugiego brzegu już nie padały, wobec czego Kurzawa, krzyknąwszy na swe psy, wyszedł z ukrycia. Na jego widok rozległy się okrzyki, a dwóch mężczyzn, ścignąwszy z prawych rąk mitynki, wzięło go na cel.

— Chodź-no tu, ty krwawy morderco — zakomenderował jeden z nich, czarnobrody mężczyzna — I rzuć mi natychmiast karabin w śnieg.

Kurzawa zawahał się, poczem, rzuciwszy karabin, ruszył ku nim.

— Louis, idź, zrewiduj go i odbierz mu broń — rozkazywał w dalszym ciągu Czarnobrody.

Louis, kanadyjski Francuz, jak pomyślał Kurzawa, podobnie jak i czterech jego towarzyszków, wypełnił rozkaz. Zrewidowawszy Kurzawę, znalazł przy nim nóż myśliwski, który mu natychmiast odebrał.

— A teraz cóż powiecie na swoją obronę, nieznajomy człowieku? — zapytał Czarnobrody.



— ~~Za~~ jesteście w błędzie, jeśli sądzą, że to ja zabiłem tego człowieka—odpowiedział Kurzawa.

Jeden z podróżnych krzyknął nagle. Przyglądając się ścieżce, znalazł ślady Kurzawy w miejscu, gdzie on szukał schronienia na brzegu. Czempredzej podzielił się tem spostrzeżeniem z towarzyszami.

— Dlaczego zabiliście Joye Kinade'a? — zapytał Czarnobrody.

— Mówiłem wam, że to nie ja — — zaczął Kurzawa.

— E, szkoda gadania. Złapaliśmy was na gorącym uczynku. Na prawo od tego miejsca zjechaliście z drogi, słysząc, że nadjeżdża. Zaczailiście się za drzewami i zamordowaliście go skrytobójczo. Strzał na krótki dystans. Nie mogliście chybić. Pierre, idź i przynieś jego strzelbę. —

— Moglibyście pozwolić mi powiedzieć, jak to było — zauważył Kurzawa.

— Stulcie pysk — syknął Czarnobrody. — Mojem zdaniem całą historję opowie najlepiej wasz karabin.

Wszyscy przyglądali się karabinowi Kurzawy, wyrzucając naboje, licząc je, badając zamek i wyłot lufy.

— Jeden strzał — oświadczył Czarnobrody.

Pierre nozdrzami drżącymi i rozszerzonymi, jak u jelenia, wąchał zamek.

— Tu było niedawno strzelać — rzekł.

— Kula trafiła go z tyłu — powiedział Kurzawa— a on w tej chwili zwrócony był do mnie twarzą, Sami widzicie, że strzał padł z drugiego brzegu rzeki.

Po chwili namysłu Czarnobrody potrząsnął głową.

— Bzdury, to się wam nie uda. Właśnie wten-  
czas, kiedy był zwrócony twarzą ku przeciwnemu  
brzegowi rzeki, wyście do niego z tyłu strzelili.  
Chłopcy, skoczno który drogą tam i zpowrotem,  
zobaczcie, czy są jakie ślady, któreby prowadziły  
na drugi brzeg rzeki.

Wróciwszy, zaraportowali, że z tej strony rzeki  
nie prowadziły na drugą żadne ślady. Ani nawet  
zając na drugą stronę nie przebiegł. Czarnobrody,  
pochyliwszy się nad trupem, wyprostował się naraz,  
trzymając w rękach kłak z wełny i futra. Rozwi-  
nąwszy go, wyjął pocisk, który przeszył ciało. Spłasz-  
czony koniec był wielkości pół dolara, dalej jednak  
pocisk, osłonięty stalowym płaszczem, był nieuszkod-  
zony. Czarnobrody porównał go z nabojem wy-  
ciągniętym z pasa Kurzawy.

— To wystarczy najzupełniej, aby przekonać  
nawet ślepego, nieznanego człowieku. Ten pocisk  
ma koniec zaokrąglony i stalowy płaszcz. Wasz po-  
cisk ma koniec zaokrąglony i stalowy płaszcz. Ten  
pocisk ma kaliber 33, wasz pocisk ma kaliber 33.  
Ten pocisk pochodzi z fabryki J. i T. Arms-Compa-  
ny i wasz pocisk został zrobiony w fabryce J. i T.  
Arms-Company. A teraz pójdziecie z nami na brzeg,  
żebyśmy mogli zobaczyć, jak się to wszystko stało.

— Powtarzam wam, że to do mnie z za krzaka  
strzelano—rzekł Kurzawa.—Przyjrzyjcie się dziurce  
w mojej *parce*.

Podczas kiedy Czarnobrody zajęty był badaniem  
tej dziury, jeden z podróżnych otworzył zamek ka-  
rabinu zabitego. Było rzeczą oczywistą, że z tego

karabinu padł jeden strzał. Łuska wystrzelonego naboju tkwiła w lufie.

— Wielka szkoda, że biedny Joye chybił—rzekł Czarnobrody z goryczą—ale przynajmniej zgrabnie wpakował wam dziurę, prawie zupełnie podobną do tej, którą wyście w nim zrobili. Chodźcie.

— Przeszukajcie naprzód drugi brzeg—nastawał Kurzawa.

— Stulcie pysk i chodźcie! Niech fakty mówią. Zeszli z drogi w tym samym miejscu co on i szli jego śladem w górę rzeki aż ku drzewom.

— Tu on tancowała, żeby sobie chuchać w nogi—pokazywał Louis.—Na tem miejscu czolgała się na brzuchu. Na tem miejscu oparła się na lokciu do strzału.

— Na Boga, a tu leży łuska wystrzelonego naboju, którym go zabił! — zrobił nagle odkrycie Czarnobrody.—Chłopcy, pozostaje nam do zrobienia jedno tylko... —

— Moglibyście mnie zapytać w jaki sposób przyszedłem do tego strzału — przerwał Kurzawa.

— A ja mógłbym wam wybić wszystkie zęby, jeśli znowu gębę rozdziawicie. Przyjdzie czas na odpowiadanie na pytania. Otóż słuchajcie, chłopcy, jesteśmy ludźmi przyzwoitymi, szanującymi prawo i załatwimy tę sprawę jak należy. Pierre, jak daleko jesteśmy?

— Zdaje mi się, co najmniej dwadzieścia mil.

— Dobra. Zabierzemy ten bagaż i odwieziemy tego tu i biednego Joye zpowrotem do Dwóch Chat. Sądzę, że widzieliśmy wszystko, co trzeba,

I spokojnie możemy zaświadczyć, że należy mu się stryczek.

#### IV

W trzy godziny po zapadnięciu ciemności trup, Kurzawa i ludzie, którzy go ujeli, przybyli do Dwóch Chat. Przy świetle gwiazd Kurzawa zauważył z jaki tuzin, a może i więcej, świeżo zbudowanych chat, okalających starą chałupę, stojącą na równinie, niedaleko brzegu rzeki. Wpchnięty do tej starej chaty, dowiedział się, iż zajmuje ją jakiś młody olbrzym, jego żona i ślepy starzec. Żoneczka, którą jej małżonek nazywał Lucy, była potężną kobietą, kresowego\*) typu. Starzec, jak się Kurzawa później dowiedział, był przez długi czas traperem nad rzeką Stewarta, i ośleplł ostatecznie zeszłej zimy. Dowiedział się również, że osada Dwóch Chat powstała ostatniej jesieni dzięki tuzinowi ludzi, którzy przybyli tu w sześciu czółnach, naładowanych żywnością. Tu, w pobliżu Dwóch Chat, odnaleźli ślepego trapera i dokoła jego chaty pobudowali swoje.\* Późniejsi przybysze, przybyli po łodzi na swych psich zaprzęgach, potroili ilość mieszkańców. W osadzie była wielka obfitość mięsa, a prócz tego odkryto pokłady złotego żwiru, który przepłukiwano.

W przeciągu pięciu minut wszyscy mieszkańcy Dwóch Chat stłoczyli się w izbie. Kurzawa, we-

\*) Kobieta kresowego typu -- „of the frontier type” w oryginale -- co dosłownie znaczyłoby „typu pogranicznego”. Granica stanowi zawsze „kres”, zaś wyrażenie „kresowy” w języku polskim oddaje dobrze charakter ludzi, o których czytamy. Nasi „ludzie kresowi” są tak samo pionierami, jak ludzie Jack’a Londona, nawet fizycznie stanowią pewien typ. — Przyp. tłum.

pchnięty w jeden kąt izby, ignorowany, lub też mierzony groźnemi spojrzzeniami, z rękami i nogami skrępowanemi rzemieniami z łosiowej skóry, przyglądał się im. Naliczył trzydziestu ośmiu ludzi, napółdziczałych i groźnych, przeważnie kresowców z granic Stanów Zjednoczonych lub też włóczęgów \*) z Górnej Kanady. Ludzie, którzy go ujęli, bez przerwy powtarzali swą opowieść, a dokoła każdego z nich zbierała się grupa podnieconych i gniewnych słuchaczy. Odzywały się głosy: — Zlinczować go natychmiast, naco czekać — a kiedy jakiś olbrzymi Irlandczyk chciał się rzucić na niego i zbić go, trzeba było użyć siły aby mu w tem przeszkodzić.

Licząc tych ludzi, zauważył Kurzawa znajomą twarz. Był to Breck, człowieka, którego łódź przewiózł swego czasu przez wiry. Kurzawa dziwił się, dlaczego on się do niego nie zbliża i nie odzywa się. Sam jednak udawał, że go nie poznaje. Dopiero kiedy Breck, zasłoniwszy sobie twarz, skinął na niego znacząco, Kurzawa zrozumiał.

Czarnobrody, którego nazywano Hardingiem, zakończył swe przemówienie zapytaniem, czy jeńca należy zlinczować natychmiast, czy nie.

— Zaczekajcie chwilę! — ryczał Harding. — Nie zakasujcie za wcześnie rękawów, ten człowiek należy do mnie. Ja go złapałem i ja go tu przywiozłem.

\*) Włóczęgów — w oryginale franc. określenie „voyageurs” — powinni być „podróżnicy. Słowo to jednak nie oznacza bynajmniej ani „podróżnego” ani „komiwojażera”, lecz człowieka, który podróżuje — szukając interesu. Odpowiada mu określenie angielskie „explorer”, co dosłownie jest określeniem człowieka podróżującego po o, aby zbadać dany kraj w celach eksploatacji. „Voyageurs” „Dwóch Chat” są zwykłymi awanturnikami, do których słowo „włóczęga” najzupełniej przylega. — Przyp. tłum.



Czy myślicie, że włókłem go tu całą drogę poto, by go zlinczowano? Ani mi się śni. To potrafiłbym zrobić sam, kiedy go złapał. Przywiozłem go tu poto, aby wydano na niego sprawiedliwy i bezstronny wyrok i, jak Boga kocham, musi być wydany wyrok sprawiedliwy i bezstronny. On sam jest skępowany, zdrów i nic mu nie grozi. Przywiążcie go do ławki i niech tak leży do rana, póki nie zrobimy nad nim sądu.

## V

Kurzawa zbudził się. Lodowato zimny strumień powietrza świdrował mu ramię, kiedy leżał obrócony do ściany. Gdy go przywiązywano do ławki, takiego przeciągu jeszcze nie było. Teraz jednakże prąd powietrza z zewnątrz, wciskając się w rozgrzaną atmosferę chaty z ciśnieniem pięćdziesięciu stopni poniżej zera, był wyraźną wskazówką, że ktoś wydłubał mech, służący jako spoidło między belkami. Kurzawa przysunął się tak blisko, jak tylko mu na to więzy pozwalały i, wyciągnawszy szyję, jak mógł najdalej, przytknął usta do szpary.

— Kto to? — szepnął.

— Breck—brzmiała odpowiedź.—Uważajcie, żebyście nie narobili hałasu. Dam wam nóż.

— Poco? — odpowiedział Kurzawa. — Nie mógłbym go użyć. Mam ręce skępowane na plecach i przywiązane do ławy. Pozatem nóż przez tę szparę nie przejdzie. Ale coś trzeba zrobić. Widzę, że te draby chcą mnie powiesić, a chyba nie przypuszczacie, że bym ja zabił tego człowieka.

— Szkoda gadania, Kurzawa — i gdybyście nawet zabili, to mielibyście potem swe racje. Zresztą mniejsza z tem. Chcę was stąd wydobyć. To ludzie zupełnie dzicy. Samiście widzieli. Żyjąc w tej dziurze zabitej deskami, sami ustanawiają i wykonują swe prawa.—Na zgromadzeniach górników, rozumiecie. Już dwóch ludzi skazali na śmierć — obaj kradli żywność. Jednego wygnali z obozu bez uncji żywności i zapalek. Zrobił jakieś czterdzieści mil i męczył się kilka dni, aż wreszcie zmarł na śmierć. Przed dwoma tygodniami złapali na kradzieży drugiego człowieka. Dali mu do wyboru: albo ani odrobiny żywności, albo dziesięć kijów za każdą rację dzienną. Otrzymawszy czterdzieści kijów, uciekł. A teraz złapali was i wszyscy są pewni, że to wy zabiliście Kinade'a.

— Zabójca Kinade'a strzelał też i do mnie. Jego kula drasnęła mnie w łopatkę. Namówcie ich, aby odłożyli rozprawę i żeby ktoś poszedł przeszukać drugi brzeg, gdzie morderca się ukrył.

— Niema sensu, im wystarczają zeznania Hardinga i pięciu Francuzów, którzy mu towarzyszyli. Oprócz tego dotychczas nikogo jeszcze nie powiesili i palą się do tego. Widzicie, żyło się tu dotychczas bardzo monotonnie. Nic nadzwyczajnego nie zrobili a wieczne poszukiwania Jeziora Nie spodzianek sprzykrzyły się im już. Z początkiem zimy wzięli udział w biegu po działy, ale teraz i tego im się nie chce. W dodatku zaczyna się pojawiać skorbut, tak że w tej chwili niewiele już im brakuje, aby wybuchli.

— I jak się zdaje, ja mam być iskrą, która ten wybuch wywoła, — odezwał się na to Kurzawa. — Słuchajcie, Breck, jakże mogliście przystać do tej przeklętej bandy?

— Wyeksploatowawszy dział w Squaw Creek i znalazłszy kilku robotników, dostałem się tu, jadąc brzegiem rzeki Stewarta w poszukiwaniu Dwóch Chat. Uprzedzili mnie, wobec czego udałem się w górę Stewarta. Właśnie wczoraj wróciłem, ponieważ żywność mi wyszła.

— Znaleźliście co?

— Nic nadzwyczajnego. Zdaje mi się jednak, że wpadłem na niezły pomysł hydrauliczny\*), który może dać sporo grosza, jak się kraj zacznie eksploatować. To, albo przepłukiwaczka złota.

— Zaraz, — przerwał Kurzawa — zaczekajcie chwilę. Pozwólcie mi pomyśleć!

Przysłuchując się potężnemu chrapaniu śpiących w chacie ludzi, zastanawiał się nad myślą, która mu przemknęła przez głowę.

— Słuchajcie, Breck, czy oni otworzyli wszystkie pakunki z mięsem, jakie niosły moje psy?

— Kilka, byłem przy tem. Schowali je w skrytce Hardinga.

— Co znaleźli?

— Mięso.

— To dobrze. Poszukajcie paczki, zawiniętej w brązowe płótno żaglowe z łątą z niewyprawionej skóry łosiowej. Znajdziecie tam kilka funtów

\*) Pomysł hydrauliczny — określenie niezbyt trudnego zadania — wśród poszukiwaczy złota termin oznaczający „przemywanie złota”. Przyp. tłum

rodzimego złota. Ani wy, ani wogóle nikt takiego złota w tych stronach nie widział. A teraz będziecie musieli zrobić tak. Słuchajcie. — —

W kwadrans później Breck odszedł zupełnie poinformowany i narzekając na odmrożenie palców u nóg. Kurzawa, który, znajdując się zbyt blisko szpary, odmroził sobie nos i jeden policzek, turlał je pół godziny o koc, dopóki piekący ból powracającej krwi nie przekonał go o zdrowiu i całości jego ciała.

## VI

— Mój pogląd na tę sprawę jest zupełnie jasny. Że to on zabił Kinade'a, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Nie wiemy tylko z jakiego powodu. Wczoraj wieczorem słyszeliśmy całą historję. Poco zaczynać znowu od początku. Ja głosuję—winien.

W taki sposób zaczęła się rozprawa Kurzawy. Mówca, wysoki, chudy, kościsty człowiek z Colorado okazał niezadowolenie a nawet rozdrażnienie, kiedy Harding sprzeciwił się jego żądaniu, zaczął się domagać, aby rozprawa odbyła się zupełnie prawidłowo, i mianował sędzią i przewodniczącym niejakiego Chunk'a Wilson'a. Mieszkańcy Dwóch Chat zorganizowali się w trybunał sędziów przysięgłych z tym tylko wyjątkiem, że Lucy odmówiono prawa głosowania, czy Kurzawa jest winien czy nie winien.

Kiedy się to działo, Kurzawa, siedząc na ławie w kącie izby, usłyszał prowadzoną szeptem rozmowę między Breckiem a jednym z górników.

— Nie macie na sprzedaż nawet tych pięćdziesięciu funtów mąki?—pytał Breck.

— Nie macie dość piasku, by zapłacić tyle, ilebym ja zażądał.

— Dam wam dwieście.

Człowiek potrząsnął przecząco głową.

— Trzysta, trzysta pięćdziesiąt.

Zgodzili się na czterysta. Górnik skinął głową i rzekł:

— Chodźcie do mej chaty odważyć złoto.

Zwolna przecisnęli się przez ciżbę ku drzwiom i wysłiznęli się. Po kilku minutach Breck wrócił sam.

Właśnie Harding składał swe zeznania, kiedy Kurzawa ujrzał, jak drzwi uchylają się zwolna i w otworze pojawiła się twarz górnika, który sprzedał Breckowi mąkę. Człowiek ten robił różne miny i gwałtownie kiwał na kogoś znajdującego się w izbie; ten ktoś, siedzący przy piecu, wstał i zaczął się zwolna przeciskać przez ciżbę ku drzwiom.

— Dokąd, Sam?—zapytał Shunk Wilson.

— Zaraz wrócę — odpowiedział Sam, — muszę wyjść.

Kurzawie pozwolono zadać świadkom parę pytań i właśnie Harding znajdował się w krzyżowym ogniu pytań, kiedy z zewnątrz doleciało skomlenie psów w uprząży oraz zgrzyt i turkot płozów. Ktoś znajdujący się niedaleko drzwi wyrzwał na dwór.

— To Sam i jego spółnik z pełnym psim zapręgiem jadą ku rzece Stewarta — oznajmił człowiek przy drzwiach.

Przez jakie pół minuty panowało milczenie, pod-



czas którego zgromadzeni znacząco spoglądali po sobie; powszechne podniecenie ogarnęło zebranie. Kurzawa, patrząc z pod oka, ujrzał, jak Breck, Lucy i jej mąż coś między sobą szeptali.

— No dalej — odezwał się Shunk Wilson szorstko do Kurzawy.

— Skończcie z temi pytaniami, wiemy, co staracie się udowodnić — mianowicie, że drugiego brzegu nie przeszukano. Świadkowie potwierdzają to, my również temu nie przeczymy. To było zbyt bezużyteczne. Ani jeden ślad nie prowadził na drugi brzeg.

— A jednak mimo wszystko na drugim brzegu ktoś był — obstawał Kurzawa.

— Na tem daleko nie zajedziecie, młody człowieku. Nie jest nas tu zbyt dużo nad Mc Question i z łatwością możemy się policzyć.

— A kogoście to wygnali przed dwoma tygodniami z obozu? — zapytał Kurzawa.

— To był Alonzo Miramar, Meksykanin. Cóż ten złodziej żywności ma z tem wszystkim do czynienia?

— Nic, panie sędzio, wyjąwszy to jedno tylko, że *jego* nie wzięliście w rachubę.

— On poszedł w dół rzeki, nie w górę.

— A skąd wiecie, dokąd poszedł?

— Widziałem, jak stąd wyszedł.

— I to wszystko, co o nim wiecie?

— Wcale nie, młody człowieku, wiem, zresztą my wszyscy wiemy, że miał żywności tylko na cztery dni, a nie miał strzelby, aby coś upolować. Jeśli się nie dostał do jakiejś osady nad Yukonem, z pewnością dawno już odwalił kitę.

— Zdawałoby się, że policzyliście w tym kraju nietylko wszystkich ludzi ale i wszystkie strzelby— zauważył Kurzawa złośliwie.

Shunk Wilson wpadł w gniew.

— A mnie się zdaje, że wy uważacie mnie za oskarżonego, skoro śmiecie zadawać takie pytania. Następny świadek.—Gdzie jest French Louis?

Podczas kiedy French Louis przedzierał się ku przodowi. Lucy otwarła drzwi.

— Dokąd? — krzyknął Shunk Wilson.

— Zdaje mi się, że ja chyba nie mam tu nic do roboty — odpowiedziała Lucy lekceważąco. — Głosować i tak nie mogę a izba jest tak natłoczona, że tchu złapać nie można.

W kilka minut później wyszedł za nią jej mąż.

Odgłos zatrzaśniętych drzwi był dla sędziego pierwszym ostrzeżeniem, że coś się dzieje.

— Kto to był? — zapytał, przerywając opowiadanie Pierre'a.

— Bill Peabody — krzyknął ktoś. — Powiedział, że musi o coś zapytać żony i że zaraz wróci.

Zamiast Billa wróciła Lucy i, zrzućciwszy kożuch, zajęła swoje dawne miejsce przy piecu.

— Mojem zdaniem możemy zrezygnować z przesłuchania pozostałych świadków — zadecydował Shunk Wilson, kiedy Pierre skończył.— Wiemy, że oni mogą tylko potwierdzić wszystko, cośmy dotychczas słyszeli. Słuchajcie, Sorensen, idźcie zaraz i przyprowadźcie tu Billa Peabody. Zaraz poddamy pod głosowanie wyrok. A teraz możecie wstać i powiedzieć, co chcecie, nieznajomy, o tem wszy-

stkiem. Zaś my, korzystając z tego, nie zmarnujemy czasu, lecz równocześnie kolejno obejrzymy sobie obie strzelby, amunicję i kule, które spowodowały śmierć.

W połowie opowiadania, jak się dostał w te strony i właśnie w chwili, kiedy opisywał, jak do niego z zasadzki strzelano i jak się schronił na brzeg, oburzony Shunk Wilson przerwał Kurzawie.

— Młody człowieku, przecież takie zeznania nie mają żadnego sensu, to jest tylko marnowanie drogiego czasu. Prawda, wy macie prawo łgać, aby się wykręcić od stryczka, ale nam ani w głowie słuchać takich głupstw. Strzelba, amunicja, kula, która zabiła Joye Kinade'a—wszystko świadczy przeciw wam. Co to takiego, znowu ktoś wychodzi?

Wdarł się mróz, nabierając kształtów i substancji w ciepłej izbie, podczas gdy z za okien doleciało szybko oddalające się skomlenie psów.

— To Sorensen i Peabody -- wykrzyknął ktoś. — Grzmocą psy z całej siły i lecą w dół rzeki.

— Co do diabła — przerwał Shunk Wilson i z otwartymi ze zdumienia ustami patrzył chwilę na Lucy.

— Mojem zdaniem pani Peabody może nam to chyba wytłumaczyć.

Lucy potrząsnęła przecząco głową i zacisnęła wargi, wobec czego gniewne i nieufne spojrzenie Shunka Wilsona zsunęło się na Brecka i zawisło na nim.

— A mojem zdaniem, ten nowoprzybyły, z któ-

rym się pani zadaje, mógłby nam to wyjaśnić, gdyby chciał.

Breck, zakłopotany, spostrzegł, że wszystkie oczy zwrócone są ku niemu.

— Sam coś z nim szachrował\*) przed odjazdem! — ktoś wykrzyknął.

— Słuchajcie, panie Breck! — mówił w dalszym ciągu Shunk Wilson. — Spowodowaliście przerwę w procesie i teraz musicie się wytłumaczyć. Czego się tu kręcicie?

Breck chrząknął bojaźliwie i odpowiedział:

— Próbowałem tylko, czy nie mógłbym dostać trochę żywności.

— Niby za co?

— Oczywiście za złoty piasek.

— A skądżeście go wzięli?

Breck nie odpowiedział.

— On się włóczył nad górnym biegiem Stewarta — zawołał któryś z mężczyzn. — Zetknąłem się z nim przed tygodniem, kiedy byłem na polowaniu, i muszę wam powiedzieć, że już wtedy wyraźnie krył się z czemś.

— Ten piasek nie jest stamtąd — odezwał się Breck. — Ja rozpatrywałem tam tylko warunki dotyczące pewnego pomysłu hydraulicznego.

— Przynieście tu swoje sakwy i pokażcie swój piasek — rozkazał Wilson.

\*) Szachrował W o yginał: Sam was chewing the rag with him. Do słownie: Sam żuł razem z nim szmatę. Jest to wyrażenie traperskie na kłótnię i pojedynek, a pochodzi z następującego zwyczaju: dwaj pokłóceni traperzy brali w zęby końce jednej i tej samej cnułki i, naciągawszy ją dla utrzymania dystansu, kłuli się nożami. U nas „strzelano się przez chustkę”. Ponieważ targowanie się jest czemś w rodzaju kłótni — stąd to wyrażenie.

— Mówię wam jeszcze raz, że ten piasek nie jest stamtąd.

— Niech będzie, pokażcie go!

Breck udawał, że się wzdraga, jednakże otaczające go twarze były groźne. Wobec tego ociągając się, zaczął szukać w kieszeni swego kaftana. Kiedy z niej wyciągał blaszaną puszkę na pieprz, zawadził o coś, co było widocznie twardym przedmiotem.

— Wyjmijcie wszystko! — huknął Shunk Wilson.

A wtenczas wychynał na światło dzienne jeden złoty kamuszek pierwszej klasy, żółty, złoto jakiego nikt jeszcze nie widział. Shunk Wilson otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Jakich sześciu sędziów przysięgłych, rzuciwszy okiem na te skarby, skierowało się ku drzwiom. Stanąwszy w nich równocześnie, klnąc i potracając się, wysypali się za drzwi. Sędzia wytrząsnął zawartość puszki na pieprz na stół a na widok kańciastych brył rodzimego złota, znowu kilkunastu ludzi kropnęło się ku drzwiom.

— Dokąd? — zapytał Eli Harding, kiedy Shung poskoczył za nimi.

— Rozumie się — po psy.

— Więc nie powiesicie go?

— Niema teraz na to czasu. Może poczekać, aż wrócimy. I mojem zdaniem posiedzenie należy odroczyć. Nie czas na marudzenie.

Harding zawahał się. Rzucił wściekle spojrzenie na Kurzawę, zauważywszy jednak równocześnie Pierre'a, kiwającego od drzwi na Louis'a, popatrzył



jeszcze raz na złoto, leżące na stole i powziął postanowienie.

— Ucieczka na nic się nie zda! — rzucił Kurzawie przez ramię. — Zwłaszcza, że ja pożyczę sobie od was psy.

— A cóż to znów takiego? Może znowu jedna z tych przeklętych gonitw — zapytał stary trapper kłótliwym i skarżącym się falsetem, gdy krzyki mężczyzn i skomlenie psów zmąciły ciszę izby.

— Rozumie się — odpowiedziała Lucy. — W życiu mojem nie widziałam takiego złota. Pomacajcie, dziadku!

Starzec wziął do ręki wielką bryłę.

Wcale mu nie zaimponowała.

— Kiedyś, zanim ci opętani górnicy tu przyszli i zaczęli płoszyć zwierzynę — skarżył się, — to był kraj, w którym można było dużo futer upolować.

Drzwi otwarły się naraz i do izby wszedł Breck.

— Doskonale! — rzekł. — Nas czworo, oto wszystko, co zostało w obozie. Mojami śladami zajadą w górę Stewarta na czterdzieści mil, a przy największym pośpiechu nie będą mogli wrócić z tej okrężnej wycieczki prędzej jak za pięć do sześciu dni. Mimo wszystko, Kurzawa, najwyższy czas żebyście ruszyli w drogę.

Breck przyłożył swój nóż myśliwski do jego więzów.

— Przypuszczam, że pani nie będzie miała nic przeciwko temu — rzekł ze znaczącą grzecznością.

— Jeśli tu ma się odbywać znowu jakaś strze-

lanina, to chciałbym, żeby mnie kto naprzód odprowadził do innej chałupy.

— Róbcie swoje i nie krępujcie się mną — odpowiedziała Lucy. — Jeśli nie zasługuję na to, aby móc głosować za powieszeniem człowieka, nie mam prawa go zatrzymywać.

Kurzawa wstał, rozcierając przeguby w miejscach, w których więzy zatamowały obieg krwi.

— Wszystko dla was przygotowałem — mówił Breck, — żywność na dziesięć dni, koce, zapalki, tytoń, siekierę i karabin.

— Idźcie — dodawała mu odwagi Lucy — Schrońcie się w górach, nieznajomy człowieku, i niech was Bóg prowadzi.

— Zanim odjadę, chciałbym się porządnie najieść — odpowiedział Kurzawa — a kiedy stąd wyruszę, wiedzcie, że pojadę w górę rzeki Mc Question a nie w dół. I chciałbym, Breck, żebyście pojechali razem ze mną. Musimy na drugim brzegu rzeki odszukać tego człowieka, który naprawdę dopuścił się morderstwa.

— A ja wam mówię, posłuchajcie lepiej mojej rady i sypcie z biegiem Stewarta ku Yukonowi — zaproponował Breck. — Kiedy ta banda wróci z pustymi rękami, będzie wściekła.

Kurzawa roześmiał się.

— Breck, ja nie mogę teraz opuścić tych stron, znalazłem tu parę interesów. Muszę się tu na jakiś czas osiedlić i pracować. Wszystko mi jedno, uwierzycie czy nie, ja faktycznie znalazłem jezioro Niespodzianek. Stamtąd właśnie jest to złoto.

A oprócz tego zabrakł mi moje psy, muszę zaczekać, aż mi je oddadzą. Wiem, co robię. Ktoś się stanowczo na drugim brzegu rzeki ukrywał, prawie cały magazyn do mnie wystrzelał.

Kiedy w pół godziny później siedział za wielkim talerzem, na którym leżał „steak” łosiowy i właśnie, podnosił do ust wielki kub kawy, nagle zerwał się z krzesła. Pierwszy usłyszał brzęk dzwonek. Lucy otworzyła naöścież drzwi.

— Hello, Spike, hello, Methody! — witała dwóch okrytych szronem mężczyzn, pochylonych nad jakimś brzemieniem, leżącym na sankach.

— Wracamy prosto z Górnego Obozu — rzekł jeden z nich, kiedy wtoczyli się do izby z jakimś owiniętym w kozuch przedmiotem, który dźwigali z niezwykłą ostrożnością. — A oto cośmy po drodze znaleźli.

— Zanieście go tu, do tej komórki — wskazała Lucy.

Pochyliwszy się, odgarnęła kozuch, z którego wynurzyła się twarz, składająca się głównie z wielkich wytrzeszczonych, czarnych oczu i skóry ciemnej, zżartej bezustannemi ukąszeniami mrozu, ściśle przylegającemi do kości.

— Przecież to Alonzo! — wykrzyknęła. — Biedny, zagłodzony warjacie.

— Oto człowiek z drugiego brzegu rzeki — mruknął Kurzawa do Brecka.

— Znaleźliśmy go plondrującego schowek, \*) który prawdopodobnie zrobił sobie Harding—tłumaczył jeden z nowoprzybyłych.—Żarł surową mąkę i zamrznąłą wędzonkę. Jakeśmy go złapali, krzyczał i pisał jak jastrząb. Spójrzycie tylko na niego. Jest zagłodzony i napółzmarznięty. Kipnie lada chwila.

. . . . .

W pół godziny później, kiedy naciągnięto kożuch na nieruchomy kształt w komórcie, Kurzawa zwrócił się do Lucy.

— Pani Peabody! Gdyby pani nie wzięła mi tego za złe, z gustem wsunąłbym jeszcze jeden taki „steak”. Tylko proszę jeśli łaska, żeby był grubszy i nie tak wysmażony.

---

\*) Schowek. Traperze i poszukiwacze złota, robiący długie podróże po kraju, robia sobie w różnych stronach schowki lub skrytki, w których przechowują zapasy żywności, narzędzia, amunicję i nawet broń zapasową na wypadek, gdyby im czegoś w drodze zabrakło. Śpiżarnia, wykopana w ziemi. — Przyp. tłum.

## GONITWA O NUMER PIERWSZY

### I

— Ha! Wkładajże te pyszne łachmany!

Krótki przyglądał się swemu współnikowi z udaną niechęcią, zaś poirytowany Kurzawa napróżno wyglądał fałdy na spodniach, jakie właśnie był włożył.

— Jak na ubranie kupione z drugiej ręki—mówił dalej Krótki—leży dobrze. Co zapłaciłeś?

— Sto pięćdziesiąt — odpowiedział Kurzawa — Ten człowiek był prawie mego wzrostu. Myślałem, że robię dobry interes. Czego tak łazisz dokoła mnie?

— Kto? Ja? Ani mi w głowie. Myślałem tylko o pewnym pożeraczu mięsa, który przyjechał do Dawsonu na krze lodowej, bez żywności, w jedynym komplecie bielizny, w parze podartych kierzów i w ubraniu, które wyglądało, jak gdyby przeszło rozbicie się „*Hesperusa*”. Byczo wyglądasz, luby współniku, byczo!

— Coż jeszcze? — zapytał cierpliwie Kurzawa.

— Jak jej na imię? —

— Tu niema żadnej „jej”, mój kochany! Jeśli



ciekawym, to dowiedz się, że jestem zaproszony na obiad do pułkownika Bowie. Cały kłopot w tem, mój Krótki, że mi zazdrościsz, że ja będę dziś w wytwornym towarzystwie, a ciebie nie zaproszono.

— Nie spóźnisz się?—zapytał ironicznie Krótki.

— Cóż to znaczy?

— Pytam, czy się nie spóźnisz na obiad? Zda-  
je mi się, że jak tam przyjdiesz, będą już sie-  
dzieli przy stole.

Kurzawa ze sztucznym sarkazmem zaczął mu coś tłumaczyć, kiedy naraz zauważył ironiczny błysk w jego oczach. Wobec tego ubierał się dalej, zgra-  
białymi palcami z trudnością zawiązując krawatę na kołnierzu miękkiej, wełnianej koszuli.

— Żałuję bardzo, że właśnie niedawno temu po-  
słałem do pralni wszystkie swoje koszule z twar-  
dym gorsem — mruknął Krótki z współczuciem —  
Chętniebym ci służył.

A tymczasem Kurzawa mocował się z parą  
trzewików. Wełniane zimowe skarpetki były tak  
grube, że nie mógł trzewików włożyć. Spojrzał  
błagalnie na Krótkiego, ten jednak potrząsnął prze-  
czając głową.

— Nic z tego, nawet gdybym miał cienkie skar-  
petki, nie pożyczylbym ci. Wracaj do kierpców,  
wspólniku. Odmrożisz sobie palce nóg w takim  
lekkim obuwiu.

— A kupiłem je z drugiej ręki za piętnaście  
dolarów.

— Zdaje mi się, że tam wszyscy będą w kierpcach.

— Ależ tam będą także panie, Krótki. Będę musiał się i jeść razem z prawdziwemi, żywemi paniami — z panią Bowie i jakimiś innemi jeszcze. Sam pułkownik mi powiedział.

— Wielkie rzeczy, kierpce apetytu im nie odbiorą — twierdził Krótki — Ciekawy jestem, czego pułkownik od ciebie chce?

— Nie wiem. Musiał może coś słyszeć o tem, że odnalazłem jezioro Niespodzianek. Spuścić je — to fortuna. A Guggenheimowie chcą dać pieniądze na koszt.

— Mojem zdaniem o to idzie. Zupełnie słusznie, bierz kierpce. Słuchaj, to ubranie jest trochę zmięte i odrobinę za ciasne na ciebie. Nie obżeraj się zanadto. Jak zaczniesz jeść, z pewnością trzaśnie. Jakby która z tych bab puściła chusteczkę, zostaw, niech leży. Nie schylaj się. Wogóle zapamiętaj sobie, cokolwiekbyś chciał robić — nie rób tego.

## II

Jak przystało na doskonale opłacanego eksperta i przedstawiciela wielkiej firmy Guggenheimów, pułkownik Bowie mieszkał w jednym z najwspanialszych domów Dawsonu. Dom ten zbudowany z ręcznie ciosanych belek był tak ogromny, że znajdował się w nim wielki salon, który naprawdę służył tylko do przyjmowania gości i do niczego więcej.

Na podłodze z nieheblowanych desek leżały skóry niedźwiedzie, a ściany ozdobione były rogami łosi i renów. Tu huczał ogień na kominie

i w wielkim piecu, opalanym drzewem. I tu znalazł Kurzawa śmietankę Dawsonu—nie tylko wykwit milionerów, ale sam kwiat górniczego miasta, którego ludność rekrutowała się ze wszystkich stron świata, — ludzi jak Warburton Jones, słynny podróżnik i pisarz, Consadine, kapitan konnej policji, Haskell, komisarz kopalni złota Zachodnio-Północnego Terytorjum, wreszcie baron von Schroeder, ulubieniec cesarza, międzynarodowej sławy pojedyńkowicz.

I tu właśnie znalazł czarującą w wieczorowej sukni Joy Gastell, którą swego czasu spotykał tylko na szlaku w kozuchu i w kierpcach. Tak się jakoś złożyło, że przy stole siedział obok niej.

— Czuję się, jak ryba na piasku — zwierzał się jej.—Widzi pani, wszyscy ci ludzie są naprawdę tak wspaniali! Ja wogóle nie przypuszczałem nigdy, żeby w Klondike mógł istnieć taki wschodni przepych. Niech pani spojrzy na von Schroedera, przecie on ma prawdziwy żakiet. A Consadine ma nawet nakrochmaloną koszulę z twardym gorsem. Chociaż swoją drogą wszyscy są w kierpcach. A jak się pani podoba mój ryszunek?

Podał naprzód pierś, jak gdyby czekał pochwały ze strony Joy.

— Czy aby pan trochę nie przytył od czasu jakśmy się widzieli na przełęczu — zaśmiała się.

— Nie, niech pani zgaduje dalej.

— Nie na pana robione ubranie?

— Teraz pani zgadła. Kupiłem je od jednego z urzędników A. C. Company.

— Doprawdy wstyd, te pisarzyki są warte w ra-

mionach — rzekła z współczuciem — Ale pan nie mówi, co pan myśli o *moim* rynsztunku?

— Nie mogę — odpowiedział. — Mowę mi odjęło. Za długo już żyję na szlaku. Wie pani, te rzeczy poprostu wstrząsają mną. Zupełnie zapomniałem, że kobiety mają ramiona i plecy. Jak się jutro rano obudzę, powiem sobie za przykładem mego przyjaciela Krótkiego, że wszystko to było snem. A swoją drogą, kiedy panią widziałem ostatni raz w Squaw Creek —

— Nie byłam niczem innem jak tylko „squaw”.

— Nie to chciałem powiedzieć. Przypominam sobie, że w Squaw Creek odkryłem, że pani ma także i nogi.

— A ja nigdy nie zapomnę, że pan mi je uratował — odpowiedziała — tyle razy pragnęłam panu podziękować — (on wzruszył lekceważąco ramionami). I oto właśnie dzięki temu znajduje się pan tu dzisiaj.

— To pani kazała pułkownikowi mnie tu zaprosić?

— Nie, pani Bowie. Ja prosiłam ją tylko, żeby pana przy mnie posadzono. A teraz kolej na mnie. Wszyscy zajęci są rozmową. Proszę słuchać i nie przerywać. Pan zna Mono Creek?

— Znam.

— Odkryto w niem bogactwa, straszne bogactwa, oceniają każdy dział na przeszło milion dolarów. Działy wytyczono niedawno.

— Pamiętam ten bieg.

— Otóż sałe łożysko rzeki i depływów aż po ho-

ryzont, wytyczono. Jeden tylko dział w głównem łożysku numer trzeci poniżej działu Odkrycia nie należy do nikogo. Jar znajduje się tak daleko od Dawsonu, że komisarz ustanowił sześćdziesięciodniowy termin zgłoszenia się po naznaczeniu działu. Zgłoszono wszystkie działy, wyjawszy numer trzeci. Dział ten wytyczył Cyrus Johnson. Więcej nie wiadomo. Ale ten Cyrus Johnson zniknął. Nikt nie wie, czy umarł, czy powędrował w dół rzeki czy w górę. Dość na tem, że za sześć dni termin zgłoszenia upłynie. Wtenczas dział dostanie ten, kto go naznaczy i pierwszy przybędzie do Dawsonu, aby go zgłosić.

— Miljon dolarów — mruknął Kurzawa.

— Gilchrist, który ma poniżej dział sąsiedni, z jednej jedynej miski żwiru rzecznoego wydobył złota za sześćset dolarów. Wykopał poprostu dół, a dział po drugiej stronie jest nawet bogatszy. Wiem napewno.—

— Ale dlaczego nikt o tem nie wie — zapytał Kurzawa sceptycznie.

— Zaczynają wiedzieć. Długi czas trzymano to w tajemnicy, dopiero teraz rzecz wychodzi na jaw. Za jaką dobę dobre psie zaprzęgi będą miały wielką cenę. Teraz niech mnie pan słucha: zaraz po obiedzie wymknie się pan zupełnie przyzwoicie, nie zwracając niczyjej uwagi. Ja się już o to postarałam. Przyjdzie Indjanin i przyniesie panu list, pan go przeczyta i uda pan, że pan jest bardzo zaambarasowany, przeprosi pan towarzystwo i pojedzie pan sobie.



— No—a tego, jeśli nie usłucham?

— Ani mowy—podkreśliła dobitnym szeptem.—  
Dziś w nocy musi pan nagromadzić jak największą ilość psich zaprzęgów. O dwóch wiem. Jeden zaprząg ma Hanson, siedem wielkich psów z nad zatoki Hudsona — za każdego psa żąda czterysta dolarów. To najwyższa cena dziś, ale jutro będzie znacznie wyższa. Prócz tego Sitka Charley ma osiem malemutów po trzysta pięćdziesiąt od sztuki. Jutro będzie się śmiał, jak mu będą dawali pięć tysięcy. Pan także ma swój własny zaprząg. Trzeba będzie postarać się jeszcze o kilka innych. Niech pan wybiera jak najlepsze. Ten wyścig wygrają równie dobrze psy jak i ludzie. Przez te sto dziesięć mil będzie pan musiał zmieniać psy tak często, jak tylko pan będzie mógł.

— O, jak widzę, pani mnie w to koniecznie chce wpakować — zauważył Kurzawa.

— Jeśli pan nie ma pieniędzy na kupno psów, ja—  
Zająknęła się i zanim mogła mówić dalej, odezwał się Kurzawa.

— Mam pieniądze na kupno psów. Ale — e — e — e, czy pani nie obawia się, że to hazard?

— Po pańskim zwycięstwie nad ruletą pod Jelenim Rogiem nie obawiam się, aby pan się obawiał. Jest to poprostu sport, jeśli panu o to idzie. Zupełnie w pańskim duchu. Jest to wyścig o miljon, a będzie pan miał do czynienia z najwytrawniejszymi poganiaczami psów i podróżnikami z całego kraju. Oni się jeszcze nie zgłosili, ale jutro o tym czasie wystąpią, a wówczas ceny psów tak pójdą

wgóre, że tylko najbogatsi ludzie będą mogli je kupić. Wielki Olaf już jest tu. Wrócił przed miesiącem z Circle City; jest to najzręczniejszy pogańczyk psów w całym kraju, i jeśli on weźmie udział w gonitwie, znajdzie pan w nim najniebezpieczniejszego przeciwnika. Drugi taki jest Arizona Bill. Przez długie lata był zawodowym pocztyljonem. Jeśli on weźmie udział w wyścigu, powszechna uwaga skupi się na nim i na Wielkim Olafie.

— Krótko mówiąc, pani chce puścić mnie na ten wyścig jak jakiego *fuksa*.

— Właśnie. A to będzie miało swe dobre strony, nikt nie będzie pana brał poważnie w rachubę. Ostatecznie sam pan rozumie, że uważa się pana wciąż jeszcze za *chechaquo*. Nie widział pan tu jeszcze czterech pór roku. Nikt się panem nie będzie zajmował, dopóki pan nie wróci, lecąc pierwszy do mety.

— Zatem to w tej powrotnej drodze *fuks* ma się pokazać w swej klasycznej formie — nieprawdaż?

Skinęła głową i mówiła w dalszym ciągu poważnie.

— Niech pan sobie zapamięta: jeśli pan nie zdoła będzie tego działu w Mono, nigdy nie przebaczę sobie, że pana wzięła na kawał w biegu do Squaw Creek. A jeśli kto może wygrać w tym wyścigu z dawniej osiadłymi kolonistami, to tylko pan.

Powiedziała to w taki sposób, że krew mu uderzyła do serca i do głowy. Rzucił na nią szybkie, badawcze spojrzenie, niespodziewane a poważne, i kiedy oczy jej uporczywie patrzyły mu w twarz,

zdawało mu się, że wyczytał w nich coś znacznie ważniejszego od zapomnianego działu Cyrusa Johnsa; oczy te po chwili przykryły się powiekami.

— Zrobię to, — rzekł — i wygram.

Jasny błysk w jej oczach zdawał się obiecywać znacznie więcej niż wszystko złoto w dziale Mono. W następnej chwili zauważył niedaleko siebie ruch jej ręki. Wyciągnął do niej dłoń pod obrusem i złął ją z dłonią dziewczęcia w uścisku, który nową falę krwi gorącej rzucił ku jego sercu.

— Co Krótki na to powie? — przemknęła mu przez głowę zabawna myśl, kiedy cofał rękę. Niemal podejrzliwie spojrzał na von Schroedera i Jones'a, zastanawiając się nad tem, czy przypadkiem któremu z nich nie wpadł już w oko nadzwyczajny urok i oryginalność siedzącej przy nim młodej osoby.

Głos jej zbudził go naraz. Domyślił się, że ona mówi już od dłuższego czasu.

— Więc, jak pan z tego widzi, Arizona Bill jest białym Indjaninem, a Wielki Olaf to poskramiacz niedźwiedzi, król śniegów, potężny dzikus. Żaden Indjanin nie wyprzedzi go i nie potrafi znieść tyle co on. Wielki Olaf nie zna innego życia, prócz życia w pustyni na mrozie.

— O kim pani mówi? — zapytał kapitan Consadine przez stół.

— O Wielkim Olafie — odpowiedziała — opowiadałam właśnie panu Bellew jaki z niego niezrównany podróżnik.

— Ma pani słusność — zahuczał głos kapitana.

— Wielki Olaf jest największym podróżnikiem nad Yukonem. Co się tyczy podróżowania po śniegu i po lodzie, to postawiłbym na niego nawet przeciw Staremu Nickowi. W 1895 roku dostarczył mi depesze rządowe mimo, że dwóch kurjerów zmarzło na śmierć na Chilcoocie, a trzeci utonął niedaleko Trzydziestej mili.

### III

Kurzawa z wolna posuwał się w górę ku Mono Creek, nie chcąc męczyć swoich psów przed wielką gonitwą. Równocześnie zaznajamiał się z każdą milą szlaku i rozstawiał zaprzęgi swych psów. Do wyścigu stanęło takie mnóstwo ludzi, że sto dziesięć mil przestrzeni zmieniły się niemal w jedną wielką wieś. Wszędzie wzdłuż szlaku widziało się rozstawione psie zaprzęgi. Von Schroeder, który postanowił wziąć udział w gonitwie tylko dla sportu, miał nie mniej jak jedenaście zaprzęgów — co dziesięć mil jeden świeży zaprząg. Arizona Bill musiał poprzestać na ośmiu zaprzęgach. Wielki Olaf miał siedem zaprzęgów, właśnie tyle co Kurzawa. Poza tem w gonitwie postanowiło wziąć udział przeszło czterdziestu ludzi. Nawet na złotej Północy niezawsze milion dolarów jest nagrodą za psie wyścigi. Cała okolica była ogołocona z psów. Ani jedno szybkonogie lub wytrwalsze zwierzę nie uniknęło gęstego grzebienia, który wyczesał wszystkie jary i obozy, a skutkiem szalonej spekulacji ceny na psy podwoiły się i podniosły w czwórnasób.

Numer trzeci poniżej działu odkrycia znajdował się w odległości dziesięciu mil od ujścia rzeki Mono. Sto następnych mil musiało się przebyć po zamrożniętym łonie Yukonu. Na Numerze Trzecim stało około pięćdziesięciu namiotów, wśród których szukało około trzystu psów. Stare żerdki z chorągiewkami i nabazgranemi przed sześćdziesięciu dniami przez Cyrusa Johnsona napisami stały wciąż jeszcze a wszyscy poszukiwacze złota wędrowali wciąż od jednego kresu działu do drugiego, ponieważ psie wyścigi miał poprzedzić wyścig pieszy z przeszkodami. Każdy powinien był zaznaczyć dział dla siebie to znaczy, że miał zatknąć dwie żerdki w centrum i cztery żerdki narożne, czyli, że musiał dwa razy przejść przez jar, zanim wolnoby mu było puścić się psami do Dawsonu.

Oprócz tego nikt tu nie miał żadnych „forów”. Do godziny dwunastej w nocy z piątku na sobotę dział był niedostępny i dopiero z uderzeniem godziny dwunastej można było zatknąć w nim swoją żerdkę. Tak postanowił komisarz kopalń złota w Dawsonie a kapitan Consadine wysłał oddział policji konnej w celu dopilnowania tego rozkazu. Powstał spór co do czasu słonecznego i policyjnego, ale Consadine zawiadomił współzawodników, że mają się stosować do czasu policyjnego, a zwłaszcza do zegarka porucznika Pollock’a.

Szlak, wiodący do Mono, biegł wzdłuż niskiego łożyska rzeki, a szeroki wszystkiego na dwie stopy, podobny był raczej do rowu, biegnącego między dwoma wałami śniegu nagromadzonego od miesięcy.



Każdy przemyślał nad zagadnieniem, w jaki sposób będzie mogło przejechać tak ciasną drogą czterdzieści sanek i trzysta psów.

— Ha! — rzekł Krótki — robi się tu taka galareta, jakiej na świecie nie widziano. Nie widzę innego sposobu, Kurzawa, prócz siły, potu i jazdy naprzód za wszelką cenę. Gdyby cała rzeczka była jedną ślizgawką, nie zmieściłoby się tu obok siebie więcej sanek jak dwanaście. Już teraz widzę, że zanim ruszycie w drogę, przyjdzie do bójki. Jeśli ci kto wlezie w drogę, zostaw go mnie.

Kurzawa wyprostował się i zaśmiał się sucho.

— No, no, ja się na to nie zgadzam! — wykrzyknął jego współnik ze strachem. — Wszystko jedno co będzie, ale tobie bić się nie wolno. Z rozbitymi kostkami u rąk nie możesz kierować psami przez sto mil, a to cię niewątpliwie oczekuje, jeśli wleziesz komu w szczękę.

Kurzawa skinął głową.

— Masz słuszność, Krótki, mnie w tym wypadku ryzykować nie wolno.

— I zapamiętaj sobie — mówił dalej Krótki, — że przez pierwsze dziesięć mil główna rola należy do mnie, a ty masz lecieć naprzód, jak możesz najprędzej. Ja cię przerzucę przez Yukon. Potem wszystko zależy od ciebie i od psów. Słuchaj — wiesz jaki plan ma Schroeder? Umieścił swój pierwszy zaprząg w odległości ćwierci mili od jaru, aby móc go dojrzeć, kazał wywiesić zieloną latarnię. Wykiwamy go, ja jestem zawsze za kolorem czerwonym.

Dzień był jasny i zimny, ale na twarzy nieba zbierały się chmury a noc zapadła ciepła, brzemienna śniegiem. Termometr wskazywał piętnaście poniżej zera, a piętnaście stopni poniżej zera w zimowej temperaturze Klondike uważa się za bardzo ciepłą temperaturę.

Na kilka minut przed dwunastą Kurzawa, pozostawiwszy Krótkiego z psami w odległości pięciuset sąni w głębi jaru, przyłączył się do tych, którzy mieli wziąć udział w wyścigu o Numer Trzeci. Czterdziestu pięciu stało ich tu, czekając na znak rozpoczęcia gonitwy o tysiąc tysięcy dolarów, jakie Burns Johnson pozostawił w zmarzniętym żwirze. Każdy z nich zbrojny był w sześć żerde i ciężki drewniany młot, a wszyscy ubrani byli w *parki* podobne do kobiecych koszul z grubej włóczki.

Zakutany w niedźwiedzie porucznik Pollock patrzył na zegarek przy świetle ogniska. Brakowało minuty do północy.

— Bacność! — zawołał, podnosząc w górę rewolwer i śledząc wzrokiem bieg skazówki pokazującej sekundy.

Czterdzieści pięć kapturów spadło wtył na *parki*. Z czterdziestu pięciu par rąk zsunęły się rękawice i czterdzieści pięć par kierpców wparło się mocno w ubity śnieg. Równocześnie wbito w śnieg czterdzieści pięć żerde i tyleż młotów wzniosło się w powietrze.

Padł strzał i natychmiast opadły młoty. Cyrusa

Johnsona prawo do miliona wygasło. Aby zapobiec zamieszaniu rozporządzono, że naprzód ma się wbić dolną żerdkę centralną, a potem południową wschodnią i tak dokoła na wszystkich czterech stronach działu, włączając w to po drodze górną żerdkę centralną.

Kurzawa wbił swą żerdkę i biegł dalej z pierwszym tuzinem współzawodników. Na rogach działu płonęły ogniska, a przy każdym stał policjant, trzymając w ręku listę, z której wykreślał nazwiska tych, co go mijali. Każdy z współzawodników musiał mu w biegu podać nazwisko i pokazać twarz. Nie można było kazać wbijać żerdki zastępcy a samemu tymczasem gonić do jaru i ruszać w drogę na psach. W pierwszym rogu działu, koło żerdki Kurzawy, wbił swoją von Schroeder. Młoty ich stuknęły równocześnie. Kiedy wbijali żerdki, przybiegli za nimi inni i wpadli na siebie z taką gwałtownością, że zaczęli się szturchać i popychać. Przebiwszy się przez tłum i krzyknawszy swe nazwisko policjantowi, Kurzawa ujrzał, jak baron, starłszy się z jednym z nadbiegających, runął w śnieg. Ale Kurzawa nie czekał na niego. Przed nim wciąż jeszcze znajdowali się drudzy. Był pewny, że w świetle ognisk zamajaczyła przed nim barczysta wysoka postać Wielkiego Olafa. I istotnie w południowo zachodnim rogu działu Kurzawa wbił swą żerdkę tuż obok żerdki Wielkiego Olafa.

Ten wstępny bieg z przeszkodami nie był bynajmniej łatwy. Obwód działu był długi niemal na milę a biegł przeważnie nierówną, przysypaną śnie-

giem kamienistą płaszczyzną. Ludzie biegnący koło Kurzawy potykali się i przewracali, a on sam biegł chwilami na czworakach. W pewnej chwili Wielki Olaf, który biegł tuż przed nim, runął na ziemię tak, że mało go z nóg nie zwałił.

Górną żerdkę centralną wbijało się na samym skraju brzegu, poczem trzeba było biec nadół wzdłuż brzegu, przez zamarzną rzekę i znowu w górę, brzegiem rzeki. Tu, kiedy Kurzawa piał się na brzeg, ktoś złapał go za nogę w kostce i ściągnął nadół. W migotliwym świetle odległego ogniska nie można było dostrzec, kto pozwolił sobie na taki „trick”. Ale Arizona Bill, którego to samo spotkało, zerwał się i wsadził swój kułak w twarz napastnika z taką siłą, że aż chlupnęło. Kurzawa, starając się stanąć na nogach, widział to i słyszał, zanim jednak mógł znowu poskoczyć ku brzegowi, czyjaś pięść zwała go napólogłuszonego w śnieg. Zerwał się, złapał tego człowieka i już chciał go huknąć w szczękę, gdy wtem przypomniał sobie przestrogę Krótkiego i pohamował się. W następnej chwili czyjeś padające ciało poderwało mu nogi tak, że znowu się przewrócił.

Był to przedsmak tego, co będzie, kiedy ścigający się dopadną sań. Ludzie sypali się ku drugiemu brzegowi i stosy ich piętrzyły się w krze. Celemi gromadami darli się na brzeg, z którego kupami ściągały ich ręce zawistnych współzawodników. Ciosy mnożyły się, z piersi tych, którzy nie stracili jeszcze tchu, wyrывały się przekleństwa, a Kurzawa, któremu naraz ni stąd ni zowąd stanęła

w oczach wzięła twarzy Joy Gastell, prosił Boga, aby w ruch nie poszły młoty. Przewrócony, deptany, szukając poomacku w śniegu pogubionych żerdeł, wyczołgał się wreszcie z tej gmatwaniny i poskoczył ku brzegowi trochę dalej. Na tę samą myśl wpadli i inni i, na jego szczęście, już wielu współzawodników spieszyło ku północno-zachodniemu rogowi działu.

Schodząc wdół ku czwartemu rogowi w samym środku drogi, rozciągnął się jak długi i zgubił swą ostatnią żerdkę. Pięć minut upłynęło na szukaniu jej poomacku w ciemnościach, zanim ją znalazł a przez cały ten czas mijali go ludzie zdyszani od szybkiego biegu. Biegąc od ostatniego rogu działu ku rzece, zaczął przeganiać ludzi, których ten miłowy bieg pozbawił sił. W samym jarze rozpętało się piekło. Zwalilo się tam na stos kilkanaście przewróconych sań, a około stu gryzących się psów poplątało się z sobą. Ludzie przebijali się przez ten chaos, odrywając od siebie powikłane w uprzęży psy lub też spędzając je z drogi uderzeniami pałek. Kurzawa, widząc to wszystko w płynnym świetle, zauważył, że możnaby to porównać tylko z groteskami Doré'go. Zsunawszy się z brzegu przed zapchanem wejściem do jaru, stanął na szlaku wyjeżdżonym przez sanki i skoczył żywiej naprzód. Tu na ubitych przystankach wzdłuż szlaku czekali z saniami ludzie na współzawodników, znajdujących się jeszcze wtyle. Za nim dało się słyszeć skomlenie i bieg psów, taki że Kurzawa ledwo miał czas usunąć się i skoczyć w głęboki śnieg. Przemknęły koło



niego sanki, na których dostrzegł człowieka klęczącego i wrzeszczącego jak szalony. Zaledwo go wyminął, kiedy nagle sanie zatrzymały się ze zgiełkiem walki. Podniecone psy niedaleko czekającego zaprzęgu, wściekle na mijające je zwierzęta, wyrwały się i rzuciły na nie.

Kurzawa wyminął psy i poszedł dalej. Widział już zieloną latarnię von Schroedera i tuż przy niej czerwone światło w miejscu, gdzie miał się znajdować jego zaprząg. Dwóch ludzi pilnowało psów Schroedera, odgrodziwszy je krótkimi pałkami od szlaku.

— Kurzawa! chodźże już raz, Kurzawa, chodźże już raz — usłyszał niecierpliwe wołanie Krótkiego.

— Już idę — huknął Kurzawa, dysząc ciężko.

W czerwonym blasku latarni zauważył, że śnieg w tym miejscu był zryty i zdeptany, a z szybkiego oddechu swego współnika wywnioskował, że tu stoczono bitwę. Potoczył się ku saniom, a jak tylko padł na nie, Krótki strzelił z bicia, krzyknąwszy z całych sił:

— Marsz! djabły, marsz! —

Psy szarpnęły szleje i sanie nagle skoczyły naprzód. Były to duże zwierzęta — składający się z psów zatoki Hudsona zaprząg, za który Hanson wziął nagrodę — Kurzawa zaś wybrał je na pierwszą część drogi, obejmującą dziesięć ciężkich mil z Mono przez płaszczyznę u ujścia rzeki i dziesięć pierwszych mil Yukonu.

— Ilu jest przede mną? — zapytał

— Stul pysk i oszczędzaj oddech — odpowiedział Krótki. — Hej, ścierwa, naprzód, naprzód!

Biegi za sankami, trzymając się krótkiego sznurka. Kurzawa nie widział go; nie widział nawet snów, na których leżał wyciągnięty jak długi. Ogniska dawno zostały za nimi, a teraz rwali przez wał ciemności z całym impetem, z jakim psy mogły się weń wbić, Ciemności te były tak gęste, iż zdawało się, że są lepkie.

Zataczając niewidzialną krzywiznę, Kurzawa uczuł, że wymija swego współzawodnika, i z przodu doleciało go warczenie zwierząt i klątwy ludzi. Miejsce to zasłynęło później pod nazwą Marmelady Barnes'a i Slocum'a. Zaprzęgi tych dwóch ludzi były pierwsze, które wpadły na siebie, a na nie wjechało z całym pędem siedem bojowych psów Kurzawy. Nic dziwnego, że te ledwo napół oswojone wilki uległy podnieceniu, które tej nocy doprowadzało w Mono Creek do szału każdego bojowego psa. Psów Klondyke, do których kierowania nie używa się lejc, nie można zatrzymać inaczej jak tylko głosem, tak że tu nie było sposobu na poskromienie zapалу bojowego, który nagle rozgorzał wśród ciasnych ścian wąwozu. A przez cały ten czas ztyłu wpadały w wir tej walki sanie jedne za drugimi. Tych, którzy swe zaprzęgi zdolali niemal już z boju wyciągnąć, zasypywały nowe lawiny psów — a każde bydlę było dobrze wykarzione, wypoczęte i zdolne do boju.

— Tu trzeba pracować, bić i walić naprzebój — ryknął Krótki do ucha swemu spółnikowi. — Ale ty uważaj na kostki u rąk. Syp naprzód a pyskobicie zostaw mnie.

Tego co się działo przez następne pół godziny Kurzawa nie mógł sobie nigdy dokładnie przypomnieć. Wkońcu wyrwał się z tej gęstwy wy-czerpany, z łkaniem starając się odzyskać oddech, ze szczęką obolałą od potężnego uderzenia, z barkami, które przenikał ból od uderzenia pałą, z ciepłym strumieniem krwi, ściekającym mu po nodze wskutek ugryzienia jednego z psów i z obu rękawami *parki* poszarpanymi w strzępy. Podczas gdy walka wciąż jeszcze wrzała za nimi, jakby we śnie pomagał Krótkiemu poprawić uprząż na psach. Jednemu psu, który już zdychał, trzeba było poprzecinać uprząż; podartą uprząż powiązali w ciemnościach w jakiś niewytłumaczony sposób.

— A teraz kładź się i nabierz znowu oddechu — skomenderował Krótki.

Psy z niepomąganą siłą leciały naprzód w ciemną noc wdół Mono Creek przed długą równię u ujścia ku Yukonowi. Tu u samego ujścia do głównego szlaku, wiodącego rzeką, ktoś rozpałł ognisko i tu Krótki pożegnał się z Kurzawą. A kiedy tak sanki mknęły za lecącymi naprzód psami, Kurzawa ujrzał znów w świetle tego ogniska jeden z niezapomnianych obrazów Połnocnego Kraju. Był to widok Krótkiego, który, chwiejąc się na nogach, bezsilnie osuwał się w śnieg, głośnemi okrzykami dodając odwagi swemu współnikowi, z jednym okiem podsinionem i zamkniętem, z zakrwawionemi i rozbitemi kostkami u rąk i z jednym ramieniem poszarpanem i podartem, z którego wciąż strumieniem tryskała krew.

— Ilu jest przede mną — zapytał Kurzawa, kiedy porzucił swe zmęczone psy z zatoki Hundsona i skoczył na czekające nań sanki na pierwszej stacji.

— Naliczyłem jedenastu — krzyknął za nim człowiek, bo psy były już daleko.

Miały go zawieźć do ujścia rzeki Białej, najbliższej stacji odległej o piętnaście mil. Było ich dziewięć, mimo to jednak zaprząg ten był najslabszy. Ze względu na kry podzielił na dwie części dwadzieścia pięć mil, leżące między rzeką Białą a osadą Sześćdziesiątej Mili, i tu czekały nań jego dwa najtęższe, najwytrzymalsze zaprzęgi.

Leżał na sankach wyciągnięty jak długi, trzymając się ich obu rękami. Jak tylko psy zwalniały biegu, klękał i krzycząc, i poganiając je i trzymając się sań jedną ręką, smałał je batem. Mimo, iż zaprząg był nędzny, Kurzawa przegonił dwóch ludzi zanim dotarł do rzeki Białej. Tu kra utworzyła w czasie zamarzania rzeki barjerę, za którą woda na przestrzeni pół mili zamarzła gładko. Na tej gładkiej przestrzeni ścigający się mogli w biegu wymieniać sanki, skutkiem czego wzdłuż biegu rzeki poniżej kry rozstawili swoje zaprzęgi. Wydostawszy się z kry na równą gładką przestrzeń, Kurzawa leciał, wołając głośno — Biliy! Billy!

Billy, usłyszawszy go, odkrzyknął i Kurzawa ujrzał przy świetle płonących na lodzie licznych ognisk sanie odrywające się od brzegu i pędzące ku niemu. Ciągące sanie psy były wypo-

częte i z łatwością go dogoniły. Jak tylko sanie znalazły się obok siebie, Kurzawa skoczył na nowe sanki, z których Billy natychmiast się zsunął.

— Gdzie jest Wielki Olaf? — zawołał Kurzawa.

— Na czele — odpowiedział Billy.

W tej chwili ognie pozostały w tyle i Kurzawa znowu leciał przez ciemność. W krach tego odcinka, gdzie droga prowadziła przez chaos zjeżonych brył lodowych i gdzie Kurzawa, zeskoczywszy z sanek, ciągnął je liną tuż za psem prowadzącym zaprząg, przegonił troje sanek. Zdarzały się niebezpieczne wypadki i nieraz słychać było, jak ludzie odcinali psy i poprawiali uprząż.

W krach następnego odcinka między rzeką Białą a osadą Sześćdziesiątej Mili przegonił jeszcze dwoje sanek.

Jakby dla dokładnego wykazania mu, co się innym przydarzyło, jeden z jego własnych psów wywichnął łopatkę i nie mógł dotrzymać kroku drugim psom, które go zaczęły wlec w uprzęży. Rozzłoszczone zaczęły go szarpać kłami tak, że Kurzawa musiał je rozpędzać ciężkiem biczyskiem. Kiedy odcinał ranne zwierzę, usłyszał za sobą skomlenie psów i znany sobie męski głos. Był to von Schroeder. Kurzawa, chcąc zapobiec zderzeniu, krzyknął, aby go ostrzec, skutkiem czego baron, poganiając swe zwierzęta i kierując hamowidłem, wyminął go w odległości dwunastu stóp. Jednakże ciemności były tak gęste, że Kurzawa słyszał wprawdzie, jak baron go wymija, ale nie widział go.

Na równej przestrzeni lodu pod handlowym eta-



per. pocztowym w osadzie Sześćdziesiątej Mili Kurzawa przegonił jeszcze dwoje sanek. Właśnie wszyscy zmienili zaprzęgi i przez pięć minut gnali jak opętani, klęcząc i popędzając biczem i głosem oszalałe psy. Ale Kurzawa, który przestudjował tę część szlaku, spostrzegł rosnący na brzegu wielki świerk, majaczący niewyraźnie w blasku licznych ognisk. Poniżej tego świerku były nie tylko ciemności ale wogóle nagle kończyła się gładka przestrzeń. Wiedział, że szlak zwęża się tu do szerokości sań. Wychyliwszy się, chwycił przywiązaną do sanek linę i przerzucił ciężar swych sani naręcznemu psu. Złapał zwierzę za tylne nogi i szarpnął. Pies z wściekłym warczeniem klapnął ku niemu kłami, ale reszta psów pociągnęła go za sobą. Ciało jego było dostatecznym hamulcem i oba zaprzęgi, które wciąż jeszcze pędziły naprzód, pomknęły ku ciasnemu przejściu.

Kurzawa, usłyszawszy trzask i zgiełk zderzenia wyzwolił swego naręcznego, poskoczył ku hamowidłu i skierował swój zaprząg na prawo w miękki śnieg, w który zwierzęta zapadły po szyję. Była to wyczerpująca praca, ale dzięki temu wyminął splecione dwa zaprzęgi i wy dostał się na ubity szlak przed niemi.

## VI

Na odcinku od Sześćdziesiątej Mili Kurzawa miał swój najlichszy zaprząg i mimo, że droga była dobra, przeznaczył go tylko na krótką przestrzeń piętnastu mil. Dwa następne zaprzęgi miały go za-

wieźć do Dawsonu i do biura komisarza złota. I na tych dwóch odcinkach Kurzawa rozstawił swoje najlepsze dwa zaprzęgi. Sam Sitka Charley czekał z ośmiu malemutami, które miały przewieźć Kurzawę przez dwadzieścia mil, a na „finish”, bieg piętnastomilowy, przeznaczony był jego własny zaprząg — zaprząg, z którym wałęsał się przez całą zimę i z którym wyruszył na poszukiwanie Jeziora Niespodzianek.

Żaden z dwóch ludzi, których pozostawił ze spletanymi zaprzęgami u Sześćdziesiątej Mili, nie dogonił go już; z drugiej strony jego zaprząg nie przegonił ani jednego z trzech, które biegły przed nim.

Zwierzęta jego, mimo iż brak im było siły życiowej i temperamentu, były chętne i nie trzeba ich było bardzo poganiać, aby użyły wszystkich swych sił. Kurzawie nie pozostawało do zrobienia nic innego, jak tylko leżeć i jechać. Od czasu do czasu wynurzał się z ciemności w kolisko światła płonącego ognia, patrzył na otulonych w kożuchy ludzi, stojących obok zaprzężonych i czekających psów i znowu przepadał w ciemnościach.

Leciał milę za milą, mając w uszach tylko zgrzyt i turkot płozów. Prawie automatycznie utrzymywał równowagę, kiedy sanie ruszały niespodziewanie naprzód lub też zjeżdżały na zakrętach. Jedna po drugiej bez najmniejszej przyczyny i sensu zjawiały się w jego pamięci trzy twarze: twarz Joy Gastell uśmiechnięta i śmiała, twarz Krótkiego, rozbita i z wyrazem wyczerpania wskutek walk poniżej Mono Creek, i twarz Johna Bellew, sztywna, jakby

wykuta w żelazie, tak wielką była jej surowość. A czasami Kurzawa pragnął krzyczeć na cały głos i zanucić hymn dzikiej radości, kiedy przypominał sobie redakcję „Fali” i pozostawiony na biurku nieskończony feljeton, jako też i inne bzdurstwa tych gnuśnych dni.

Szary świt nastał, kiedy wymienił swe zmęczone psy i wsiadł na sanie ciągnione przez osiem wypoczętych małemućków. Lżejsze od zwierząt z nad zatoki Hudsona psy te zdolne były do większej szybkości i biegły z niestrudzoną chyżością prawdziwych wilków. Sitka Charley, krzycząc, poinformował go w jakim porządku jadą przed nim sanie. Na czele znajdował się Wielki Olaf, drugim był Arizona Bill, trzeci von Schroeder. Byli to najlepsi poganiacze psów w całym kraju. Faktycznie, zanim jeszcze Kurzawa wyjechał z Dawsonu, opinia publiczna, znajdująca swój wyraz w zakładach, umieściła ich w tym porządku. Podczas gdy oni ścigali się, ubiegając się o miljon, inni postawili na nich co najmniej pół miliona, zakładając się, kto pierwszy przybędzie do celu. Nikt jednak nie stawiał na Kurzawę, który, mimo swych kilku powszechnie znanych czynów, uchodził wciąż za *chechaquo*, mogącego się jeszcze wielu rzeczy nauczyć.

Kiedy się już na dobre zrobiło jasno, Kurzawa ujrzał przed sobą sanki, a po pół godzinie jego prowadzący pies dreptał już za nimi. Dopiero kiedy ten człowiek odwrócił się, aby się z nim przywitać, Kurzawa rozpoznał w nim Arizona Billa. Von Schroeder widocznie przegonił go. Twardo ubity

szlak, prowadzący przez miękki śnieg, był tu tak ciasny, że Kurzawa przez pół godziny nie mógł Arizona Billa wyminąć. Wreszcie wyjechali na pole kry a następnie wydostali się poniżej na gładką przestrzeń, gdzie znajdowały się obozowiska mnóstwa rozstawnych zaprzęgów i gdzie śnieg szeroko był ubity. Klękawszy na saniach, Kurzawa pędził naprzód, krzycząc i wywijając biczem. Zauważył, że prawa ręka Arizona Billa zwisała martwa, tak że poganacz zmuszony był kierować psami lewą ręką. Szło mu to niezręcznie, ponieważ nie miał się czem trzymać sani, skutkiem czego musiał co chwilę porzucać bat i chwytając się ich lewą ręką aby nie spaść. Kurzawa przypomniał sobie bitkę w jarze u Trzeciego Numeru poniżej Discovery i zrozumiał. Rada Krótkiego była mądra.

— Co wam jest? — zapytał Kurzawa, przeganiając go.

— Nie wiem—odpowiedział Arizona Bill,—zdaje mi się, że wywichnąłem sobie ramię podczas bójki.

Poddawał się powoli a jednak kiedy pokazała się ostatnia stacja, był już o pół mili w tyle. Przed sobą Kurzawa mógł już widzieć splecionych ze sobą Wielkiego Olafa i von Schroedera. Kurzawa znowu ukląkł i zmusił swe zmordowane psiska do takiego biegu, jak to może zrobić tylko człowiek posiadający szczególne zdolności do powożenia psami.

Dognał sanie von Schroedera i jechał tuż za niemi. I w tym porządku wypadli znowu na gładką przestrzeń poniżej zatoru kry, gdzie czekało mnó-

stwo ludzi i psów. Do Dawsonu było już wszystkiego piętnaście mil.

Von Schroeder, który miał rozstawne zaprzęgi co dziesięć mil, właśnie zmieniał był zaprząg przed pięciu milami i miał go zmienić dopiero po pięciu milach. Wobec tego gnał dalej, utrzymując swe psy w najszybszym biegu. Wielki Olaf i Kurzawa zmienili swe zaprzęgi w biegu a ich wypoczęte psy natychmiast nadrobiły, co baron przez ten czas zyskał. Wielki Olaf leciał pierwszy, za nim mknął Kurzawa ku ciasnej ścieżce.

— Dobrze, ale niebardzo — sparafrazował Kurzawa w myśli Spencera.

Von Schroedera, który teraz jechał tuż za nim, nie bał się, ale przed nim znajdował się najlepszy poganiacz psów całego kraju. Zdawało się, że niepodobna go przegonić. Kurzawa niejednokrotnie kierował swego prowadzącego psa tak, aby mógł sanie wyminąć, ale Wielki Olaf za każdym razem dawał nowego susa i uciekał. Kurzawa poprzestał na trzymaniu się z nim w biegu równo i przyczepił się do niego zawzięcie. Wyścig nie był przegrany, dopóki ten czy ów go nie wygrał, a na przestrzeni piętnastu mil niejedno może się zdarzyć.

I istotnie, zdarzyło się coś w odległości trzech mil od Dawsonu. Ku wielkiemu zdumieniu Kurzawy Wielki Olaf ukląkł i naraz biczem i głosem zaczął wydobywać ze swych zwierząt ostatnią uncję sił. Wysilek ten powinien być zachowany na ostatnie sto sążni. Któż widział robić coś podobnego na trzy mile przed „finiszem”!



Mimo że to wyglądało na ordynarne mordowanie psów, Kurzawa naśladował przykład. Jego własny zaprząg był świetny. Żaden pies nad Yukonem nie pracował tak ciężko i nie znajdował się w tak znakomitej formie. Prócz tego Kurzawa pracował wraz z niemi, jadł z niemi i spał, znał indywidualność poszczególnych psów i wiedział w jaki sposób wykorzystać inteligencję zwierząt i ostatnią resztkę ich dobrej woli.

Przedostawszy się przez mały zator lodowy wypadli na znajdującą się poniżej gładką przestrzeń. Wielki Olaf wyprzedzał Kurzawę zaledwie o pięćdziesiąt stóp. Wtem wyrwały się z boku sanie, które pomknęły ku nim i wtedy dopiero Kurzawa zrozumiał, dlaczego Wielki Olaf tak bardzo naglił swe psy. Chciał zyskać czas na zmianę zaprzęgu.

Ten świeży zaprząg, który miał go dowieźć wprost do mety, był jego własną niespodzianką. Nie wiedzieli o nim nawet ci, którzy go popierali.

Kurzawa starał się rozpaczliwie wyminąć go podczas zmiany sani. Zmusiwszy swe psy do wysiłku, zrównał się z saniami Wielkiego Olafa. Zachęcając psy głosem i smagając je biczem, osiągnął tyle, że jego prowadzący pies zaczął omijać naręcznego wielkiego Olafa. Tymczasem po drugiej stronie sań gnały sanie ze świeżym zaprzęgiem. Z powodu szybkości, z jaką teraz pędzili, Wielki Olaf nie chciał ryzykować skoku na drugie sanie. Gdyby mu się skok nie udał, Kurzawa wysunąłby się z pewnością na czoło i wygrałby.

Wielki Olaf próbował wybić się na czoło i po-

pędzał swe psy wspaniale, ale prowadzący pies Kurzawy skakał wciąż zboku na naręcznego Olafa. Przez jakie pół mili troje tych sanek leciało tak koło siebie. Po pewnym czasie jednak gładka przestrzeń zaczęła się zwężać i tu Wielki Olaf skorzystał ze sposobności. Kiedy latające z boku na bok sanie zderzyły się, Wielki Olaf skoczył i jak tylko na nich się znalazł, zerwał się na kolana, głosem i biczem popędzając psy. Równina zmieniła się tu w wąski szlak a Wielki Olaf, pchnąwszy naprzód swe psy, znowu wyprzedził Kurzawę o łokieć.

— Człowiek nie jest pokonany, dopóki nie został pokonany — rzekł sobie w duchu Kurzawa, i gnał co siły, a Wielki Olaf nie mógł się od niego odczepić. Żaden zaprząg, którym Kurzawa tej nocy jechał, nie wytrzymałby tak zabójczego biegu, dotrzymując kroku wypoczętym psom — żaden zaprząg, wyjąwszy ten jeden jedyny. Jednakże to tempo *było istotnie zabójcze*, a kiedy znaleźli się na zakręcie skalistego brzegu Klondike City, zrozumiał, że jego zwierzęta dobywają z siebie resztę sił. Prawie niepostrzeżenie odstawały a Wielki Olaf zyskiwał wciąż piędź po piędzi, aż wreszcie wysunął się naprzód na dwadzieścia łokci.

A wówczas zgromadzona na lodzie ludność Klondike'u City wydała wielki okrzyk. W tem miejscu Klondike wpływa do Yukonu a o pół mili dalej na drugim północnym brzegu Klondike stoi Dawson. Zahuczała nowa burza jeszcze szaleńszych okrzyków i Kurzawa spostrzegł naraz sanki, które pędziły ku niemu. Natychmiast poznał wspania-

le zwierzęta, które je ciągnęły. Był to zaprząg Joy Gastell. I ona sama kierowała niemi. Kapuca jej parki ze skóry wiewiórek zsunęła się jej z głowy, odsłaniając podobny do kamei owal jej twarzy, okolony gęstymi włosami. Zdjęła rękawice i jedną ręką trzymała się sani a w drugiej miała bicz.

— Skacz!—krzyknęła, kiedy jej prowadzący pies warknął na psy Kurzawy.

Kurzawa otarł się o jej sanie tuż za nią. Sanie jej zsunęły się gwałtownie od uderzenia jego ciała ale ona klęczała, wciąż wywijając batem.

— Ha! pieski, „marsz“, naprzód, naprzód!—wołała a psy aż skuczały i skomlały, chciwe wyścigu z psami Wielkiego Olafa.

A wówczas kiedy prowadzący pies dogonił sanki Wielkiego Olafa i łokieć po łokciu zaczął się z niemi równać, wielki tłum na brzegu Dawsonu oszalał. A był to istotnie wielki tłum, bo ludzie porzucili swe narzędzia we wszystkich jarach i przyszli tu, aby zobaczyć rezultat wyścigów, a cisza, panująca w promieniu stu dziesięciu mil, usprawiedliwiała każde szaleństwo.

— Gdy go wyminiesz—zeskoczę—krzyknęła mu Joy przez ramię.

Kurzawa próbował protestować.

— A uważaj na głęboki zakręt w połowie drogi do brzegu — ostrzegła go.

Oba zaprzęgi leciały naprzód, oddalone od siebie o kilka stóp. Wielki Olaf przy pomocy bata i głosu przez chwilę wciąż jeszcze był pierwszym. A naraź powoli, cał po cał „leader” Joy zaczął go brać.

— Baczność! — krzyknęła — Za chwilę zeskoczę. Bierz bicz!

W chwili kiedy wtykała mu w rękę bicz, usłyszeli ostrzegający ryk Wielkiego Olafa ale było już za późno. Jego prowadzący pies wściekły o to, że go wyprzedzają, skoczył do ataku. Jego kły wczepiły się w bok prowadzącego psa Joy. Współzawodniczące ze sobą psy skoczyły sobie ku gardłom. Przewrócone sanie zwały się na psy. Kurzawa, zerwawszy się, chciał podnieść Joy, ale ona odepchnęła go od siebie, wołając:

— Idź!

A wielki Olaf tymczasem zrobił już pieszo pięćdziesiąt stóp, wciąż jeszcze nie wycofując się z wyścigu. Kurzawa ~~usłuchał~~ i kiedy stanęli u stóp brzegu Dawsonu, nadeptywał już swemu rywalowi na pięty. Wielki Olaf jednakże, wydostawszy się na brzeg, skoczył naprzód, wyprzedzając Kurzawę o dwanaście stóp.

Niedaleko głównej ulicy Dawsonu znajdowało się biuro komisarza złota. Na ulicy zgromadzone były tłumy, jak gdyby miała się tu odbyć jakaś parada. Tym razem ~~niefatwo~~ było Kurzawie dogonić swego olbrzymiego współzawodnika, a kiedy wreszcie tego dokazał, nie był w stanie go przegonić. I tak biegli ramię w ramię ciasnym kurytarzem między ścianami ubranych w kożuchy, wrzeszczących ludzi. To jeden, to drugi, posuwali się, konwulsyjnymi susami wysuwając się naprzód na eal, aby w chwilę później pozostać znów wtyle.

Jeśli ich pośpiech był zabójczy dla ich psów, to nie mniej zabójczy był teraz dla nich. Ścigali się jednak o milion dolarów i wielką sławę w Kraju Yukonu. Co Kurzawę w ostatniej części tego biegu uderzyło, to pełna zdumienia myśl, że w Klondike może być tak dużo ludzi. Nigdy ich tylu naraz przedtem nie widział.

Wbrew swojej woli nagle zwolnił kroku, a Wielki Olaf posuwistym krokiem znowu go wyprzedził. Kurzawa miał wrażenie, że serce mu pęknie, a równocześnie tracił wszelką władzę nad swojemi nogami. Wiedział, że go niosą, nie zdawał sobie jednak sprawy z tego, w jaki sposób to się dzieje, i dzięki czemu jakiś większy nacisk silnej woli zmusza je do dotrzymywania kroku jego olbrzymiemu współzawodnikowi.

Przed nimi zjawily się otwarte drzwi biura komisarza złota. Obaj zrobili ostateczny daremny wysilek. Przegonić się nie mogli, wobec czego ramię w ramię skierowali się ku drzwiom, zderzyli się gwałtownie i padli u progu.

Dźwignąwszy się, usiedli, byli jednak nazbyt wyczerpani aby móc wstać. Wielki Olaf cały zlany potem i dysząc z trudnością, bił rękami powietrze, napróżno starając się przemówić. Następnie wyciągnął dłoń z gestem, który nie potrzebował żadnych komentarzy; Kurzawa podał mu rękę.

— Bieg na śmierć i życie—usłyszał Kurzawa głos komisarza, ale było to jakby we śnie, a głos ten był bardzo cichy i bardzo daleki;—mogę wam powiedzieć tylko jedno, a mianowicie, żeście obaj



pierwsi przyszedli do mety. Będziecie musieli podzielić się działem, jesteście współnikami.

Kiedy podpisywali umowę, ręce im drżały. Wielki Olaf kiwał przez chwilę głową i jękał się. Wreszcie odzyskał głos.

— Ty przekłety *chechaquo*—rzekł z akcentem podziwu.—Jak tego dokazałeś, nie wiem, ale przecie dokazałeś.

Wielki, gwarny tłum zgromadził się na ulicy, podczas gdy biuro zapełniało się coraz to nowymi przybyszami. Kurzawa i Wielki Olaf chcieli się dźwignąć, przyczem wzajemnie sobie pomagali. Kurzawa stanął wreszcie na nogach i zatoczył się jak pijany. Wielki Olaf potoczył się ku niemu.

— Bardzo mi przykro, że moje psy napadły na twoje.

— Nie było rady! — odrzekł Kurzawa, dysząc ciężko,—słyszałem jak krzyczałeś.

— Słuchaj—mówił Wielki Olaf a oczy jego błysnęły—ale ta dziewczyna—morowa, co?

— Morowa!—zgodził się Kurzawa.

## SPIS ROZDZIAŁÓW:

	Str.
Przedsmak mięsa . . . . .	5
Mięso . . . . .	41
Bieg do Squaw Creek . . . . .	77
Człowiek z drugiego brzegu . . . . .	133
Gonitwa o numer pierwszy . . . . .	163

# WYDAWNICTWA KSIĘGARNI E. WENDE i S-ka

WARSZAWA — KRAK. PRZEDM. 7/9

	Cena zł.
<i>Caine Hall</i> — Koziol ofiarny — powieść, str. 287. . . .	3 90
<i>Chesterton G. K.</i> — Napoleon z Notting-Hill — powieść, str. 288 . . . . .	4 80
<i>Conrad J. (Korzeniowski)</i> — Fantazja Almayera — powieść, str. 212 . . . . .	5 —
— Murzyn z załogi „Narcyza” — powieść, str. 214 . . . .	5 50
— Sześć opowieści — nowele, str. 311 . . . . .	7 50
— Między łądem i morzem — nowele, str. 268 . . . .	6 —
<i>Erenburg I.</i> Juljo Jurenito — powieść, str. 397. . . . .	6 —
<i>Grubiński Wacław</i> — Lwy i św. Grojosiaw — nowele, str. 177 . . . . .	4 20
<i>Iwaszkiewicz J.</i> — Hilary syn buchaltera — powieść, str. 178	3 50
<i>Kaden-Bandrowski J.</i> — Przymierze serc — nowele, str. 243	4 —
<i>London J.</i> — Bóg Ojców Jego — nowele, str. 196. . . .	4 20
— Martin Eden — powieść, 2 tomy, str. 327 i 289 . . . .	9 —
— Na szlaku — nowele, str. 236 . . . . .	4 20
— Odszczepieniec — nowele, str. 163 . . . . .	4 20
— Odyseja północy — nowele, str. 253 . . . . .	4 —
— Opowieści mórz południowych, str. 245 . . . . .	4 20
— Prawo białego człowieka — nowele, str. 152 . . . .	3 —
— Serce kobiety — nowele, str. 251 . . . . .	4 20
— Syn słońca — nowele, str. 262 . . . . .	4 20
— Wilk morski — powieść, 2 tomy str. 270 i 244 . . . .	6 50
— Zew krwi — powieść, str. 136 . . . . .	2 —
— Przygoda — powieść. . . . .	4 80
<i>Maupassant G. de</i> — Życie — powieść, str. 303 . . . .	4 50
— Piotr i Jan. — powieść, str. 186. . . . .	3 —
<i>Samożwaniec M.</i> — Na ustach grzechu . . . . .	2 40
— Malowana żona . . . . .	3 —
<i>Strug A.</i> — Mogiła nieznanego żołnierza — powieść, str. 411 . . . . .	5 20
— Odznaka za wierną służbę, str. 118 . . . . .	2 60
— Pieniądz — powieść, str. 459. . . . .	5 20
— Kronika Świeciechowska — nowele, str. 246. . . . .	4 —



